DZIENNIK „HAAREC" UDERZA W NETANJAHU

Wstrząsający zapis zbrodni izraelskich żołnierzy

Reset z Rosją. Czy Polska stoi przed szansą? – analizuje Marcin Skalski

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 19/679 4–10 MAJA 2026

CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

JOANNA BOJAŃCZYK O WZLOCIE I UPADKU CHIARY FERRAGNI

Auta zeroemisyjne, czyli samobójstwo Unii Europejskiej

OSACZENI W BUDAPESZCIE

Jak Tusk i Żurek próbują dopaść Ziobrę i Romanowskiego

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

9 772299 850000 19

Od ponad dekady tworzymy jedno
z najbardziej opiniotwórczych mediów w Polsce

SPÓŁKA AKCYJNA
DO RZECZY

Do Rzeczy S.A.
Spółka notowana na rynku **NewConnect (GPW)**
Symbol giełdowy: **DRZ**

WOLNOŚĆ SŁOWA MA WARTOŚĆ - TAKŻE GIEŁDOWĄ

Od 28 kwietnia 2026 możesz nas nie tylko czytać,
ale również zostać akcjonariuszem Do Rzeczy S.A.

ZAINWESTUJ
W NIEZALEŻNE MEDIA
Twoje media. Wspólna sprawa.

Dowiedz się więcej:
www.DoRzeczySA.pl

eprasa.pl a7e534a8f8

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Nowy etap budowy praworządności

Co wolno zwolennikom centralizmu Unii? Obserwując wypowiedzi i działania Pétera Magyara, przyszłego premiera Węgier, można dojść do wniosku, że wszystko. Dysponując potężną osłoną medialną lider zwycięskiej partii TISZA zachowuje się, jakby nie tyle wygrał demokratyczne wybory, ile jakby właśnie dokonał zwycięskiego zamachu stanu i szykował się obecnie do zemsty na przywódcach wrogiego, obalonego wskutek masowych protestów reżimu. Używa on podobnej (a może nawet pod wieloma względami jeszcze bardziej radykalnej) retoryki jak ta, którą posługiwał się i posługuje się w Polsce Donald Tusk. Przeciwników politycznych (a więc opozycję, która utraciła władzę w wyniku wyborów) należy wygnać, a najlepiej zamknąć w więzieniu.

Tydzień temu Magyar napisał na platformie X: „Do 31 maja marionetki Orbána mogą dobrowolnie ustąpić ze swoich stanowisk". Przyszły premier (formalnie od 9 maja) wyjaśnił później, że owymi marionetkami są prezydent państwa, prezes Narodowego Biura Sądownictwa, prezes Trybunału Konstytucyjnego i prokurator generalny. Nie muszę dodawać, że wszyscy ci urzędnicy, niezależnie od oceny politycznej ich działalności, zostali powołani na odpowiednią kadencję w sposób legalny i demokratyczny. Tymczasem – jak wynika ze słów szefa partii TISZA – sama większość sejmowa wystarcza, żeby całkowicie pozbyć się ich wszystkich.

Na tym wezwaniu Péter Magyar nie poprzestał. Powołując się na doniesienia medialne, wezwał węgierskie instytucje do zatrzymania osób, które „wyrządziły Węgrom szkody liczone w miliardach forintów", a inwestorów do powstrzymania się od nabywania aktywów „powiązanych z mafią". Dodał, że kilka powiązanych z rządem Orbána rodzin już opuściło Węgry, a kilka kolejnych przygotowuje się do tego, wypisując ze szkół swoje dzieci.

Z tych słów można by wyciągnąć wniosek, że według węgierskiego premiera samo doniesienie medialne wystarczy, by odpowiednie instytucje dokonywały zatrzymywania osób powiązanych (znowu jest to kategoria bardzo pojemna) z poprzednią władzą. Wszystko w tych słowach jest osobliwe. O jakie instytucje chodzi? Fizycznie zatrzymać kogoś może policja, ewentualnie służby specjalne. Zwykle do takiego zatrzymania dochodzi na zlecenie prokuratury. Zatrzymanie nie może trwać dłużej niż 48 godzin. Prokuratura może w tym czasie wystąpić do sądu z wnioskiem o tymczasowe aresztowanie (sąd ma na podjęcie decyzji kolejne 24 godziny). Jeśli wniosek zostanie odrzucony, to musi daną osobę wypuścić. Tak jest w Polsce, w przypadku Węgier jest pewnie podobnie. Powstaje zatem proste pytanie: W oparciu o jakie przepisy prawa pan Magyar domaga się zatrzymania określonej grupy osób? I to chyba na długo, bo co najmniej do czasu, kiedy, można się domyślać, przejmie kontrolę nad państwem w całości. Osoby te nie są formalnie oskarżone, nie toczy się przeciw nim postępowanie. Nie słyszałem o żadnym procesie, a już na pewno nie ma mowy o wyroku sądowym. Jedyną podstawą wezwań do „zatrzymywania" ma być zatem osobiste przekonanie przyszłego premiera, że ludzie ci należeli do „mafii" bądź ją stanowili. Niczego nie można wykluczyć. Ale jak ktoś poważny może wzywać do takiej formy rozliczeń? To przecież jaskrawy przykład nadużycia władzy politycznej do celów wymierzenia zemsty politycznej. Owszem, są to słowa godne dyktatora, nie przywódcy demokratycznego.

Nie mniej szokujące niż srożenie się pana Magyara jest kompletne milczenie zajmujących się obroną praworządności instytucji unijnych. Słuchając wypowiedzi różnych komisarzy i przedstawicieli Brukseli, można by dojść do wniosku, że na tym właśnie polega praworządność – na szczuciu, organizowaniu nagonki, wzywaniu do rozliczeń i odwetu bez właściwych podstaw prawnych. Doprawdy, włos się na głowie jeży.

Przypomnę, że podczas kampanii wyborczej tak Magyar, jak wspierające go media wiele razy twierdzili (w Polsce był to systematyczny, propagandowy przekaz największych portali i telewizji), że Viktor Orbán i jego doradcy są agentami Kremla. Tymczasem teraz można przeczytać, że uciekają oni do USA lub – według „Guardiana" – do Arabii Saudyjskiej, Omanu, Zjednoczonych Emiratów Arabskich, Singapuru i Australii. Dość dziwne to miejsca dla agentów Putina, nieprawdaż? Dlaczego nie przenoszą się do Rosji czy choćby na Białoruś? Zresztą wybór państw arabskich, żeby transferować tam zyski, właśnie teraz, kiedy trwa wojna z Iranem i kto żyw zmyka z Bliskiego Wschodu, wydaje się wielce dziwaczny.

Polacy zapewne najbardziej interesują się losem dwóch polskich uciekinierów: byłego ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry, i jego zastępcy Marcina Romanowskiego. We wtorek przeczytałem, że „dziennikarze wytropili mieszkanie tego drugiego". Niczego nie trzeba było tropić, bo minister Romanowski się nie ukrywał. Dziennikarze owi przypominają sępy zbierające się nad padliną. Działają najwyraźniej na zlecenie Magyara, który zapowiedział, że zamierza wydać Polsce obu polityków od razu po wygranej.

Walka o unijną praworządność weszła na nowy poziom. Kto nie chce centralizmu Brukseli, musi liczyć się z prześladowaniami i wygnaniem. ©℗

eprasa.pl a7e534a8f8

TEMAT TYGODNIA

14 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
OSACZENI W BUDAPESZCIE
Jak Tusk i Żurek próbują dopaść Ziobrę i Romanowskiego

KRAJ

18 PIOTR SEMKA
PIS W EPOCE „DWÓCH PŁUC"
Wyjście, rozpad czy sukcesja po Kaczyńskim?

21 ROZMOWA Z MARCINEM PALADE
MOŻE LIDERZY OPOZYCYJNEJ CENTROPRAWICY ZMĄDRZEJĄ

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
ZAGRAJ TO JESZCZE RAZ, DONALD. ROZLICZANIE BEZ KOŃCA

26 JAN FIEDORCZUK
OSTATNI ANTYKOMUNISTA III RP

28 ŁUKASZ WARZECHA
WIELKIE GOLENIE POLAKÓW

30 RADOSŁAW WOJTAS
METKA NA CIERPIENIU. HANDEL ARTEFAKTAMI OFIAR TOTALITARYZMU

KULTURA

32 PIOTR GOCIEK
MODA NA SUKCES
Kontynuacja hitu sprzed 20 lat

34 KRZYSZTOF MASŁOŃ
POD GWIAZDAMI

NIE PRZEGAP

36 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

40 MARCIN SKALSKI
RESET Z ROSJĄ. CZY POLSKA STOI PRZED SZANSĄ?
Polski interes zamiast starych klisz

46 JERZY KARWELIS
JEDNO ZDROWIE – MNÓSTWO KŁOPOTÓW

48 ROZMOWA Z KS. BP. ATHANASIUSEM SCHNEIDEREM
UCIECZKA OD HEREZJI

52 FILIP MEMCHES
LGBT. A JEDNAK IDEOLOGIA

HISTORIA

54 LECH MAŻEWSKI
DMOWSKI KONTRA CARAT
Polskie gry w Dumie

ŚWIAT

58 MARIUSZ JAGÓRA
TRUMP ZAMKNIE ONZ?
Biurokraci na progu bankructwa

62 MACIEJ PIECZYŃSKI
CICHE DNI PUTINA I TRUMPA

64 PIOTR WŁOCZYK
TAK ZABIJA IZRAEL. DZIENNIK „HAAREC" PUBLIKUJE WSTRZĄSAJĄCY ZAPIS ZBRODNI IZRAELSKICH ŻOŁNIERZY

EKONOMIA

66 JACEK PRZYBYLSKI
AI ROŚNIE W SIŁĘ
Czwarta rewolucja przemysłowa nabiera rozpędu

70 TOMASZ FORMANEK
AUTA ZEROEMISYJNE, CZYLI SAMOBÓJSTWO UNII EUROPEJSKIEJ

STYL

74 JOANNA BOJAŃCZYK
NIESMAK POZOSTAŁ
Wzlot i upadek Chiary Ferragni

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), ŻEBROWSKI, KOPER (57), PRZYBYLSKI (61), GABRYEL, WARZECHA (69), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), KRATIUK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl a7e534a8f8

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Art Service/PAP, Mateusz Włodarczyk/Nur Photo/AFP/East News, Adobe Stock; opracowanie graficzne: JAN**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Ślepa transformacja", Tomasz Cukiernik, „DRz" nr 17/2026

Z przyjemnością i wielkim zaciekawieniem przeczytałem Pana kolejny bardzo interesujący artykuł [...].

W kontekście przedstawianych przez Pana informacji proszę spróbować zdać na jakimkolwiek legalnym wysypisku śmieci 20 paneli fotowoltaicznych. Przed Panem ciekawe rozmowy z zakłopotanymi przedstawicielami takich samorządowych firm. Mówimy w perspektywie nie tak aż odległego czasu o dziesiątkach tysięcy zużytych paneli... Na czyj koszt?

Z poważaniem
Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

Rozklekotany fortepian

Szanowni Państwo,
o premierze Orbánie mówi się, że potrafi grać na wielu fortepianach i – by zabezpieczyć interesy swojego narodu – podpisałby cyrograf nawet z diabłem. Utrzymywał kontakty z prezydentami Putinem i Trumpem, podejmował pana Netanjahu, prowadził interesy z Chinami. Złożył nawet gratulacje po wygranej swojego konkurenta, czego już nie potrafił pan Trzaskowski.

Tymczasem, nie bacząc na nauki płynące ze „Skrwawionych ziem" Timothy'ego Snydera oraz zagrożenia militarne, energetyczne, obyczajowe, demograficzne itd., panowie Tusk, Nawrocki i Sikorski idą w „zaparte" i bez końca obrzucają błotem siebie nawzajem i kogo się da. Na ostatniej konferencji CPAC prezydent Nawrocki grzmiał o bandycie Putinie, z kolei panowie Tusk i Sikorski obrzucają inwektywami prezydenta Trumpa. Nasi „dygnitarze" nie potrafią zagrać nawet na jednym fortepianie, chyba że rozstrojonym, nie mogąc ustalić nic, choćby znaczenia słowa „wobec", przy okazji ogłupiając i antagonizując społeczeństwo. Z pewnością łączy ich jedno: brak zainteresowania losami własnego narodu. Może to wada wrodzona, jak brak słuchu?

Z poważaniem
Ewa Kowynia

Odwagi!

Wielkimi krokami zbliża się kampania przed wyborami 2027 r., a prekampania już trwa. Dlatego chciałbym, korzystając z łamów „Do Rzeczy", mojego ulubionego pisma, zaapelować do obozu patriotycznego: miejcie odwagę!

Jeśli chcecie, aby Polacy znów wam zaufali, wy zaufajcie Polakom. Nasz naród nie jest „ciemnym ludem", przeciwnie – jest mądry i doceni szczerość. Chciałbym, aby premier Morawiecki publicznie powiedział: „Tak, zgrzeszyliśmy" i wyjaśnił, że zgoda na Zielony Ład i KPO była koniecznością geopolityczną – bo nie mogliśmy iść na zwarcie z UE w obliczu zagrożenia ze Wschodu. Ale teraz wiemy, czym to pachnie, i widzimy, że przeceniliśmy instynkt przetrwania Europy. Dziś nie powtórzymy błędu i na sztandary bierzemy exit z ETS-ów i całego tego szaleństwa. Podobnie z innymi sprawami – Ukrainą, Izraelem, Trumpem (niesławny antyirański event w Warszawie), Węgrami. Tak też trzeba zrobić z aferą Zondacrypto. Przyznać, że ci ludzie przymilali się do prawicy i reklamowali się w Republice, ale kategorycznie stanąć po stronie poszkodowanych i zadeklarować pełne poparcie dla wyjaśnienia sprawy i ukarania winnych.

Tak się zyskuje zaufanie, nie zaś logiką à la „Nic się nie stało, Polacy...". Tym sposobem można odebrać rozpęd mafii 13 grudnia, która zwietrzyła szansę „przykrycia" Kłodzka, najstraszniejszej chyba afery, jaką Polska widziała.

Życzę przeto odwagi i ufam, że jej wam nie zabraknie.

dr Emil Kalinowski, historyk

„Jedyny taki Rambo", Piotr Gociek, „DRz" nr 17/2026

Szanowna Redakcjo,
serdeczne podziękowania dla red. Piotra Goćka za przypomnienie historii kultowego bohatera popkultury [...]. Po „Rambo" do kin wchodzi inny staroć – pierwszy „Top Gun". Czy nowym pomysłem na przeżycie kinowe będzie pokazywanie starych filmów? Młodzi już nie chodzą czy dobrych filmów już się nie robi, bo dba się głównie o poprawnośc polityczną, a zaniedbuje wszystko inne?

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

eprasa.pl a7e534a8f8

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Walczyć czy nie

Nie pamiętam już, jaka to była powieść. Chyba „Lenin w Zurychu" Sołżenicyna. Opowiada o pobycie lidera rosyjskich bolszewików w Szwajcarii w czasie pierwszej wojny światowej. Przyszły wódz rewolucji spotyka na emigracji rosyjskiego kobieciarza i oszusta karcianego. Obu panów łączy tylko jedno. Obaj są zdania, że udział w konflikcie to coś całkowicie nie dla nich.

Ta scena przypomina mi się, gdy czytam ożywioną dyskusję wokół kwestii ewentualnego odwieszenia zasadniczej służby wojskowej. Zdecydowany sprzeciw zgłaszają dwie grupy: lewicowcy i anarchiści oraz liberałowie typu korwinowskiego.

I to uświadomiło mi, jak bardzo daleko posunięty indywidualizm łączy obie te grupy. Nie będę państwu referował szerzej antywojennej argumentacji lewicy i anarchistów. Skupię się raczej na argumentacji „korwinowskiej". Tutaj ogromną pożywką jest krytyka prowadzenia wojny obronnej przeciwko Rosji ze strony Ukrainy. W tej optyce cała ta obrona Ukrainy to jedynie „kaprys" dyktatora Wołodymyra Zełenskiego, to utrzymywanie kleptokracji i władzy oligarchów oraz bezsensowne wykrwawianie narodu. Po takim ideologicznym przygotowaniu pojawia się argument, który łączy sprzeciw wobec prowadzenia przez Kijów wojny z krytycyzmem wobec wzmacniania obronności Polski wobec Rosji. Pojawia się argument, że trzeba zrozumieć niechęć Polaków do zasadniczej służby wojskowej, skoro nasz kraj rzekomo prowadzi celowo konfrontacyjną politykę wobec Rosji. A skoro tak, to wyrażane jest zrozumienie, że młodzi nie wyobrażają sobie udziału w konflikcie, którego dałoby się uniknąć, ale który się prowokuje.

Kolejnym argumentem jest wizja nowoczesnego pola walki, w którym młody człowiek ma szanse być rozerwany przez drona i ma pełne prawo lękać się, że zastrzeli go humanoidalny robot. Dochodzą do tego jeszcze rozważania, że armia z poboru nie ma zbyt wiele do roboty na nowoczesnym polu walki, gdzie potrzebni są doświadczeni spece. I wreszcie argument pseudozdroworozsądkowy, że do niczego nie nadaje się armia młodych ludzi wcielonych siłą, niechętnych do służby i rozdrażnionych tym, że ktokolwiek czegokolwiek od nich wymaga.

Czytając tego typów rozważania, zaskoczyło mnie, jak bardzo w Polsce formalny konserwatyzm jest punktem wyjścia do uznania, że albo zagrożenia nie ma, albo zagrożenie jest, ale nie jest ono winą agresora, bo Polska prowadzi wyzywającą politykę, która w uzasadniony sposób może sprowadzić na nas rosyjskie czołgi albo wprost uznaje, że skoro młodzi nie chcą iść do wojska, to nie ma sposobu, żeby ich do tego zmusić.

Tyle że wszystkie te argumenty uświadamiają jedną rzecz, że ponad 80 lat życia bez wojny, a w tym ponad 35 lat życia w coraz większym dobrobycie, doprowadziło do tego, że nie tylko młodym, lecz także wytrawnym publicystom rzeczywistość wojenna wymagająca obrony kraju po prostu nie mieści się w głowie. I to jest problem. Bo Rosja ma sposoby, by wysyłać żołnierzy na wroga. A czy Polacy są zdolni, by stawić im opór? ©℗

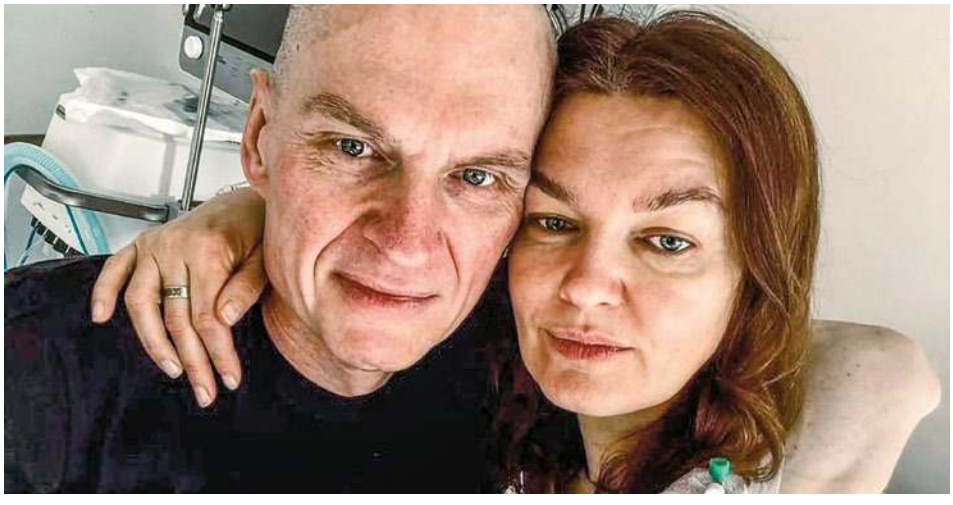

FOT. X.COM/TSHANOUSKAYA

ANDRZEJ POCZUBUT WRESZCIE WOLNY!

Więziony przez 1860 dni w białoruskiej kolonii karnej dziennikarz i działacz polskiej mniejszości (na zdjęciu z żoną) odzyskał wolność. Było to możliwe dzięki wymianie więźniów w formule „pięciu za pięciu". „To wspaniała wiadomość. Uwolniony przez Amerykanów na skutek decyzji prezydenta D. Trumpa po rozmowie z prezydentem K. Nawrockim w Białym Domu. Wiele zabiegów, ale finalnie sprawa została pomyślnie zakończona" – napisał na X szef prezydenckiego Biura Polityki Międzynarodowej Marcin Przydacz. ©℗

eprasa.pl a7e534a8f8

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Czasem bawimy się w proroków. Dzisiaj możemy wam powiedzieć, że już wiemy, jak będzie się nazywał przyszły szef polskiej dyplomacji. Otóż będzie nim Krzysztof Bosak. Możemy też zdradzić, że intensywnie przygotowuje się do tej funkcji, korzystając z pomocy ludzi, którzy znają ten resort na wylot. Osobiście uważamy, że to całkiem dobry pomysł.

Po Warszawie krąży też plotka na temat obsady jeszcze jednej ważnej posady. Nawet chyba ważniejszej niż minister spraw zagranicznych. Chodzi o fotel szefa TVN. W związku ze zmianami właścicielskimi (koncern Warner przejmowany przez Paramount Skydance) oczekiwane jest lekkie złagodzenie linii. Miałby to zagwarantować Wiesław Walendziak pożegnany z Polsatem. Uwierzymy, jak doczekamy.

Nie zmienia to faktu, że nie jesteśmy optymistami w sprawie ewentualnej zmiany linii na łagodniejszą przez którąkolwiek z wielkich telewizji komercyjnych w Polsce. Ewentualnie możemy uwierzyć w zamianę linii. To znaczy Polsat bez starego Solorza i bez Walendziaka będzie już po prostu taki jak TVN, a TVN z Walendziakiem – taki jak niedawno Polsat. Korzyści z tego, jak sądzimy, znikome.

Jeszcze o ważnych stanowiskach. Głupia sprawa, ale dzień po tym, jak słyszeliśmy od wpływowych ludzi, że najlepszym kandydatem na nowego szefa BBN jest jego dotychczasowy zastępca szefa Andrzej Kowalski, gruchnęła wieść, że on to na pewno nim nie będzie. Nie do końca rozumiemy tę decyzję. I mamy nadzieję, że to tylko zasłona dymna.

Kronika dyplomatyczna. Swojego czasu osoba głowy państwa powiedziała, że szans na nominację ambasadorską nie mają członkowie osławionej Konferencji Ambasadorów zwanej popularnie klubem konfidenta, a także absolwenci kuźni kadr sowieckiej dyplomacji, czyli MGIMO. No to w resorcie dyplomacji wymyślono, że do Pakistanu wyślą właśnie absolwenta tej uczelni o nazwisku Łukaszczuk i nikt się nie zorientuje. Przykro nam to mówić, ale już się zorientowano. Tak, u prezydenta Karola Tadeusza się zorientowano.

Nie powiódł się plan małżeństwa dyplomatów pani Stachowiak i pana wiceministra Pawlika, by przytulać dwie pensje ambasadorskie. Plan przewidywał, że pan będzie ambasadorował w Tajlandii, a pani w Laosie. Ale razem będą mieszkali w Bangkoku. W Laosie tego pomysłu jednak nie kupiono i nie dano pani tzw. agrément. Plan więc uległ zmianie i teraz pan Pawlik wybiera się do Korei. Trwają poszukiwania fuchy dla małżonki. Niektórzy mówią, że w Seulu ma powstać Instytut Polski.

Kolejny wiceminister od Radka, czyli Wojciech Zajączkowski, wybiera się tymczasem do Tokio. Ma doświadczenie w dużych stolicach, bo był już w Moskwie i Pekinie. Jak mawiał Lejzorek Rojtszwaniec, „skoro zwalniają, to będą przyjmować". W związku z ubytkami szeregi wiceministrów u Radka ma zasilić Anna Kostrzewa-Misztal. Wdowa po ambasadorze Bronisławie Misztalu.

Zmieniamy resort. Jak pamiętacie, minister choroby, tzn. zdaniem niektórych minister zdrowia, ogłosiła niedawno, że badania obrazowe wcale nie są tak dobre dla pacjentów, więc trzeba znów wprowadzić limity (które podły kaczystowski rząd podstępnie zniósł). Otóż zaraz po tej deklaracji w Radiu RMF minister pojechała na Warszawski Uniwersytet Medyczny. Oficjalnie na konferencję. A tak naprawdę badać, czy rzeczywiście dojdzie do strajku. Smaczkiem jest fakt, że dygnitarskie limuzyny zablokowały tam dojazd na SOR i do pracowni tomografii czy innych drogich dla NFZ (a zatem szkodliwych) badań. Także dla karetek na sygnale. Lubimy, kiedy władza wciela zapowiedzi w czyn.

Świat polityki pożegnał Andrzeja Olechowskiego, jednego z trzech tenorów i założycieli Platformy Obywatelskiej oraz swego czasu całkiem popularnego kandydata na prezydenta (17,3 proc. w roku 2000 – drugi za Kwachem). Żegnano Olechowskiego rozmaitymi wspominkami; my chcielibyśmy to uczynić, cytując jedną z jego złotych myśli, którą podbił nasze serca. Otóż gdy jego sztabowcy w 2000 r. mieli do niego pretensje, że w kampanii zamiast od rana zasuwać po kraju, pozwala sobie na późne śniadania i jeszcze późniejszy początek zajęć, odpowiedział im: „Gdybym chciał wstawać o szóstej rano, to bym został mleczarzem".

Z cyklu „nikt nie pyta, my odpowiadamy". Pojawiają się zapytania, czy dla nowego apolitycznego ruchu, który na pewno nie jest i nigdy nie będzie partią, wymyślimy jakiś ładny skrót. Oczywiście! Wspomniany ruch to Stowarzyszenie Rozwój Plus ojca Mateusza i jego popleczników. Oto skrót: STROP. Mamy nadzieję, że się przyjmie.

Niektórzy sugerują, że ten skrót to nadużycie, gdyż nazwa stowarzyszenia to tylko Rozwój Plus, bez słowa stowarzyszenie. Tu kłopot, bo wtedy skrót musiałby brzmieć ROP – tak jak niegdyś Ruch Odbudowy Polski. Albo po prostu RP – Rozwój Plus. Nie chcielibyście chyba, żeby ojciec Mateusz zawłaszczył całą RP.

My zamierzamy, w każdym razie, pozostać przy STROP. Dla wszystkich niezadowolonych mamy ważną podpowiedź: ktokolwiek w Polsce zakłada nowe stowarzyszenie albo partię, powinien najpierw w kwestii nazwy skonsultować się z Dwoma Panami G., czy aby nie stanie się ona łatwym przedmiotem jajcowania. Oczywiście żartujemy. Potrafimy jajcować z każdej nazwy. Także bezjajecznej. Na przykład Rozwój Plus. ©℗

eprasa.pl a7e534a8f8

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Tak doi Ordynacka

A co tam w Sieci Badawczej Łukasiewicz? To, czego się należało spodziewać po rządach lewicowych ministrów, najpierw Wieczorka, a teraz Kulaska. Katastrofa. Wpływy z tzw. komercjalizacji spadły rok do roku o prawie połowę.

Łukasiewicz to jedno z największych osiągnięć rządów PiS: połączenie potencjałów polskich instytutów naukowych i powiązanie ich z konkretnymi dziedzinami gospodarki. Pomysł nie był oryginalny, takie sieci, różnie się nazywające, działają w innych krajach i wszędzie ich zyski rosną – na czym zarabiają i firmy, które zamawiają i kupują od naukowców rozwiązania konkretnych problemów, i instytuty naukowe. Wydaje się, że na takim powiązaniu nauki z biznesem nie można stracić. A jednak Polska straciła, bo do sprawy zabrali się partyjni kolesie Czarzastego, którym Donald Tusk rzucił naukę, jako ich udział w łupach i zapłatę za usługi w utrzymywaniu się u władzy.

Ponieważ do Sieci ściągano naukowców z wiedzą i dorobkiem, absolwentów i pracowników Oxfordu, Cambridge, MIT etc., trzeba było im zaoferować wynagrodzenia wyższe niż w standardowej spółce Skarbu Państwa. Ci ludzie i tak mogli zarobić więcej gdzieś w świecie, ale wracali do kraju ze względów patriotycznych. I dostali za to po zmianie władzy dobrą lekcję. Jednego po drugim powyrzucano i powypychano, by te sute pensje mogli zgarnąć kolesie.

Pozwalam sobie zacytować internetowy komentarz Andrzeja Dybczyńskiego, byłego prezesa Sieci: „W Łodzi komercjalizację powierzono policjantowi związanemu z PO. We Wrocławiu złodziejowi paliwa związanemu z Lewicą. W Radomiu dyrektorowi muzeum z PSL. [Dzisiaj] Wyrzucony z Łukasiewicza dyrektor ILOT buduje fabrykę dronów w Abu Zabi. Wyrzucona dyrektor PORT z Wrocławia wymyśla nowe materiały w Dreźnie. Wyrzucona dyrektor KIT z Krakowa opracowuje nowe metody diagnostyczne w Czechach. Czego nie rozumiecie?”.

Rzeczywiście, wszystko jasne. W nauce „praworządność” została już przywrócona. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Zamiatanie pod dywan

Oberwało mi się od przyjaciół nie dlatego, że w tekście „Kosztowne hobby ks. Waldka” („Do Rzeczy” nr 14/2026) ośmieliłem się oskarżyć o nieprawidłowości kapłana, byłego (na szczęście) szefa stowarzyszenia Pomoc Kościołowi w Potrzebie. Dostało mi się, bo ośmieliłem się powołać na TVN, a – jak wiadomo – to stacja, która niszczy Kościół i prawicę. Cóż na to poradzę? Media prawicowe zamiast przyjrzeć się dziwnym działaniom obrotnego jałmużnika, pozwoliły mu budować wizerunek empatycznego dobroczyńcy. Za to redakcja „Superwizjera” zrealizowała bardzo profesjonalny reportaż śledczy.

Przed publikacją tekstu zwróciłem się do władz UKSW i do ks. Waldemara Cisły z pytaniami, czy informacje zawarte w reportażu pt. „Miliony dla przyjaciela misji” są prawdziwe? Jeśli nie, czy biuro prasowe uczelni zamierza ustosunkować się do tych informacji. Zamiast odpowiedzi redakcja „Do Rzeczy” otrzymała sprostowanie, że władze nie miały nic wspólnego z pozauczelnianą działalnością ks. Cisły. Natomiast po publikacji mojego felietonu, na platformie X, sam zainteresowany odparł, że zarzuty TVN nie zostały sprecyzowane na tyle, by mógł się bronić, ponieważ trudno mu „walczyć z domniemaniami i supozycjami, na których oparty jest reportaż”.

To nieprawda. Zarzuty są bardzo precyzyjne. Dość przywołać podanie innego numeru rachunku bankowego w zbiórkach SMS lub przejęcie darowizny, nieruchomości wielomilionowej wartości, nie na stowarzyszenie PKwP, lecz prywatną fundację. Również oskarżenia natury obyczajowej potwierdza postępowanie kurii lubelskiej z grudnia 2025 r., zakończone udzieleniem upomnienia kanonicznego. Ponadto zarzuty zawarte w reportażu pośrednio potwierdza wniosek do prokuratury złożony przez nowe władze stowarzyszenia PKwP. Mijają niemal dwa miesiące, a do tej pory ani ks. Cisło, ani władze UKSW nie domagają się sprostowania od autorów reportażu. ©℗

eprasa.pl a7e534a8f8

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

ĆWIERKOT

Protest mi się nie przebija

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Protestuję (lecz bez egzaltacji) przeciwko określaniu mecenasa Romana Giertycha hashtagiem, czyli takim czymś graficznym „#", #GiertychDebil. Stop. Uważam, że to obniża poziom dysputy. Stop. Proszę zwrócić uwagę, że nie poruszam tu kwestii nietrafności czy nieprawdy określenia, koncentrując się na poziomie, formie dyskusji. Stop. To sformułowanie ze znaczkiem „#" należy do najpopularniejszych na portalu X z powodu różnych takich wierzgań mecenasa. Stop. Na przykład opublikował sfałszowane zdjęcie, na którym wierchuszka PiS razem z Kaczyńskim stoją na tle banneru „Zondacrypto", co miałoby sugerować powiązania z dziwnym biznesem. Stop. Kiedy przyłapano go na publikowaniu fałszywek i zwrócono uwagę, że na oryginalnym zdjęciu za PiS-owcami był napis „Bezpieczna Przyszłość", napisał, że przecież wszyscy wiedzą, iż opublikował fałszywą fotkę. Stop. Protestuję przeciwko nazywaniu Giertycha debilem, ale mój protest się nie przebija.

A dobra tam, to jeszcze o Giertychu. Stop. Otóż napisał, że jest przeciwko publikacji aneksu WSI przez prezydenta Karola Nawrockiego, bo go czytał. Stop. Internauci zwrócili uwagę, że nie mógł czytać, a wtedy on: „Pewnego dnia zadzwonił do mnie prezydent Lech Kaczyński i poprosił o uważne przeczytanie tego tworu. Na podstawie ustawy dostęp do niej mieli wicepremierzy. Przeczytałem uważnie i potem zjedliśmy z prezydentem kolację, podczas której przedstawiłem moje wrażenie z lektury. Podzielał moje zastrzeżenia". Stop. Ładnie, ślicznie, ale… jak zauważył Cezary Gmyz, „Lech Kaczyński otrzymał raport 7 listopada 2007 r., a Giertych przestał być wicepremierem 13 sierpnia 2007 r.". Stop. Kłamać to trzeba umieć…

Podobno niektórzy wiedzieli, ale jakoś nie mówili. Otóż Ministerstwo Zdrowia wydało 320 tys. zł na promocję w TVN-owskim programie „Top Model". Stop. W sytuacji, kiedy służba zdrowia się zwija, diagnostyka leży, nie mając sił na kwiczenie, NFZ świeci pustki blaskiem, ten wydatek wydawać mógłby się niezasadny. Stop. Niemniej znajomy lekarz (nikczemny charakter) sprawę wyjaśniał: „No wiesz, prawdopodobnie w ministerstwie uznano, że ci w »Top Model« mogą być naprawdę, no i wiesz, bo i potrzebują". Stop. Nie jest to jednak oficjalne stanowisko resortu. Stop. ©℗

eprasa.pl a7e534a8f8

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

TO TYLKO ROLA

Kościół krytykować, papieża grać, aktorską gażę brać. Andrzej Chyra w najnowszym filmie „Santo Subito!" wcieli się w rolę Jana Pawła II. Polsko-włosko-francuska produkcja skupia się na zamachu na papieża z maja 1981 r. Chyra nie widzi sprzeczności między odgrywaniem roli przyszłego świętego a notoryczną, antyklerykalną retoryką. Sześćdziesięciojednoletni aktor od lat nie ukrywa krytycznego stosunku do Kościoła. Sam przyznał, że już w dzieciństwie odrzucał religijne wychowanie. „Nie chciałem chodzić na religię. Pomimo że nawet w świeckim domu namawiano mnie do tego, ale się uparłem. Może wtedy odczuwałem opresyjność Kościoła? Do dziś uważam, że polski katolicyzm jest ideologią walki" – mówił w 2019 r. w wywiadzie dla magazynu „Viva!". W chwilach kryzysu, gdy wierzący się modlą, Andrzej Chyra sięga po inne metody. „Kiedy coś mnie uwiera, idę na wino albo wyjeżdżam do ciepłych krajów" – tłumaczył. Media przypominają, że po premierze filmu „W imię...", w którym zagrał homoseksualnego księdza Adama, podkreślał, że Kościół w Polsce rości sobie prawo do kierowania życiem innych i musi być gotowy na reakcję zwrotną. „Kościół w Polsce jest dziś głównie siłą polityczną, nie religijną. Jeżeli pragnie zawłaszczyć dla siebie taką przestrzeń mentalną, to musi być przygotowany na to, że ludzie spoza Kościoła będą również zabierać głos w sprawach kościelnych" – twierdził na łamach „Newsweeka". Kolejny przykład podejścia Chyry do wiary katolickiej to jego wypowiedź z 2021 r. – Kościół zatrzymał w sobie najwięcej z tego feudalnego porządku, zwłaszcza tam, gdzie jest jedynym „oknem na świat" [...]. Niestety, religia jest wieczna, ale stworzył ją człowiek. Ten człowiek stworzył w związku z tym Boga, a temu Bogu zaczął przekazywać swoje najcenniejsze i najbardziej wyabstrahowane wartości, czyli dobro, miłość itd. [...]. Bóg jest teraz narzędziem opresji wobec nas, sami sobie to wymyśliliśmy – przekonywał. Idealny kandydat do roli papieża. Lepszego nie było.

FOT. MIBA; FRV/BACKGRID UK/EAST NEWS

ZAPŁACONE CZY NIE?

Dawid Swakowski, czyli podcaster „Żurnalista", udzielił długiego wywiadu Krzysztofowi Stanowskiemu na Kanale Zero. Kontrowersyjny influencer po raz pierwszy publicznie pokazał swoją twarz. Rozliczając się z trudną przeszłością, opowiedział szczegółowo o nierozliczonych długach i wyjawił, ile zarabia na swoich rozmowach. W przypadku podcastów sponsorowanych za wywiad na YouTube trzeba mu zapłacić ok. 50 tys. zł, a za odcinek na Spotify połowę tej kwoty. Stanowski zapytał, jaki był najpopularniejszy odcinek, za który otrzymał pieniądze. Swakowski przyznał, że była to rozmowa z udziałem prezentera TVN Marcina Prokopa. Prokop szybko zareagował na te słowa. Ironicznie odniósł się do rewelacji Żurnalisty. „Kolega Żurnalista rozchylił poły tajemnicy i objawił w Kanale Zero nie tylko swoją długo skrywaną urodę, ale również informację, że osobiście zapłaciłem mu za możliwość przyjścia do jego podcastu w 2022 r. Czekam, kiedy Dawid ujawni światu, że Bogusław Linda zapłacił Patrykowi Vedze za możliwość zagrania w jego filmie" – przekonuje. Prokop doprecyzował, że nie zapłacił za podcast. Dopytywany, czy zrobił to ktoś z jego współpracowników, stwierdził, że jeśli tak, to byłyby to „najgłupiej wydane pieniądze na świecie". „Być może wydawnictwo, które drukowało moje książki, miało jakiś promocyjny deal, ale jeśli tak, to byłyby to najgłupiej wydane pieniądze na świecie, bo nie brakuje mi możliwości, żeby medialnie promować to, co robię. Za darmo" – stwierdził.

ŹLI JAK POLACY

Dominika Clarke zyskała rozpoznawalność w 2023 r., gdy urodziła pięcioraczki. Przez pewien czas Clarke'owie mieli nawet własny show w stacji TVN. Jednak jakiś czas temu wyjechali do Tajlandii, a Dominika publikuje dosłownie dziesiątki postów dziennie, pokazując życie w sumie 13-oosobowej rodziny. Żyje mediami społecznościowymi, a obserwatorzy mogą śledzić każdy krok – także maluchów – co często wywołuje krytykę. Niedawno influencerka otworzyła własny biznes – biuro podróży organizujące wycieczki po wyspie Koh-Lanta, gdzie mieszka. Przy tej okazji w facebookowym wpisie wyznała, że wstydzi się swojego pochodzenia. „Wstyd mi, że jestem z Polski... czyli kiedy zawiść nie zna granic. Wstydzę się. Po raz pierwszy w życiu, stojąc przed moimi tajskimi sąsiadami, poczułam palący wstyd za to, skąd pochodzę. Wczoraj otworzyłam nowy biznes – szansę na rozwój, na lepszą przyszłość dla moich 11 dzieci. Odpowiedź? Zorganizowany atak, by zniszczyć mnie jako człowieka i odciąć moją rodzinę od środków do życia. Te same osoby, które wycierają sobie usta »dobrem dzieci«, od rana prowadzą zmasowaną akcję na grupach naszej wyspy. Próbują zatruć nasze życie tutaj, oczernić nas przed lokalną społecznością, zniszczyć relacje, które budowaliśmy miesiącami. To już nie jest »opinia« – to jest cyberterroryzm" – oburzyła się. Dalej relacjonowała, że od swoich tajskich znajomych dostaje pytanie o to, „dlaczego Polacy są tacy okrutni". „Próbowałam tłumaczyć, że to tylko garstka nieszczęśliwych ludzi, że zło jest po prostu głośniejsze od dobra, a w Polsce są miliony cudownych osób. To, co robią te kobiety, to czysta, nieludzka przemoc. I robią to na oczach tysięcy ludzi, czując się bezkarnie za swoimi klawiaturami" – podsumowała. ©℗

eprasa.pl a7e534a8f8

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jak wiecie z racji naszego socjologiczno-politologicznego zacięcia, jesteśmy wielkimi fanami sondaży i badań opinii. Mamy jednak, z uwagi na wykształcenie magisterskie, do nich zdrowy dystans i krytycyzm, tak iż potrafimy je interpretować, patrząc nieco szerzej, niż robią to inni.

Przykład: otósh znaleźliśmy niedawno wyniki takiego badania przeprowadzonego wśród mieszkańców tego kraju. I wyobraźcie sobie, iż według tego badania jeszcze nigdy tak wielu Polaków nie deklarowało, iż posiada „swobodę finansową i możliwość pozwolenia sobie na luksus". Zastanówmy się jednak przez chwilę, co tak naprawdę to oznacza.

Na chwilę jednak zatrzymajmy się przy polskim mindsecie, o którym wam wielokrotnie opowiadaliśmy. Wiecie: że Polacy wybierają stare samochody, tańsze wakacje w kraju i mają zazwyczaj jedno mieszkanie zamiast trzech, i to jeszcze w wielkiej płycie i niewielki metraż, nie posiadają też oszczędności, iż nie potrafią gospodarować finansami.

Jak więc tłumaczyć wyniki tego badania, wiedząc o Polakach to wszystko, co wiemy? No polskim mindsetem właśnie. Pytanie: co uważamy za luksus. Wiadomo, iż dla nas będzie to coś zupełnie innego niż dla takiego statystycznego wąsatego janusha, dla którego luksusowa to może być wódka, kiełbasa, ewentualnie możliwość wyjechania na wczasy pracownicze do ośrodka wybudowanego za Gomułki, a wyremontowanego za Gierka.

Wiecie, im niższe ktoś ma oczekiwania, tym niższy jest próg zadowolenia. O ile obniżenie oczekiwań może być rzeczywiście cool w buddyzmie, o tyle jednak nie sądzimy, iżby klasyczny janush kierował się w życiu filozofiami Dalekiego Wschodu. On raczej nie rozumie, jak wysoko mógłby aspirować, gdyby zmienił swój polski mindset.

Zauważmy też, że ten rekordowy wynik, dokładnie 39 proc., padł w czasie rządów premiera Tuska. A więc jeśli nawet podkarpacie nie do końca rozumie, do czego może aspirować, co może mieć, to jednak mimowolnie przyznało, iż za czasów Koalicji Obywatelskiej żyje mu się dobrze – czy może istnieć lepsza pochwała pod adresem rządu?

Widzieliśmy, iż lewica wpadła na rewolucyjny pomysł związany z podatkiem katastralnym i proponuje, aby płacił go każdy właściciel domu bądź mieszkania, nawet jeśli jest to jego pierwszy lokal – podają media. Słuszny kierunek, naszym zdaniem, ale jednak zbyt zachowawczy.

Wydaje nam się, iż mamy pomysł nawet bardziej rewolucyjny, a mianowicie postulowalibyśmy, gdybyśmy byli lewicą w parlamencie, aby podatkiem katastralnym objąć też przyszłych właścicieli mieszkań. Jesteśmy bowiem zdania, iż jeśli ktoś ma zamiar kupić mieszkanie albo chociaż myśli o kupnie mieszkania, to oznacza, iż jest w sytuacji uprzywilejowanej, a jako osoba uprzywilejowana powinien zapłacić od swojego przywileju odpowiedni podatek.

Zdajemy sobie sprawę, iż jest to trudne do wykazania, kto taki podatek musiałby zapłacić, a więc mamy stary sprawdzony historycznie sposób, a mianowicie zastosowanie odpowiedzialności zbiorowej. W ten sposób podatek katastralny stałby się powszechny, zapłacić musiałby go każdy, bez wyjątku i bez dyskutowania o tym, czy o mieszkaniu faktycznie na razie tylko pomyślał czy może aby nawet otworzył jakiś portal z ofertami.

Jak sprawiedliwość, to dla wszystkich!!! ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

To jest bohaterstwo!

No, jak tam sobie, panie sędzio, radzicie?
W sumie nieźle, panie ministrze. Raz mi się nawet udało wejść na chwilę do jakiegoś pustego gabinetu w trybunale.

Jakim cudem?
Normalnie. Przebrałem się w taki strój roboczy – kombinezon taki granatowy. Czekałem od 4 rano i wszedłem, że niby z ekipą sprzątającą. Gabinet jakiś był otwarty, na plakietkę nie spojrzałem, bo trochę zdenerwowany byłem...

Brawo, to jest bohaterstwo! Ale trzeba już było okupację zacząć.
Niby tak. Ale o 8 wszedł prezes, to był jego gabinet. A wie pan, to kawał chłopa jest. Nie poznał mnie. Kurze kazał dokładniej pościerać i się wynosić. No to wyszedłem.
©℗ **Łukasz Warzecha**

OD RZECZY

„Chcieliśmy pokazać, jak TVP funkcjonowała wcześniej".

MONIKA ROSA, *posłanka KO, w Wirtualnej Polsce o powodach, dla których KO nie zrealizowała swojej obietnicy, aby przekazać miliardy złotych dla TVP na onkologię*

eprasa.pl a7e534a8f8

DO RZECZY S.A. ZADEBIUTOWAŁO NA GIEŁDZIE

28 kwietnia spółka Do Rzeczy – wydawca tygodnika „Do Rzeczy", miesięcznika „Historia Do Rzeczy" oraz portalu DoRzeczy.pl – zadebiutowała na rynku NewConnect.

– Zrobiliśmy to. Dziś, dzięki wsparciu i zaufaniu naszych czytelników, którzy w dużej liczbie zostali inwestorami, możemy mówić, że Do Rzeczy jest spółką giełdową – ogłosił wiceprezes zarządu i redaktor naczelny tygodnika „Do Rzeczy" Paweł Lisicki podczas uroczystego debiutu w siedzibie warszawskiej Giełdy Papierów Wartościowych.

Do obrotu na rynku NewConnect zostały wprowadzone akcje zwykłe na okaziciela serii A, A2, A3, B, D i E, w tym akcje nowej emisji serii D w liczbie 34 094 sztuk oraz serii E w liczbie 19 771 sztuk. Strategicznym akcjonariuszem Do Rzeczy pozostaje PMPG Polskie Media, spółka notowana na rynku głównym GPW. – Do Rzeczy od początku było projektem zbudowanym nie tylko na biznesie, ale przede wszystkim na wartościach: wolności słowa, wolności opinii, szacunku do prawdy, odpowiedzialności za słowo i niezależności myślenia – mówił podczas debiutu członek rady nadzorczej PMPG Polskie Media S.A. Michał Lisiecki.

Był to trzeci debiut na rynku NewConnect w 2026 r. i 356. debiut od początku funkcjonowania tego rynku. ©℗

FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ/ARSLUMEN

eprasa.pl a7e534a8f8

eprasa.pl a7e534a8f8

Osaczeni w Budapeszcie

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Rozgrzane żądzą zemsty polskie władze i media liczą, że koniec rządów Viktora Orbána oznacza szybkie wydalenie do kraju Zbigniewa Ziobry i Marcina Romanowskiego. Mogą się jednak przeliczyć. Jak wygląda sytuacja polskich posłów, którzy przebywają na Węgrzech dzięki azylowi politycznemu?

Zarówno Zbigniew Ziobro (z lewej), jak i Marcin Romanowski (z prawej) zaprzeczają doniesieniom mediów na temat rzekomo planowanej ucieczki z Węgier FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER, MATEUSZ WŁODARCZYK/NURPHOTO/AFP/EAST NEWS

Węgierski miesiąc miodowy, panie Ziobro, się kończy. Albo do niedzieli sam się spakuje i wróci do Polski, albo go przywieziemy. Czas sprawiedliwości nadchodzi – ogłosił przed wyborami parlamentarnymi na Węgrzech poseł KO Witold Zembaczyński, członek sejmowej komisji śledczej do spraw Pegasusa. Jak podkreślił, „Orbán najpewniej straci władzę i Ziobro nie będzie już pod ochroną". Viktor Orbán faktycznie przegrał. – Mówiłem już wcześniej publicznie, by nie kupowali mebli w Ikei, bo nie zostaną tutaj długo. Węgry nie są krajem, które udzielają azylu osobom podejrzanym o przestępstwa – powiedział po wygranych wyborach lider partii TISZA, przyszły premier Węgier Péter Magyar. Wcześniej wypowiadał się jeszcze ostrzej. – Wydalimy ich pierwszego dnia. Myślę, że będą w drodze do Moskwy lub Mińska – zapowiedział.

Stery rządów przejmie najprawdopodobniej tuż po 9 maja, ponieważ na ten dzień prezydent Tamás Sulyok zwołał inauguracyjne posiedzenie węgierskiego Zgromadzenia Narodowego. Marcin Romanowski przebywa na Węgrzech dzięki azylowi politycznemu uzyskanemu w grudniu 2024 r. Zbigniew Ziobro podobne gwarancje uzyskał od rządu Viktora Orbána w styczniu tego roku. Ochronę otrzymała także żona byłego ministra sprawiedliwości, Patrycja Kotecka.

Obaj politycy PiS są podejrzani w śledztwie dotyczącym Funduszu Sprawiedliwości. Ziobrze, wśród 26 przestępstw, prokuratura chciałaby postawić zarzut kierowania zorganizowaną grupą przestępczą.

ŻĄDNI KRWI

Dzień po zwycięstwie TISZ-y minister sprawiedliwości Waldemar Żurek wystąpił na konferencji prasowej. – Demokraci, którzy wygrali wybory, wskazali, że nie będą przechowalnią dla potencjalnych przestępców. Mam nadzieję, że w sposób cywilizowany, zgodnie z przepisami prawa, te osoby doprowadzimy przed polski wymiar sprawiedliwości – rozpoczął briefing prasowy.

Trzy dni po wyborach parlamentarnych nad Dunajem szefowie klubów koalicji rządzącej przekazali do Sejmu wstępny wniosek o postawienie byłego ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry przed

eprasa.pl a7e534a8f8

Trybunałem Stanu. Wniosek zawiera łącznie 51 zarzutów, w tym 25 dotyczących popełnienia deliktów konstytucyjnych oraz 26 związanych z podejrzeniem popełnienia przestępstw pospolitych. – Dokument liczy ponad 250 stron, zawiera 117 dowodów i przewiduje przesłuchanie 68 osób przed Komisją Odpowiedzialności Konstytucyjnej – przekazał poseł KO Zbigniew Konwiński.

Premier Donald Tusk zapytany, czy postawienie Ziobry przed TS to realny scenariusz, trochę ochłodził entuzjazm. – Mamy realne ograniczenia, zarówno jeśli chodzi o prokuraturę, jeśli chodzi o większość parlamentarną, weta prezydenckie. Tak, to wszystko zostało przez PiS naprawdę bardzo mocno zabetonowane – stwierdził. – Ja jestem gotów do działania bardzo zdecydowanego, ale […] ja chcę działać i będę działał zawsze w ramach prawa – zadeklarował.

Dalej szef rządu powiedział, że „prawo dzisiaj w Polsce jest niedoskonałe, a miejscami jest bardzo złe". – Ale metodą na to nie jest łamanie prawa, tylko wygranie kolejnych wyborów w takim stopniu, żeby móc to prawo skutecznie zmieniać – podkreślił. I dodał, że rozliczenia poprzedniego rządu „idą za wolno, bo obiektywne okoliczności prawne bardzo to utrudniają".

– Wniosek o pociągnięcie wstępne do odpowiedzialności konstytucyjnej inicjuje procedurę przed Komisją Odpowiedzialności Konstytucyjnej. To jest długotrwała procedura. Mam wrażenie, że te wszystkie działania ze strony obecnego rządu służą w gruncie rzeczy wygenerowaniu „faktu medialnego", pokazaniu, że działa w tym obszarze, zaspokojeniu oczekiwań swojego elektoratu, a nie faktycznym ruchom prawnym – mówi „Do Rzeczy" mec. Bartosz Lewandowski, obrońca obu polityków.

WĘGIERSKA „DEMOKRACJA WALCZĄCA"?

Sprawa przed Trybunałem Stanu to pieśń przyszłości. Najpierw rządzący musieliby sprowadzić azylantów do kraju. Media prześcigają się we wskazywaniu kolejnych, potencjalnych miejsc wyjazdu Ziobry i Romanowskiego. Najpierw spekulowano, że mogą szukać wsparcia u prezydenta USA Donalda Trumpa. Później nieprzychylne posłom tytuły twierdziły, że pojadą na Białoruś lub do Serbii. Najnowszym kierunkiem ma być Turcja. W mediach społecznościowych zaczęły pojawiać się zdjęcia, na których ponoć widać Zbigniewa Ziobrę na lotnisku w Budapeszcie. Szybko okazało się, że to fake newsy.

Żeby konieczny był wyjazd, azyl musi zostać uchylony, a to nie następuje automatycznie po zmianie władzy, jak próbują przedstawiać członkowie koalicji. – Państwo węgierskie i jego wymiar sprawiedliwości, a także rząd do tej pory szanowali obowiązujące w tym kraju prawo. Wszelkie decyzje były z tym prawem zgodne. Czy to zmieni się z nadejściem Pétera Magyara? Nie mogę wykluczyć, że będzie chciał na wzór i podobieństwo Tuska działać w myśl „demokracji walczącej". Ale na razie decyzja o uchyleniu mi azylu politycznego podlega kontroli sądu węgierskiego – mówi „Do Rzeczy" Zbigniew Ziobro. – Wtedy miraż kłamliwych opowieści Tuska musi się zderzyć z faktami opartymi na twardych dokumentach, które ten sąd oceni. Dlatego nie sądzę, że premier Magyar będzie tak skory do podjęcia decyzji o uchyleniu azylu. Mógłby w sądzie ponieść spektakularną porażkę. Radość nienawistnych środowisk w stosunku do nas może być przedwczesna, bo liczyli, że następnego dnia po wyborach zostaniemy deportowani – zauważa były minister.

Z kolei Marcin Romanowski przekonuje, że na długo przed wyborami Péter Magyar publicznie atakował go „za pomocą kłamstw i manipulacji". – W tej sprawie w przyszłości będę podejmował przeciwko niemu kroki prawne. Zapowiadał

eprasa.pl a7e534a8f8

również, że następnego dnia po przejęciu władzy dokona ekstradycji Zbigniewa Ziobry i mnie. To jednak pokazuje jego aroganckie podejście do prawa: bo w UE to sądy, a nie politycy decydują o wydaniu osoby ściganej na podstawie Europejskiego Nakazu Aresztowania. Lub odmawiają wydania – a w takiej sprawie jak moja podstaw do odmowy wydania jest aż nadto – zaznacza nasz rozmówca.

Mecenas Bartosz Lewandowski, który współpracuje z oboma politykami, mówi, że na razie nie ma wiedzy o żadnych działaniach ze strony administracji węgierskiej. – Natomiast też to nie jest tak, z tego, co się orientuję, że tutaj zmiana rządu powoduje natychmiastową zmianę sytuacji – dodaje.

Zbigniew Ziobro ocenia, że Węgry, w przeciwieństwie do Polski pod rządami Donalda Tuska, były przez lata krajem praworządnym – dlatego postanowił tam wyjechać. – W orwellowskiej Oceanii funkcjonowało Ministerstwo Prawdy, które zajmowało się… zakłamywaniem rzeczywistości. W unijnej Wspólnocie rolę orwellowskich ministrów prawdy grają liberalno-zakłamani europejscy przywódcy i kolaborujące z nimi media. Z uporem odwracają znaczenie podstawowych pojęć: Viktora Orbána, patriotę i demokratę, nazywają dyktatorem, a Donalda Tuska, który jawnie łamie prawo, depcze konstytucję i z bezprawia uczynił metodę rządzenia, próbują przedstawiać jako symbol praworządności i wzór demokraty – mówi. – Na Węgrzech za Orbána, w odróżnieniu od Polski pod rządami Tuska, prawo było respektowane, a organy sprawiedliwości działały w granicach i na zasadach prawa. Orbán w odróżnieniu od Tuska zawsze wykonywał orzeczenia węgierskiego Sądu Najwyższego. Nigdy nie paraliżował prac Trybunału Konstytucyjnego i nie przejmował nielegalnie sądów, odwołując wbrew ustawom niewygodnych prezesów. A co może stanowić bardziej jawne łamanie niezależności trzeciej władzy? Orbán do osądzania swoich przeciwników nie wskazywał palcem sędziów, którzy z naruszeniem gwarancji procesowych pozbawiali niewinnych ludzi wolności i stosowali na jego żądanie polityczne areszty. Nie kazał włamywać się do biur prokuratorów krajowych i do szaf pancernych w gabinetach sędziowskich. Tusk wszystko to robi, ostentacyjnie łamiąc prawo, ponieważ – jak sam to publicznie ogłosił – w jego „demokracji walczącej" będzie stosować prawo, tak jak on je rozumie. Wszystkie te nadużycia, które były podstawą mojej decyzji o pozostaniu na Węgrzech, nie zaistniały w kraju Orbána w ogóle – stwierdza w rozmowie z „Do Rzeczy".

Zarówno Ziobro, jak i Romanowski zaprzeczają doniesieniom mediów na temat rzekomo planowanej ucieczki z Węgier. Były szef MS skomentował rewelacje dotyczące tego, że już szuka lotów do USA. – Zadzwonił do mnie dziennikarz z pytaniem, czy jestem już na lotnisku i wylatuję do Stanów albo czy planuję późno majowy lot do Filadelfii, bo ruszają tam loty z Węgier. Nie miałem o tym pojęcia, bo nie interesowałem się siatką lotniczych połączeń. Wyobraźnia dziennikarska jest wielka – żartuje Ziobro.

„Rzeczpospolita" poinformowała, że politycy mogą starać się o uzyskanie obywatelstwa Węgier. – To kolejna księżycowa historia. Od razu więc dementuję, że nie będę występować także o obywatelstwo Watykanu, choć to zupełnie wyjątkowe miejsce, czy Serbii, bo też, co do obu tych miejsc, takie „moje plany" krążą w sieci – zapewnia w rozmowie z „Do Rzeczy" Zbigniew Ziobro. Marcin Romanowski dodaje, że „szkoda czasu na komentowanie political fiction".

Czy posłowie PiS mogą zostać sprowadzeni do kraju na podstawie Europejskiego Nakazu Aresztowania? ENA wobec Marcina Romanowskiego została wydana ponownie w lutym, po tym, jak w grudniu sędzia Dariusz Łubowski zdecydował o uchyleniu nakazu, a następnie został wyłączony z orzekania i prokuratura skierowała powtórny wniosek. Z kolei sprawa Zbigniewa Ziobry cały czas jest w toku. Romanowski uważa, że „ENA została »wydana« w sposób ordynarnie nielegalny". – Przypomnijmy: sędzia Łubowski w grudniu prawomocnie – czyli ostatecznie – uchylił ENA z druzgocącym dla Tuska i jego szajki uzasadnieniem: rażące łamanie praw człowieka i porządku konstytucyjnego, dewastowanie wizerunku Polski przez prokuraturę, haniebne wypowiedzi, represje z niskich pobudek zemsty. Kryptodyktatura. Efekt? Sędzia Łubowski usunięty, a nowy-stary ENA wydany na podstawie identycznych okoliczności przez sędzię wskazaną „z palca". To ordynarne naruszenie zasady prawomocności i losowego przydziału spraw przed każdym uczciwym sądem byłoby wystarczające, żeby całą sprawę uznać za polityczną represję. Interpol w zeszłym roku właśnie tak ją potraktował. Choć oczywiście uczciwych sądów w UE jest jak na lekarstwo – mówi były wiceminister sprawiedliwości.

Mecenas Lewandowski wyjaśnia, że o zastosowaniu ENA nie decyduje premier Węgier, tylko sąd, zgodnie z prawem węgierskim. – Węgierska prokuratura musi przedstawić europejski nakaz aresztowania. Osoba musi być przesłuchana, sprawa być przedstawiona sądowi, który decyduje w tym przedmiocie po rozpatrzeniu wszechstronnym wszystkich kwestii i prawnych i faktycznych – czy są podstawy do wydania, czy np. w Polsce mogą te osoby liczyć na sprawiedliwy proces. Nic nie dzieje się na podstawie decyzji samego premiera – mówi.

Zbigniew Ziobro zapewnia, że gdyby w kraju przywrócono praworządność, jest gotów przyjechać w ciągu sześciu godzin – bo tyle jedzie się z Budapesztu

Prawnik tłumaczy, że państwa UE mają obowiązek wykonania nakazu, chyba że została udzielona ochrona azylowa. – Zdarzało się w praktyce, że sądy państw członkowskich nie wykonywały ENA. Polska np. ostatnio nie wydała obywatela Ukrainy podejrzanego przez władze niemieckie o wysadzenie gazociągu Nord Stream. Natomiast jeżeli np. w trakcie podróżowania dojdzie do zatrzymania, wtedy taki kraj będzie decydował o tym, czy zrealizować europejski nakaz aresztowania czy nie i czy honorować decyzję o ochronie międzynarodowej – wskazuje. Mecenas Bartosz Lewandowski dodaje, że posłowie dysponują tzw. paszportami genewskimi. – Paszport ten zasadniczo umożliwia podróżowanie po terytorium krajów, które podpisały konwencję i respektują ten paszport, więc posłowie mają oczywiście możliwość podróżowania – mówi „Do Rzeczy".

eprasa.pl a7e534a8f8

Były minister sprawiedliwości zapewnia, że wybrał Budapeszt, bo tutaj szanuje się jego prawa. – Tak samo jest ze mną i Marcinem Romanowskim. Jesteśmy na ziemi węgierskiej dlatego, że wiemy, iż operacja Tuska nielegalnego przejęcia prokuratury i sądów służy temu, aby w politycznych sprawach wyroki były pisane na biurku premiera, a nie w sumieniu niezależnego, uczciwego sędziego – podkreśla. Ziobro zaznacza, że wyjechał z Polski nie w chwili, gdy wymierzono w niego postępowanie. – Wiele tygodni wcześniej byłem zaproszony na konferencję do Budapesztu poświęconą łamaniu prawa przez rząd Tuska. Następnego dnia po tym, gdy wygłosiłem w Budapeszcie oskarżycielskie wystąpienie wobec Tuska, uruchomili w kraju wobec mnie sfabrykowane zarzuty. W pierwszym odruchu chciałem wrócić do Polski, ale dotarły do mnie informacje, że oni „ustawiają" sędziego, już cała sprawa jest ustawiona, że jest jeszcze przygotowana prowokacja. Przekonano mnie, że oddanie się w ręce złoczyńców nie będzie dobrym pomysłem. Z takimi ludźmi nie można walczyć na warunkach honorowych, bo oni uczciwych zasad nie uznają. Jakie miałbym szanse na uczciwy proces, na przedstawienie prawdy, na wyjaśnienie absurdalnych zarzutów, jeżeli ustawia się prokuratora, jeżeli ustawia się sąd, likwiduje losowanie sędziów, nie wykonuje orzeczeń Sądu Najwyższego, blokuje wyroki Trybunału Konstytucyjnego? – pyta.

Zapewnia, że będzie walczył o siebie tak długo, jak będzie miał siłę. – Dziś bardzo boli ich to, że jestem za granicą i mogę obnażać kłamstwa [...]. Nie mogę wrócić do Polski dopóty, dopóki prawo, reguły i zasady są łamane – mówi.

Polityk PiS zapewnia, że gdyby w kraju przywrócono praworządność, jest gotów przyjechać w ciągu sześciu godzin – bo tyle jedzie się z Budapesztu. – Jeżeli wrócą legalni prezesi sądów, legalna prokuratura, a orzeczenia Sądu Najwyższego będą respektowane – dodaje.

Zbigniew Ziobro przytacza historię lekarki, która – jak mówi – uratowała mu życie. – Przeszedłem bardzo ciężką chorobę nowotworową. Kpili ze mnie, że rzekomo wymyśliłem chorobę, organizowali nagonki na mnie i na panią profesor, cenionego nie tylko w Polsce onkologa, która uratowała mi życie. Olbrzymi hejt, który zalał śp. prof. Elżbietę Starosławską, był haniebny. Ona to ogromnie przeżywała, potem niestety nagle zmarła. Chciałbym wierzyć, że nie ma w tym związku. Po tym, jak potraktowano panią profesor, miałem wybór między operacją w Polsce a za granicą. Musiałem wybrać, czy kolejny polski lekarz będzie przedmiotem wulgarnego ataku zwolenników Tuska – tych z sercem na dłoni, ale z nożem w ręku – podkreśla.

Były szef MS chwali sobie życie w Budapeszcie. – Węgry to piękny kraj i zawsze miałem do nich sentyment. Lubię tu przyjeżdżać, by poczuć ten klimat i serdeczność mieszkańców. Budapeszt jest wyjątkowym miastem. Ma piękną starą architekturę i ciekawą geografię. W Budzie są całkiem wysokie wzgórza i można się poczuć niemal jak w polskich Beskidach. Z kolei Peszt to wspaniałe nowoczesne kamienice XIX-wieczne i świetnie zurbanizowane miasto. No i w Budzie oczywiście imponująca część zamkowa oraz średniowieczne i barokowe budynki. W Budapeszcie można znaleźć wszystko. Są świetne parki, miejsca dla dzieci, wiele obiektów sportowych [...]. To jest dobrze przemyślane miasto z wielką tradycją i historią. Wiele też miejsc symbolicznie łączy nasze kraje. I jest piękny Dunaj, rzecz jasna. Tu żyje się po prostu miło, czego, jak wskazują wybory, wielu Węgrów nie docenia. Mogę też powiedzieć, że Węgrzy są nastawieni bardziej propolsko niż Polacy prowęgiersko, nad czym boleję – mówi.

Pytany przez „Do Rzeczy", za czym najbardziej tęskni, żyjąc poza ojczyzną, mówi: – Za tym, by móc w studiach telewizyjnych czy radiowych ścierać się z przedstawicielami tej kłamliwej władzy. By móc, patrząc im prosto w oczy, wytykać ich kłamstwa. Tęsknię za spotkaniami z wyborcami, zwykłymi Polakami, by móc wyjaśniać im, czym naprawdę jest władza Tuska. Tęsknię za wystąpieniami sejmowymi, gdzie mógłbym przedstawiać prawdę o przestępczej działalności środowiska Tuska.

Zaznacza, że najbardziej jednak tęskni za rodziną, przyjaciółmi i po prostu za Polską. – Polska to dla mnie najpiękniejszy kraj na świecie. Uwielbiam naszą przyrodę, zwłaszcza wiosną, z tą intensywną zielenią, gdy kwitną jabłonie, śliwy czy wiśnie. Cenię polską kuchnię i tę polskość, którą wyczuwa się w powietrzu od gór po morze. I chociaż Węgry bardzo mi Polskę przypominają, to ta tęsknota do Ojczyzny mocno mi uwiera – podsumował Zbigniew Ziobro.

TO TYLKO ZEMSTA

Marcin Romanowski nie ma wątpliwości, że koalicji rządzącej chodzi tylko o polityczną zemstę. – To ich podstawowa emocja. Od strony prawnej cała sprawa to klasyczne lawfare wobec politycznych oponentów. Nawet bez obalania kłamstw co do stanu faktycznego tylko na poziomie kwalifikacji prawnych można z całą pewnością stwierdzić, że tu nie było żadnego przestępstwa. Nie można przecież wpływać na decyzje komisji konkursowych w sytuacji, kiedy te komisje nie podejmują żadnych decyzji – mówi, odnosząc się do stawianych mu zarzutów ustawiana konkursów w ramach Funduszu Sprawiedliwości.

Były wiceminister przyznaje, że choć nie jest nadmiernie wrażliwy, to „bardzo brakuje mu kontaktu z bratem czy przyjaciółmi i współpracownikami z Lubelszczyzny i reszty Polski". – Nie zastąpią tego do końca rozmowy telefoniczne czy odwiedziny raz, dwa razy w ciągu roku. Bardzo trudnym doświadczeniem była oczywiście śmierć mojego Taty, który cierpiał z powodu tych wszystkich haniebnych medialnych nagonek na mnie. To wszystko jednak mobilizuje do walki z tymi bandytami przy władzy – nie z zemsty, ale żeby już nigdy nikogo nie skrzywdzili i nie niszczyli Polski – przekonuje w rozmowie z naszym tygodnikiem.

Romanowski opowiada, że przebywając na Węgrzech, niemal każdego dnia doświadcza tego, co wybrzmiewa w haśle „Polak, Węgier – dwa bratanki". – Zresztą ręka wyciągnięta przez Węgry Viktora Orbána nie tylko umożliwiła mi kontynuowanie walki z szajką 13 grudnia, lecz także dała wielu osobom poczucie bezpiecznego azylu w razie represji. Teraz nie tylko to bezpieczeństwo zniknęło, ale sami Węgrzy stoją wobec prowadzonej z Brukseli wojny hybrydowej przeciwko ich suwerenności i tożsamości. Tym bardziej ważne są te tak bardzo liczne gesty wsparcia. Którym zawsze towarzyszy obopólne przekonanie, że po nocy przyjdzie dzień i wzmocnieni tymi trudnymi doświadczeniami odbudujemy burzone przez globalistów mosty między Polakami i Węgrami – podsumowuje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a7e534a8f8

Mateusz Morawiecki i Jarosław Kaczyński FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/FORUM

PiS w epoce „dwóch płuc”

Piotr Semka

Mateusz Morawiecki ma zwartą drużynę, a jego przeciwnicy w PiS wciąż nie dojrzeli do jakiegoś, choćby szczątkowego skoordynowania działań. Nawyk uznawania, że nad całością spraw panuje Jarosław Kaczyński i samemu trzeba tylko uważnie wysłuchiwać poleceń z Nowogrodzkiej, już na starcie znacznie osłabia wszystkich tych, którzy nie zgromadzili się pod sztandarem Morawieckiego

Powoli mija medialne wzburzenie wokół powstania Stowarzyszenia Rozwój Plus. Większa część mediów szykowała się do ogłoszenia wielkiego rozpadu PiS. Z kolei zwolennicy obu Konfederacji bez emocji obserwowali kryzys w nielubianej partii. Co równie ciekawe, media życzliwe PiS miały wyraźny kłopot z opisaniem sytuacji i dopiero gdy doszło do rozmowy na szczycie Kaczyński – Morawiecki, odetchnęły z ulgą.

Wynik tej ugody na krótką metę jest sukcesem Mateusza Morawieckiego i nie ma co w tej kwestii dyskutować. Były premier negocjował przez blisko siedem godzin z prezesem PiS jak równy z równym i zakończył rozmowę zalegalizowaniem swojego stowarzyszenia w obrębie największej partii opozycji.

Ale diabeł dalszej niepewności może tkwić w szczegółach. Kaczyński wyraźnie zaznaczał, że aktywność Stowarzyszenia Rozwój Plus ma się realizować jedynie w dość enigmatycznej „Radzie ekspertów PiS”. Morawiecki już tej deklaracji nie powtórzył na konferencji ogłaszającej pojednanie w partii. Co więcej, tweet z 24 kwietnia, czyli już po ugodzie na szczycie autorstwa sympatyzującego z Morawieckim Marcina Przydacza, głosił: „Zjednoczeni w PiS ruszamy do walki o przyszłość Polski. Dołącz do nas!”.

Taki wpis pokazuje, że frakcja „harcerzy” nie rezygnuje z masowego naboru do stowarzyszenia. Werbunku wykraczającego poza ramy partii Jarosława Kaczyńskiego. Przypomnijmy, że Kaczyński zaznaczył, że na razie inne formy działania stowarzyszenia poza Radą Ekspertów są „wstrzymane”. Morawiecki tego nie potwierdza. Tak więc od samego początku są już różnice rozumienia ugody, co zresz-

eprasa.pl a7e534a8f8

tą natychmiast wychwyciły i nagłośniły media marzące o podziale w PiS.

Tyle na temat tego, co zyskał Morawiecki.

A co zyskał Kaczyński? Przede wszystkim zachował jedność partii, a to był zawsze priorytet dla polityka z Żoliborza. Utrwalił swój status „peacemakera", choć już nie władcy absolutnego. Ponadto kupił trochę czasu. Im bliżej będzie terminu wyborów, tym ewentualna secesja „morawiecczyków" będzie coraz bardziej ryzykowna dla secesjonistów. A ostateczną bronią Kaczyńskiego może być umieszczenie lub nieumieszczenie ludzi Morawieckiego na miejscach biorących list wyborczych. To oznacza, zdaje się, że skutecznie odwlókł rozstrzygnięcie sporu o pół roku, może więcej.

POLITYKA WYRÓWNYWANIA POTENCJAŁU

Ale przy okazji Kaczyński zyskał ważną obserwację. Morawiecki nie jest na tyle pewny swojego sukcesu poza PiS, by zaryzykować wyjście z partii. Oczywiście można powiedzieć, że Morawiecki wybrał taktykę budowania swojej silnej pozycji wobec Kaczyńskiego i Czarnka i ewentualnie czeka na jakieś potknięcie oficjalnego kandydata PiS na premiera, ale pokazuje to, że były premier wciąż docenia zalety działania w ramach dużej zjednoczonej partii. Notabene zresztą w wielu analizach dotyczących Morawieckiego nie bierze się pod uwagę znaczącego faktu. Morawiecki w pewnym sensie wszedł do polityki „na gotowe". Kaczyński jako zarządca dużej partii dał mu na tacy najpierw funkcję ministra finansów, a potem premiera. Owszem, Morawiecki zbudował wokół siebie sprawny aparat rządowy, którego członkowie są dziś kośćcem Stowarzyszenia Rozwój Plus. Ale każde budowanie partii od zera, nawet jeżeli Morawiecki sugeruje, że ma struktury, pieniądze i kontakty zagraniczne, to jednak budowanie czegoś nowego i związana z tym pewna niewiadoma co do szans projektu. Tak więc na razie Morawiecki – jeśli założyć, że po głowie chodzi mu secesja – zawiesił te plany na kołku. Choć z drugiej strony media liberalne i protuskowe, które z emfazą zadawały pytanie, jak długo były premier będzie dawał się marginalizować w partii, teraz przeskoczyły do kolejnej skrajności i ogłaszają światu, jak to Kaczyński zgiął kark przed Morawieckim.

Przykładem takiej retoryki jest artykuł Jakuba Majmurka w „Newsweeku", który na podstawie konferencji PiS „Myśląc Polska: Alternatywa 2.0" w Warszawie z 25 kwietnia br. ogłasza, że PiS działa teraz na warunkach Morawieckiego. „Były premier nie tylko przemawiał przed Czarnkiem, lecz także narzucił ton wszystkich wystąpień. Morawieckim mówił też bowiem prezes Kaczyński. Nie straszył Niemcami, osobami trans, nie wspomniał nawet o Tusku, zamiast tego mówił o ambitnych rozwojowych celach".

Publicysta „Newsweeka" najwyraźniej nie rozumie, że Kaczyński chciał konwencją z 25 kwietnia scementować ugodę na górze, a jej ekonomiczny charakter siłą rzeczy premiował Morawieckiego.

Znając politykę wyrównywania potencjału skrzydeł partii, za pewien czas możemy obserwować gesty naczelnika wobec Przemysława Czarnka. I to prowadzi nas do trzeciego pytania – w jakiej sytuacji porozumienie na linii Kaczyński – Morawiecki stawia obecnego oficjalnego kandydata PiS na premiera? Dla Czarnka fakt, że nie było go na kluczowym spotkaniu zorganizowanym przez Adama Bielana w nocy z 23 na 24 kwietnia, był oczywiście despektem. Ale Kaczyński najwyraźniej zorientował się w swoim nietakcie i dwa dni później na kolejnym zdjęciu z przyjęcia w domu swego kuzyna Jana Marii Tomaszewskiego (u którego Kaczyński mieszka tymczasowo w związku z remontem swojego domu) widać było już zarówno Morawieckiego, jak i Czarnka. I to właśnie Kaczyński jest dla Czarnka obecnie gwarantem utrzymywania równowagi w pozycji byłego premiera PiS i kandydata na przyszłego premiera tej partii. Czarnek jak zawsze zresztą zachowuje pokerową twarz i powstrzymał się wcześniej od okazywania jakichkolwiek emocji w czasie, gdy media wieszczyły secesję Morawieckiego. A teraz, gdy doszło do ugody, deklaruje na swoim koncie, że bardzo cieszy się z zakończenia wewnętrznego sporu.

Ale jest jasne, że pracowity i pomysłowy Morawiecki staje się dla niego od tego chwili poważnym rywalem. Trzeba jeszcze więcej pracować.

PLUSY DODATNIE I PLUSY UJEMNE

Ten nowy PiS o dwóch płucach w naturalny sposób skłania do porównywania teamu Morawieckiego i reszty partii. Jakie są zalety i słabości obu stron?

Zacznijmy od Morawieckiego i jego „harcerzy". Ci z publicystów, którzy opisywali niedawno Morawieckiego i jego ludzi, wskazywali – i słusznie – że jest to przykład tego, jak polityk formalnie przegrany nie zmarnował ostatnich dwóch lat. Nie tylko utrzymał więzy ze swymi byłymi podwładnymi z rządu, lecz także nauczył się przyciągać do siebie polityków, którzy z różnych powodów zaczęli szukać dla siebie nowego miejsca w partii. Przykładem takiego akcesu jest były wicemarszałek Sejmu Ryszard Terlecki, który wydawał się żelaznym elementem tzw. zakonu PC, ale ostatnio zgłosił swój akces do Stowarzyszenia Rozwój Plus.

Morawiecki ma duże szanse utrzymać swój stan posiadania i jeśli zajrzeć na strony portalu X członków frakcji „harcerzy", to widać jasno, że polityk z Wrocławia jest dla nich absolutnym punktem odniesienia.

I właśnie to budzi obawy u drugiej części partii, że są to de facto ludzie Morawieckiego, a nie PiS. Wiąże się to zresztą z coraz mocniej wyrażanym przekonaniem „harcerzy", że tylko oni są w tej partii mądrymi, rozwojowymi i nowoczesnymi politykami. Morawiecki pisze w swoim tweecie 25 kwietnia: „Musimy szybować na dwóch skrzydłach: tym mocnym, rozwojowym, aspiracyjnym, gospodarczym, ale także na tym skrzydle tożsamościowym, dumy z naszej historii, ale także wiary w naszą przyszłość". Takimi słowami rezerwuje na wyłączność dla siebie aspiracyjność i znajomość gospodarki. A to musi irytować resztę partii.

Bardzo charakterystyczny był tweet z 19 kwietnia jednego z politycznych żołnierzy Morawieckiego, Łukasza Schreibera. Pisze w nim, że „trzeba walczyć o umiarkowanych konserwatystów, wierzących, przywiązanych do tradycji, ale zmęczonych radykalizmem i ostrą retoryką obu stron", którzy w opinii Schreibera mają zadecydować o wyniku wyborów w 2027 r.

„Harcerze" jako rzecznicy „mądrych", w przeciwieństwie do reszty, która jest niedostatecznie „centrowa i mądra"?

Reakcji na jego tweet było tak dużo, że Schreiber poczuł się następnego dnia zmuszony do uspokajających odpowiedzi. Jak się tłumaczył: „W związku z niektórymi komentarzami sugerującymi,

eprasa.pl a7e534a8f8

że dzielę elektorat na »lepszych« (wykształconych i zapracowanych z dużych miast) i »gorszych«, prostych »ulegających emocjom« – to kompletna manipulacja i nieporozumienie. Absolutnie nie uważam żadnej z tych grup za gorszą. Jedni są bardziej emocjonalni, widoczni i dyscyplinowani w walce światopoglądowej – szanuję ich ogromnie i sam zaliczam siebie oraz członków »Rozwój Plus« właśnie do tej grupy. To baza naszego obozu. Drudzy – zapracowani, często mniej pasjonujący się bieżącą polityką skupieni na gospodarce i codziennym życiu – są równie ważni, a ich głos waży dokładnie tyle samo".

Ta riposta Schreibera pokazuje, jak bardzo niejasne są oczekiwania przedstawicieli rzekomego mitycznego centrum, których „morawiecczycy" mają przekonać na nowo do PiS.

Schreiber z jednej strony zaklina się, że jego grupa jest nie mniej zdyscyplinowana w walce światopoglądowej, a z drugiej strony przedstawiciele jego środowiska lubią dywagować o otwarciu na elektorat PSL i Polski 2050. A przecież zarówno ludowcy, jak i ludzie, którzy kiedyś poparli Hołownię, są wyczuleni na wszelki radykalizm zmian. Szczególnie widać to w wypadku PSL, które otaczała zawsze aura partii, która rzekomo dla władzy pójdzie z każdym. Tyle że w 2005 r., gdy PiS potrzebował pilnie koalicjanta, ludowcy nie zdecydowali się na koalicję, bo okazali się partią uwikłaną w trwałe układy, które spowijają od trzech dekad Lewicę i Platformę.

Frakcja „harcerzy" nie chce na to zwracać uwagi, a potem dziwi się obawom, np. ziobrystów, że ci chcą przesunąć partię w kierunku maistreamu III RP.

I wreszcie dochodzimy do samego Mateusza Morawieckiego. Dla sporej części elektoratu PiS jest on wciąż postacią nielubianą. Na szczytach partii gra skutecznie, ale zwykli wyborcy mają wątpliwości.

Został zaakceptowany na zasadzie decyzji i wyboru Jarosława Kaczyńskiego, ale to nie oznacza zaakceptowania go w roli „następcy" Naczelnika.

Dla obu Konfederacji jest on z kolei premierem z epoki, którą wyborcy zarówno Mentzena, Bosaka, jak i Brauna wspominają źle.

Jednocześnie z nieufnością patrzy na niego Platforma. Owszem, kibicuje mu przy ewentualnym rozbiciu PiS na pół, ale już obawia się jego planów zawrócenia w głowie ludowcom i elektoratowi po Hołowni. Czołowy organ frontu antykaczystowskiego, czyli portal OKO.press, pryncypialnie przypomina piórem Magdaleny Chrzczonowicz: „Mateusz Morawiecki to zagrożenie nie tylko dla PiS. Były premier łowi także po drugiej stronie barykady. Polska 2050 praktycznie nie istnieje, a część polityków jest konserwatywna i może dać się skusić Morawieckiemu przebranemu za wielkiego fana UE. Kuszenie grozi też posłom PSL. Donald Tusk musi to wziąć pod uwagę i nie zlekceważyć tego zagrożenia".

To zdanie powinno przypomnieć Morawieckiemu jedną prawdę. Życzliwość protuskowych mediów towarzyszyć mu będzie wyłącznie, gdy pojawia się nadzieja na trwałe rozbicie PiS. Gdy już opuści partię, natychmiast zostanie znów oskarżony o chęć rozbijania Koalicji 13 grudnia, „Wyborcza" oskarży go o patronowanie Ziobrze, a minister Żurek natychmiast przypomni sobie o śledztwach przeciw Morawieckiemu, dotyczących Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych.

Równie wrogi jest Mentzen. W miniony weekend Konfederacja zaatakowała PiS klipami wyszydzającymi rywali z prawicy jako kapitanów zardzewiałej, tonącej łajby. Czarnek, Kaczyński i Morawiecki są tam przedstawieni jako niczym od siebie nieróżniące się negatywne postacie.

Po prawej stronie też nie będzie w najbliższych miesiącach „miękkiej gry". A to skłaniać może, mimo sporów, do trzymania się razem.

A CO Z RESZTĄ?

Skoro opisaliśmy już sytuację frakcji „harcerzy", to spróbujmy przeanalizować stan całej reszty. Już samo to określenie pokazuje źródło sukcesów Morawieckiego. Były premier ma swoją frakcję, ma swoich ludzi. A jego rywale są rozbici. Tak naprawdę to trzy grupy, które w mediach dość bałamutnie przedstawia się pod jednym zbiorczym określeniem „maślarze". Innym bytem są przedstawiciele zakonu PC, inny typ wrażliwości reprezentuje frakcja „ziobrystów", a wreszcie trudno np. ocenić, kto w partii należy do frakcji Przemysława Czarnka. I to już wystarcza, aby zapewnić mocną pozycję Morawieckiemu. Bo gdy on ma zwartą drużynę, to jego przeciwnicy wciąż nie dojrzeli do jakiegoś choćby szczątkowego skoordynowania działań. Nawyk uznawania, że nad całością spraw panuje wielki Jarosław i samemu trzeba tylko uważnie wysłuchiwać poleceń z Nowogrodzkiej, już na starcie znacznie osłabia wszystkich tych, którzy nie zgromadzili się pod sztandarem Morawieckiego. I to zresztą jest powodem, dla którego tak wielu publicystów wróży Morawieckiemu szansę na sukcesję po Kaczyńskim.

Przed Morawieckim stoi niełatwy dylemat. Czekać na sukcesję po Kaczyńskim wewnątrz partii PiS czy odchodzić, by już pod nowym szyldem wystartować do wyborów sejmowych 2027 r.?

Oczywiście sytuacja zmieniłaby się, gdyby Czarnek zaczął koordynować swoje działania z Jackiem Sasinem i Patrykiem Jakim. Jedno zdjęcie z piwnego wieczoru całej tej trójki zrobiłoby podobne wrażenie jak zdjęcie z „winogronowego" szczytu między Kaczyńskim a Morawieckim z udziałem Adama Bielana. Ale ci wszyscy stojący naprzeciwko Morawieckiego w przedziwny sposób nie umieją albo nie są w stanie ze sobą kooperować. A przyszłość postawi ich wcześniej czy później przed pytaniem o ich wzajemne relacje. Na razie jednak ostatecznie większość kart w ręku ma Kaczyński. To on będzie ustalał listy wyborcze najpóźniej latem 2027 r. Choć Morawiecki wydaje się dziś panem sytuacji, to przed nim stoi niełatwy dylemat. Czekać na sukcesję po Kaczyńskim wewnątrz partii PiS czy odchodzić, by już pod nowym szyldem wystartować do wyborów sejmowych 2027 r.? Były premier ma jeszcze pół roku na odejście z jakąkolwiek szansą na szerszą społeczną rozpoznawalność. W polityce pół roku to bardzo niewiele.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a7e534a8f8

Z Marcinem Palade, socjologiem polityki
rozmawia Ryszard Gromadzki

Może liderzy opozycyjnej centroprawicy zmądrzeją

RYSZARD GROMADZKI: Czy ogłoszenie kompromisu zawartego między Jarosławem Kaczyńskim a Mateuszem Morawieckim zażegnało perspektywę rozłamu w PiS czy to tylko robienie dobrej miny do złej gry?

MARCIN PALADE: Zażegnało na mniej więcej godzinę, bo tyle po zakończeniu konferencji Jarosława Kaczyńskiego i Mateusza Morawieckiego zajęło znanym politykom zwaśnionych stron w PiS, by publicznie kontynuować toczony od dawna spór. Spór, który niezależnie od słów czy obrazów, jak zdjęcie z kolacji u Adama Bielana, będzie miał swoją kontynuację. Bo tego się skleić już nie da. Może ucichnie werbalne okładanie się na tydzień, dwa, a potem będzie ciąg dalszy wojny na wyniszczenie. Kaczyński jest za słaby, by trzymać krótko „maślarzy" i „harcerzy", a wymienieni, wbrew deklaracjom, nie uznają się nawzajem jako partnerzy do budowania pozycji PiS na wybory roku 2027. Te szumnie wypowiadane słowa o jedności, w ramach dwóch płuc, z celem odsunięcia od władzy Tuska, można włożyć między bajki. Żaden racjonalny wyborca z milczącej większości, niezadowolony z rządów centrolewicy, nie poprze PiS w wyborach, który ma wizerunek partii niespójnej, zajętej wyłącznie sobą.

Kontynuacja inicjatywy politycznej Morawieckiego „na ostro" oznaczałaby koniec PiS i przywództwa Kaczyńskiego?

Gdyby Jarosław Kaczyński strasząc przez kilka dni członków stowarzyszenia, zgromadzonych przy Morawieckim, skutkami ich pozastatutowej aktywności przeszedł od słów do czynów i wyrzucił ludzi z frakcji byłego premiera, to sprowadziłby swoją partię w sondażach blisko „jedynki" z przodu. Nie tylko dlatego, że Morawiecki część bardziej umiarkowanych wyborców, niewiążących nadziei na odbudowę pozycji PiS z Kaczyńskim, zabrałby ze sobą, lecz także dlatego, że spora część sympatyków tej partii, aktywistów ma dosyć ciągnących się sporów wewnętrznych. Ten zgniły kompromis sprzed kilku dni jest wypadkową dwóch lęków. Z jednej strony chodzi o obawę Kaczyńskiego, że potencjał Morawieckiego nie jest na starcie mały, a próby zastraszenia jego ludzi, by odpuścili sobie stowarzyszenie, nic liderowi PiS nie dały. Partii Morawiecki co prawda nie przejmie, ale może być samodzielnym bytem w ramach PiS, a to przy pojmowaniu zarządzania partią przez Kaczyńskiego nie wchodzi średnio– i długoterminowo w grę. Z drugiej strony chodzi o świadomość Morawieckiego, że na dziś trzaśnięcie drzwiami dałoby w najlepszym wypadku wynik w sondażach trochę ponad próg wyborczy, co już zresztą jeden pomiar potwierdził. Lepiej zaczekać, bo sondaże PiS w górę nie poszybują, frustracja będzie rosła, co trzeci poseł może być za półtora roku poza parlamentem, a jedynym – widocznym na horyzoncie – próbującym być w kontrze do konsekwentnie realizowanej przez Nowogrodzką linii samozaorania partii jest Morawiecki. Temat wyjścia, być może w większej niż obecnie grupie polityków blisko Morawieckiego z PiS, wróci za kilka miesięcy. A w tym czasie będziemy wiedzieli więcej, także przyglądając się napięciom w koalicji, czy coś centrowego ma rację bytu w wyborach 2027 r. A co do przywództwa w PiS, to nie mam wątpliwości, że Kaczyński go nie odda. Nawet za cenę, że w następnym rozdaniu oznaczałoby to bardzo duże zredukowanie reprezentacji PiS. Taki Zamknięty Fundusz Emerytalny Porozumienia Centrum i ziobrystów.

„Kocham tego faceta"... Entuzjastyczny wpis ambasadora USA na temat Morawieckiego to sygnał, że Waszyngton dał „zielone światło" projektowi byłego premiera, a jednocześnie postawił krzyżyk na Kaczyńskim?

Biorąc pod uwagę to, że zaangażowanie obecnej administracji republikańskiej w popieranie partii i polityków w Europie tymże popieranym nie wychodzi na dobre, vide: Giorgia Meloni czy Viktor Orbán, na miejscu byłego premiera z zachwalania przez ponadprzeciętnie interesującego się i nieznośnie ingerującego w polską politykę ambasadora USA bym się nie cieszył. To może być kolejny pocałunek śmierci. A zupełnie poważnie. Waszyngton ma od ćwierć wieku nad

eprasa.pl a7e534a8f8

Wisłą partię zabezpieczającą interesy USA. A co ważne, dla relacji polsko-amerykańskich, także największego sojusznika USA z Bliskiego Wschodu u nas w Polsce, mowa o PiS. Czytają i analizują sondaże. Wiedzą, że PiS roku 2026 to cień dawnej potęgi. Kaczyński uparcie obstawia Donalda Trumpa i wierzy w sojusz z USA. To taka, byśmy powiedzieli, romantyczna szkoła postzimnowojenna. Za to Morawiecki buduje się w świecie wpływowego biznesu za Atlantykiem. A to ów biznes, ponad podziałami partyjnymi, może mieć więcej do powiedzenia w roku 2027 i kolejnych latach niż mocno poobijany Trump i jego republikanie po wyborach połówkowych.

A może to, co widzimy, to tylko makiaweliczny plan prezesa obliczony na profit w wyborach roku 2027? Morawiecki jest dogadany z Kaczyńskim, a jego akcja służy pozyskaniu centrowego elektoratu?

W takie szachy 5D, wbrew medialnym spekulacjom, to ja nie wierzę. Już na starcie ten plan prezesa PiS, by wybrać Przemysława Czarnka na kandydata na premiera, opierał się na błędnym założeniu. Podobno – jak słyszę – na podstawie badań i analiz. Jak widać, równie precyzyjnych co „czwórka" z przodu dla PiS w końcówce kampanii roku 2023. Ruch z próbą łowienia po stronie twardej prawicy, wśród byłych wyborców PiS teraz w Konfederacji, a przede wszystkim w Koronie Brauna, nie mógł się udać. Nie dlatego, że oni są nie do odzyskania dla PiS. Jakaś część – moim zdaniem – mniejsza, tak. Ale to, rzekomo nowe, otwarcie odbyło się przy tym samym zestawie niepopularnych, nawet w elektoracie PiS, twarzy. Kto dziś pamięta, że jedno z pierwszych zdjęć namaszczony w Krakowie Przemysław Czarnek zrobił sobie z Jackiem Kurskim? Do tego z żelazną konsekwencją realizowana od wyborów roku 2023 linia Kaczyńskiego, z narracją, że wszystko, co robiliśmy, było dobre i nie wymaga nawet w najmniejszym stopniu powiedzenia słowa „przepraszamy". No i jeszcze jedno. To kompletnie niezrozumiałe dla wielu wyborców PiS, a także potwierdzające słuszność dokonanego przez byłych wyborców tej formacji rozejścia się z nią, trzymanie się spodni Trumpa i obrony Izraela jako tego – jak to powiedział Błaszczak – stojącego po jasnej strony mocy. W czasie kiedy skutkiem agresji obu państw na Iran opinia publiczna na świecie, w tym u nas, w niewielkim odsetku popiera to, co robią Stany Zjednoczone i Izrael nad Zatoką Perską. Słowem – ruchem na prawo z Czarnkiem Kaczyński w twardej prawicy nie zyskał, a od centrum się oddalił. Tracąc kilka cennych miesięcy, a do wyborów jest coraz bliżej, na strategię, która z założenia nie mogła przynieść sukcesu.

Żaden racjonalny wyborca z milczącej większości, niezadowolony z rządów centrolewicy, nie poprze w wyborach PiS, który ma wizerunek partii niespójnej, zajętej wyłącznie sobą

Jeśli Morawiecki gra tylko na siebie, to oznacza, że żadnej prawicowej koalicji po wyborach roku 2027 raczej nie będzie, bo zabraknie jej szabel, nawet gdyby udało się jakimś cudem zasypać wszystkie podziały między tym, co zostanie po PiS, a obydwoma Konfederacjami. Zgodzi się pan z takim scenariuszem?

Od dłuższego czasu mówię i piszę, że żadna ze stron sporu w Polsce, przez co mam na myśli rządzących i opozycję, może nie dysponować po następnych wyborach solidną większością. Dziś nad progiem po stronie centrolewu są KO i Lewica, ale do 231 wciąż im brakuje 10–30 szabel. Tyle tylko że mają rezerwę w postaci PSL i PL2050. To jest w sumie ok. 5 proc. To – wbrew temu, jak powiedziałoby wielu – bardzo dużo. Bo obie formacje wrzucone w blok Tuska mogłyby dać mu z Lewicą mandat do rządzenia Polską po następnych wyborach. Po stronie opozycji mamy za to nie tylko wojnę między PiS, Konfederacją, Koroną, lecz także wewnętrzne spory

eprasa.pl a7e534a8f8

Mateusz Morawiecki i Jarosław Kaczyński. Czy w przyszłości będą działać razem czy osobno? FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

w samym PiS czy Konfederacji. To nie służy perspektywie budowania większości po następnych wyborach, a co byłoby na dziś arytmetycznie możliwe. Wszyscy, włącznie z byłym premierem, deklarują chęć odsunięcia Donalda Tuska, jednocześnie robiąc wszystko, by ten władzę dalej utrzymał. Choroba dwubiegunowa polskiej prawicy? Nie po raz pierwszy w III RP. Do tego jeszcze możliwe wyjście Morawieckiego z PiS, które dzieliłoby głosy po prawej stronie, co przy konsolidacji centrolewu plus obowiązującym systemie d'Hondta w podziale mandatów, dawałoby tejże prawej stronie opozycyjne ławy na kolejne cztery lata.

„Obce ciało" na prawicy, jak często określa się Morawieckiego, stanie się po przyszłorocznych wyborach parlamentarnych naturalnym partnerem dla Tuska i realnym kandydatem na premiera rządu nowej koalicji, namaszczonym dodatkowo przez globalistów z „dark state"?

Tak mówią po stronie twardej prawicy, a także w tej, niechętnej byłemu premierowi, grupie w PiS. W scenariusz dołączenia ewentualnej formacji Morawieckiego do koalicji po 2027 r. z premierem Tuskiem nie wierzę. Ale nie wykluczyłbym, że coś szerszego, co mogłoby zbudować się przed wyborami, a zwłaszcza po nich, a co obejmowałoby tych z obecnie rządzących i części PiS, mogłoby być nową Trzecią Drogą. Czyli na tyle istotnym liczebnie ciałem w nowym rozdaniu, bez którego ani Koalicja Obywatelska, niekoniecznie z Lewicą, ani PiS z Konfederacją nie byłyby w stanie rządzić ze stabilną większością. Wielu analityków mówi dziś, że po następnych wyborach będą sprawować władzę albo ci, albo ci. A ja rysuję możliwy scenariusz, że podziały mogą przebiegać wbrew dziś zarysowanej linii demarkacyjnej na obóz Tuska i obóz anty-Tuska. Zbyt dużo widziałem w polskich realiach po 1989 r., z zaangażowaniem czynników zewnętrznych w tworzenie większości, w tym z aktywnością ambasad Niemiec i USA w Warszawie, by taki właśnie scenariusz, w myśl zasady: suweren w wyborach sobie – metropolie opiekuńcze państwa polskiego sobie, z góry odrzucić.

Co stanie się z PiS po wyjściu frakcji Morawieckiego? Które z ugrupowań obecnych na scenie politycznej może zagospodarować „masę upadłościową" po PiS? Mam na myśli elektorat Prawa i Sprawiedliwości.

Konfederacja i Korona kibicują dalszym konfliktom w PiS. Szczególnie Korona, która mogłaby przejąć jeszcze 2–4 punkty procentowe dla siebie. Sama formacja Morawieckiego, gdyby taka powstała, mogłaby odciągnąć 3–4 p.p. z PiS, ale nie tylko. Są umiarkowani wyborcy w Polsce 2050, w Konfederacji to byli wyborcy Polski 2050, a nawet coraz bardziej oddaleni wyborcy z KO, którzy byliby skłonni zagłosować na coś nowego w centrum. W skrajnym wariancie podzielone PiS bez Morawieckiego to byłyby możliwe poziomy poparcia, które mogłyby wielu politykom tej partii, znacząco przyspieszyć bicie serca. W roku 2023 PiS wprowadził do Sejmu 194 posłów, a zejście poniżej 100-osobowej reprezentacji w roku 2027 to nie jest scenariusz nierealny.

Wychodzi na to, że jesteśmy skazani na „darcie sukna" na centroprawicy kosztem resztek suwerenności, która jeszcze Polsce pozostała. Chyba że przyjdzie otrzeźwienie...

Morawiecki wychodząc z PiS, ale współpracując z nielewicową częścią obecnej koalicji, mógłby przyczynić się do przeciągnięcia liny na rzecz centroprawicowej większości po 2027 r. Ale to wymagałoby po prawej stronie, w tym w PiS, zrozumienia, że każde środowisko od PiS po Koronę ma swoją rolę do odegrania przez najbliższe półtora roku. W ramach rozsądnej rywalizacji. Swoje mogą zrobić środowisko Morawieckiego i Konfederacja po stronie bardziej liberalnej, co nie jest do osiągnięcia przez PiS, któremu pozostaje segment socjalno-konserwatywny. Podobnie jak Korona Brauna, która może ściągać antysystem nieskończenie z twardym prawicowym obliczem. Licytacja Konfederacji, Morawieckiego czy PiS w tym obszarze z Koroną skazana jest na niepowodzenie. Niby proste, ale – jak widać – dla liderów opozycyjnej centroprawicy nie. Może zmądrzeją.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a7e534a8f8

FOT. ADOBE STOCK

Zagraj to jeszcze

Rafał A. Ziemkiewicz

Prokuratura krok po kroku przestaje być prokuraturą, a staje się coraz słabiej umocowaną w prawie „czerezwyczajką" do rozprawiania się z przeciwnikami politycznymi Tuska

Donald Tusk wyrusza na nową wojnę, choć – na razie wszystko na to wskazuje – prowadzoną dokładnie w ten sam sposób, co poprzednie. W ostatnich tygodniach zbiegło się kilka zdarzeń, które, razem wzięte, pokazują, jaką strategię przyjmie w nadchodzących wyborach. Ponieważ w natłoku zdarzeń i emocji związanych ze skutkami wojny na Bliskim Wschodzie mogły one umknąć uwadze, przypomnijmy pokrótce.

Zacznijmy od czystki w wydziale do spraw przestępczości zorganizowanej i korupcji prokuratury śląskiej (w żargonie resortu: „śląskiego pezetu"). Kierujący nim prokurator Marek Wełna odwołał jednocześnie sześciu (z 20) pracujących tam prokuratorów, i to bez podania jakiejkolwiek merytorycznej przyczyny. Teoretycznie, Wełna może tylko złożyć wnioski o ich odwołanie do nadzorującego „pezety" zastępcy prokuratora krajowego, Beaty Marczak. Ale ponieważ pominął ją i złożył te wnioski bezpośrednio do Waldemara Żurka, sprawa jest przesądzona. Sam Wełna szefem wydziału został bowiem też z pominięciem drogi służbowej – mianowała go nie Marczak, która jako jedyna ma takie prawo, ale właśnie Żurek. To jeden z wielu przejawów, że krok po kroku prokuratura, kierowana przez równie bezprawnie usadzonego na tym stanowisku Dariusza Korneluka, przestaje być prokuraturą w sensie konstytucyjnym i ustawowym, a staje się coraz słabiej umocowaną w prawie „czerezwyczajką" Tuska, „zadaniowaną" na rozprawianie się z przeciwnikami politycznymi. Nieoficjalnie nikt nie ukrywa, że odsunięcie prokuratorów, prowadzących kluczowe śledztwa (w tym świeżo rozpoczęte śledztwo dotyczące afery Zondacrypto) ma służyć przygotowaniu zarzutów dla Mateusza Morawieckiego za domniemane nadużycia w RARS, przyklejeniu kryptowalutowego skandalu do PiS i Konfederacji etc.

Co ciekawe, ten sam Marek Wełna w połowie ubiegłego roku odszedł z Prokuratury Krajowej, gdzie kierował przez pewien czas „pezetami", jak wtedy twierdziły media, oskarżony przez ministra i premiera o to, że jest „zbyt miękki" i blokuje radykalne „rozliczenia". Wyborem Żurka byli wtedy raczej ludzie pokroju osobistego wroga, a co najmniej rywala Wełny, prokuratora Zoka (którego właśnie odwołał, zdaniem „Rzeczpospolitej", za „sabotowanie śledztwa" w sprawie RARS). Jak widać, w walce buldogów pod Żurkowym dywanem nie do końca wiadomo, kto jest „pisowskim dipstejtem", a kto szczerym, oddanym sprawie „rozliczeń" ośmiogwiazdkowcem. W każdym razie Żurek musiał ostatnio zmienić co do tego zdanie – a może tak samo jak on działa przez rękę prokurator Marczak i innych podwładnych, tak i za niego decyzję podjął i przekazał do wykonania sam Tusk.

ROMANOWI NA RATUNEK

Podobnych wątpliwości nie ma już chyba co do prokuratury lubelskiej, gdzie czystka dokonała się wcześniej, przyśpieszona koniecznością ratowania Romana Giertycha. Przypomnijmy – prokurator, który przygotował i zamierzał wysłać do sądu akt oskarżenia o wyprowadzenie ze spółki Polnord 92 mln zł, został w trybie pilnym zesłany na drugi koniec Polski, a nowy, przysłany bezpośrednio przez ministra, prowadzoną od czterech lat sprawę błyskawicznie umorzył, uzasadnienie umorzenia zaś utajnił. Ponieważ tajne umorzenie jest jednak dzięki sygnalistom dostępne w Internecie, każdy może się przekonać, że ceną za uratowanie Giertycha przed więzieniem było oficjalne uznanie go za, delikatnie mówiąc, idiotę, który przy całej swej prawniczej wiedzy nie wiedział, co podpisuje sam ze sobą, jako pełnomocnik Polnordu i czterech spółek krzaków zarejestrowanych przez jego kierowcę i ochroniarza Sebastiana J. (ksywa Foka). Notabene uznanie w owym uzasadnieniu J. za faktycznego sprawcę wydojenia Polnordu, który podsunął nieświadomemu niczego przełożonemu lewe papiery, nie pociągnęło za sobą żadnych działań przeciwko niemu, choć bynajmniej się nie ukrywa – z kierowcy Giertycha awansował już na szefa jego kancelarii i w tej roli odegrał istotną rolę w ujawnionym niedawno skandalu blokowania procesu „frankowiczów" przeciwko Getin Bankowi Leszka Czarneckiego.

eprasa.pl a7e534a8f8

raz, Donald

Bardzo możliwe, że to ten sam „prokurator specjalny” wydał niedawno akt oskarżenia przeciwko prezydenckiemu ministrowi, Adamowi Andruszkiewiczowi. Dotyczy on sprawy sprzed 12 lat, kiedy to ówczesnego szefa lokalnych struktur Młodzieży Wszechpolskiej oskarżono o fałszowanie podpisów na liście popierających jej kandydatów. Kilkakrotnie powoływano biegłych, którzy stwierdzali, że sfałszowane podpisy nie były złożone ręką Andruszkiewicza. Wznawiając teraz starą sprawę, prokuratura zmieniła więc zarzut – znalazła świadka, który twierdzi, że Andruszkiewicz fałszowanie podpisów zlecał. Przypomina to modus operandi zastosowany „za poprzedniego Tuska” wobec kibiców Piotra Staruchowicza i Macieja Dobrowolskiego. W obu wypadkach świadek oskarżenia okazał się ostatecznie drobnym przestępcą, prawdopodobnie celowo nakłonionym do złożenia zeznań obciążających wskazaną osobę w zamian za „skręcenie” jego sprawy.

DORWAĆ KACZYŃSKIEGO

Jednocześnie prokuratura warszawska, wzywając na przesłuchanie Jarosława Kaczyńskiego, po raz kolejny odgrzewa groteskową „aferę dwóch wież”, której uporczywe próby przekształcenia w jakieś konkretne oskarżenie przeciw Kaczyńskiemu kosztowały już życie śp. Barbary Skrzypek. Przypomnę, że w owym przesłuchaniu, po którym starsza pani doznała ataku serca, prokurator Wrzosek i osoby jej towarzyszące usiłowały wymusić na wieloletniej asystentce Jarosława Kaczyńskiego zeznanie, że nie upoważniła go ustnie do głosowania na zgromadzeniu spółki jej symbolicznymi dwoma udziałami. Wykombinowanie tak wątłego „wyjścia” na Kaczyńskiego, jak oskarżenie go o „sfałszowanie uchwały spółki” dowodziło naprawdę daleko posuniętej determinacji w udowodnianiu, że w szeroko nagłaśnianej „aferze” jednak coś było.

Była w istocie tylko prowokacja, do której wykorzystano dalekiego powinowatego Kaczyńskiego. Bez żadnej udokumentowanej zachęty przygotował on plan inwestycji w biurowiec na działce należącej do spółki Srebrna, a następnie, z przyklejonym jak na filmie „Wall Street” mikrofonikiem (musiał to być profesjonalny sprzęt, bo siedziba spółki miała standardową aparaturę antypodsłuchową i zwykły kelnerski „gwóźdź” nic by tam nie nagrał), udał się namawiać Kaczyńskiego, by zrealizował projekt, a jemu samemu zapłacił za przygotowane plany. O stawianiu biurowca bez tzw. wuzetki (dokumentu określającego Warunki Zabudowy na działce) i o uzyskaniu owej wuzetki w mieście rządzonym przez PO nie było oczywiście mowy, chodziło o drugie z owych oczekiwań. Inicjatorzy prowokacji – styl wskazuje na Romana Giertycha – spodziewali się uzyskać na nagraniu deklarację Kaczyńskiego, że choć za niezamówiony i na nic spółce niepotrzebny materiał zapłacić mu nie wolno, to jednak czego się nie robi dla rodziny, od tego są księgowi, żeby jakoś to rozpisali… Takie nagranie – jako dowód niegospodarności i delikt prawny – dawałoby możliwość organowi założycielskiemu, czyli miastu stołecznemu Warszawie, wprowadzić w spółce Srebrna i w Fundacji im. Lecha Kaczyńskiego zarządy komisaryczne, co odcięłoby przed wyborami PiS od jego zaplecza finansowego i dało mediom PO dostęp do dokumentów księgowych, w których spodziewano się znaleźć jakieś „haki”.

Mimo że cały misterny plan wziął w łeb, bo Kaczyński powiedział nosicielowi ukrytego mikrofonu wyraźnie, że prawa nie złamie, a jeśli ten uważa, że pieniądze za niezamówiony projekt mu się należą, to niech poda go do sądu, w sprawę zainwestowano najwyraźniej zbyt wiele, by odpuścić. Stąd kolejne etapy medialnego dęcia „afery”: a to, że Kaczyński ukradł biednemu austriackiemu architektowi do niczego mu niepotrzebny, bo niemożliwy do zrealizowania plan budowy biurowca, a to, że kazał mu na podsuniętej kartce zapłacić łapówkę księdzu z Gdańska, a to wreszcie, że w głosowaniach spółki bezprawnie reprezentował śp. Barbarę Skrzypek. Ostatecznie jako aferą ogłoszono sam fakt, że Kaczyński, „prezes deweloper”, chciał ze swą fundacją postawić w Warszawie biurowiec i na nim zarabiać.

TA SAMA MELODIA

Wracać po latach do czegoś tak słabego wydaje się szaleństwem i dowodem skrajnej niemocy Tuska. Ale widocznie „czerezwyczajka” nic lepszego nie ma pod ręką, a przyszło polecenie, by zasypać PiS aktami oskarżenia, które oddani partii sędziowie przetworzą przed nadchodzącymi wyborami w wyroki. Tak jak na wybory sprokurowano przed laty wyrok skazujący Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. Przypomnijmy, że sędzia, który ten wyrok wydał, ewidentnie manipulując sprawą, co najmniej w kwestii terminów, by trafić z wyrokiem idealnie w polityczne zapotrzebowanie, obecnie już usunięty ze stanu sędziowskiego, skompromitował się potem, spiskując przeciwko PiS z internautą, którego uznał za Tomasza Lisa, a niedawno skazany został za groźby karalne pod adresem własnej żony.

Nikogo to zapewne nie zaskoczy, ale każdy ruch władzy w wymiarze sprawiedliwości przynosi dowody, że nie chodzi o żadną „praworządność”, którą rzekomo należało metodami „demokracji walczącej” przywracać. Chodzi wyłącznie o to, o co PO przez osiem lat oskarżała PiS i Zbigniewa Ziobrę, nie przedstawiając ani wtedy, ani po przejęciu władzy żadnych dowodów. O zbudowanie „taśmociągu” na wzór „taśmociągów reprywatyzacyjnych” (określenie prof. Ewy Łętowskiej). Partyjne media nagłaśniają wyssane z palca „afery”, partyjny prokurator przerabia doniesienia mediów w akt oskarżenia, partyjny sędzia wydaje wyrok i sprawa wraca do partyjnych mediów, agregujących propagandę o „pisowskiej mafii”, którą trzeba wreszcie rozliczyć, i dlatego trzeba dać Tuskowi drugą kadencję.

Znamy już tę melodię? Oczywiście, do znudzenia. Ale jak nie ma nowej, trzeba powtarzać starą, a nuż jeszcze raz zadziała.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a7e534a8f8

Ostatni antykomunista III RP

FOT. MARYSIA ZAWADA/REPORTER

Jan Fiedorczuk

Jedni widzą w nim bojownika o prawdę, inni bluźniercę. Nieważne, czy jako historyk i publicysta czy jako polityk – Sławomir Cenckiewicz całe dorosłe życie podporządkował walce z mitami III RP i pozostałościami PRL

Od początku swojej kariery pozostawał zawieszony między pracą akademicką a polityką, między opisywaniem rzeczywistości a próbą jej kreowania. Oba światy się tu przenikają i ciężko jego prace o Lechu Wałęsie albo Annie Walentynowicz oddzielić od kontekstu politycznego III RP, w którym powstawały. Wśród zwolenników Prawa i Sprawiedliwości budzi podobny entuzjazm do tego, który wywołuje Andrzej Nowak i – podobnie jak krakowski historyk – stawia równie ostre oceny rzeczywistości politycznej. O ile jednak Nowak, kreśląc wielowiekową opowieść o patriotyzmie Polaków i zaprzaństwie zdrajców, która tak odpowiada wyborcom PiS, sięga w odległą przeszłość, o tyle Cenckiewicz skupia się na historii najnowszej.

Gdybyśmy chcieli określić go jednym słowem, byłby to termin „antykomunista". W 1987 r. jeszcze jako licealista wstąpił do konspiracyjnej Federacji Młodzieży Walczącej, a pod znakiem walki z resztkami PRL upłyną mu kolejne dekady publicznej działalności.

„Polak i antykomunista. PRL nie była Polską, a LWP nie było Wojskiem Polskim" – czytamy w krótkim biogramie historyka na portalu X i jest to notka tyleż oszczędna, co trafiająca w sedno. Ideowo Cenckiewicz jest patriotycznym rewolucjonistą i pod tym względem bywa zdecydowanie bardziej „skrajny" niż środowiska stricte PiS-owskie, które mimo całego krytycyzmu wobec PRL nie podważają jednak polskości tego państwa. To właśnie na tym polu, mimo nieskrywanej sympatii do PiS, Cenckiewicz pozwalał sobie na najbardziej otwartą krytykę formacji Jarosława Kaczyńskiego. Tak było przy okazji powołania byłego PRL-owskiego prokuratora Stanisława Piotrowicza do Trybunału Konstytucyjnego albo gdy krytykował PiS za poparcie kandydatury Włodzimierza Czarzastego na wicemarszałka w 2019 r. „W Polsce antykomunizm jest sierotą" – powtarza historyk.

To właśnie duch antykomunizmu wisiał nad jego bezpośrednim zaangażowaniem się w politykę w 2006 r., gdy minister obrony narodowej (jak na ironię – był nim wówczas Radosław Sikorski, wtedy jeszcze związany z PiS) powołał go na stanowisko przewodniczącego Komisji do spraw Likwidacji Wojskowych Służb Informacyjnych. To wówczas Cenckiewicz zaczyna współpracę z kierującym komisją weryfikacyjną WSI Antonim Macierewiczem, który stanie się dla niego jedną z centralnych figur i punktów odniesienia w polityce. Cenckiewicz stał na stanowisku, że po transformacji ustrojowej służby nie przeszły rzetelnej weryfikacji oraz istnieje ryzyko powiązania oficerów WSI z rosyjską agenturą. Sprawa podzieliła opinię publiczną – dla wyborców PiS młody historyk stał się niezłomnym wojownikiem o prawdę, dla zwolenników PO i lewicy był to przejaw antypaństwowej rewolty i narażania funkcjonariuszy państwa na niebezpieczeństwo.

Już początki jego kariery naukowej poświadczały ideowe zapatrywania młodego historyka. Na Uniwersytecie Gdańskim pisał pracę magisterską z działalności antykomunistycznej opozycji lewicowo-liberalnej, a jego rozprawą habilitacyjną (stopień nadał mu UKSW) była książka „Anna Solidarność" poświęcona Annie Walentynowicz, którą to Cenckiewicz regularnie prezentuje jako centralną postać dla ruchu solidarnościowego. „Walentynowicz

eprasa.pl a7e534a8f8

symbolizuje prawdziwy duch Sierpnia, a symbolem fałszu jest Lech Wałęsa" – stwierdził w jednym z wywiadów.

SPRAWA WAŁĘSY

To właśnie sprawa Lecha Wałęsy była jednym z przełomowych momentów kariery Cenckiewicza. W 2008 r. ukazuje się książka „SB a Lech Wałęsa. Przyczynek do biografii" (współautorem był Piotr Gontarczyk). Ponad 700-stronicowa potężna monografia wywołała wówczas prawdziwą burzę, a z Cenckiewicza zrobiła postać powszechnie rozpoznawaną. Około 280 stron tej pracy to analiza źródłowa autorstwa dwóch historyków, a pozostałe niemal 500 stron to skany dokumentów, materiały źródłowe, relacje, zdjęcia etc. Ze strony lewicowo-liberalnej na autorów wylała się fala krytyki, zarzucano im, że szargają żywą legendę etc. W publikacji padają bowiem bardzo mocne zarzuty pod adresem byłego prezydenta. Cenckiewicz i Gontarczyk dowodzą, że lider Solidarności był tajnym współpracownikiem SB o pseudonimie Bolek, który przez co najmniej sześć lat donosił na stoczniowców. Co więcej, jak twierdzili autorzy, Wałęsa utrzymywał kontakty z władzami komunistycznymi także w latach 1980–1981, a już po transformacji ustrojowej zdekompletował dokumenty dotyczące swej przeszłości. Książka spotkała się z mieszanymi reakcjami środowiska akademickiego (krytykowali ją m.in. Antoni Dudek czy Andrzej Friszke, pozytywnie oceniali choćby Andrzej Nowak czy Andrzej Zybertowicz). Temat przez lata był tabu w środowisku historyków, a fakt, że już po ukazaniu się książki pojawiły się polityczne naciski na IPN dotyczące osoby Cenckiewicza, który wówczas pracował w Instytucie, pokazuje, jak duży rezonans wywołała ta praca.

Zapoczątkowała ona wieloletnią batalię z Wałęsą. W kolejnych latach Cenckiewicz wydał jeszcze dwie książki poświęcone byłemu prezydentowi, odbył dziesiątki wystąpień na różnego rodzaju konferencjach i spotkaniach oraz wdawał się w niezliczone polemiki medialne z byłą głową państwa (m.in. na łamach „Do Rzeczy").

Wałęsa i Cenckiewicz kilkukrotnie spotykali się też na wokandzie. W 2021 r. sąd nakazał byłemu prezydentowi przeprosić historyka za twierdzenia, jakoby ten fałszował dokumenty dotyczące współpracy Wałęsy z SB. W 2023 r. sąd ponownie przyznał rację Cenckiewiczowi, nakazując byłemu prezydentowi przeproszenie naukowca za wpisy w mediach społecznościowych. W 2025 r. sąd po raz trzeci stanął po stronie Cenckiewicza i zakazał Wałęsie sugerowania, że dokumenty dotyczące teczek „Bolka" zostały sfałszowane. Rozprawy bywały niezwykle emocjonalne. Podczas jednej z nich Wałęsa wprost groził naukowcowi, krzycząc: „Będziesz wisiał za te bezczelne kłamstwa".

NA TROPIE „RESETU"

Mimo że Cenckiewicz nigdy nie wszedł w struktury PiS, to jego zaangażowanie po stronie partii Jarosława Kaczyńskiego było ewidentne, a ideologicznie sytuował się nawet na prawo od PiS-owskiego mainstreamu (nie tylko ze względu na bezkompromisowy antykomunizm, lecz także religijny tradycjonalizm). Historyk od lat forsował również tezę o zależności Donalda Tuska i środowiska Platformy Obywatelskiej od rosyjskich i niemieckich wpływów (chociaż pytany przez PiS-owskie media otwarcie mówi, że nie ma nawet cienia dowodu, jakoby sam premier był w przeszłości agentem).

Uwieńczenie tej działalności stanowił serial „Reset" opowiadający o polskiej polityce wobec Rosji za pierwszego rządu Donalda Tuska (współautorem był dziennikarz Republiki Michał Rachoń). Serial wywołał olbrzymie kontrowersje – obok środowisk bliskich PiS, które go broniły, produkcję krytykowała nie tylko lewica, lecz także część centrowej prawicy. Także niektóre osoby występujące w serialu, już po emisji, nie kryły rozczarowania ostatecznym kształtem produkcji (np. dziennikarz „The Economist" Edward Lucas domagał się usunięcia swych wypowiedzi). To właśnie z „Resetem" jest związana kładąca się cieniem na postaci Cenckiewicza sprawa odtajnienia wojskowych planów operacji „Warta" (chodziło o plany obronne kraju z 2011 r.). Ostateczną decyzję podjął ówczesny szef MON Mariusz Błaszczak, jednak historyk zdaniem prokuratury miał odegrać „istotną rolę" w ujawnieniu wojskowych planów, które miały skompromitować Tuska. W maju 2025 r. Sławomir Cenckiewicz usłyszał w tej sprawie zarzut przekroczenia uprawnień.

Ponadto wiosną 2023 r. stanął na czele komisji do spraw zbadania wpływów rosyjskich na bezpieczeństwo wewnętrzne Polski, potocznie nazywanej „lex Tusk". W listopadzie tego samego roku komisja ogłosiła tzw. raport cząstkowy, w którym rekomendowała, aby Donald Tusk, Jacek Cichocki, Bogdan Klich, Tomasz Siemoniak i Bartłomiej Sienkiewicz nie pełnili funkcji publicznych odpowiadających za bezpieczeństwo państwa.

Dla rozwoju kariery Cenckiewicza istotna okazała się znajomość z Karolem Nawrockim. Kiedy w roku 2024 PiS zdecydował się wystawić prezesa IPN w wyborach prezydenckich, to właśnie na Cenckiewicza wskazywano jako na tę osobę, która forsowała w PiS tę kandydaturę. Dlatego też, gdy po wyborach został powołany na stanowisko szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego, media nieprzychylne nowej głowie państwa pisały, że prezydent „spłaca dług".

W mediach dywagowano, że Cenckiewicz zostanie najbliższym współpracownikiem Nawrockiego, tymczasem to właśnie on w niecały rok od wyborów jako pierwszy z ludzi prezydenta musiał pożegnać się ze stanowiskiem. Stało się tak w wyniku instytucjonalnego paraliżu – przez dwa lata szef BBN starał się o odzyskanie odebranego mu przez SKW poświadczenia bezpieczeństwa (jest ono wymagane przy dostępie do dokumentów niejawnych). Zwieńczeniem batalii miały być wyroki Naczelnego Sądu Administracyjnego oraz Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego, jednak mimo triumfu w sądzie historyk od roku nie odzyskał uprawnień, a impas mógł się ciągnąć dalej w nieskończoność. Jak sam stwierdził, decyzję o rezygnacji podjął „w poczuciu odpowiedzialności za państwo", aby umożliwić dalsze funkcjonowanie BBN. W mediach momentalnie zaroiło się od teorii dotyczących zakulisowych rozgrywek w Pałacu Prezydenckim, jednak na obecną chwilę trudno nie traktować ich wyłącznie w charakterze plotek.

Sam Cenckiewicz po odejściu z BBN zostanie przewodniczącym prezydenckiej Rady Bezpieczeństwa i Obronności. Ponadto historyk zapowiedział, że zamierza wesprzeć w najbliższych tygodniach Przemysława Czarnka, kandydata PiS na urząd premiera. Najwyraźniej balans między opisywaniem a kreowaniem rzeczywistości, który Cenckiewicz przez lata starał się utrzymywać, został zachwiany na dobre. Antykomunista nie zamierza już rezygnować z polityki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a7e534a8f8

Wielkie golenie Polaków

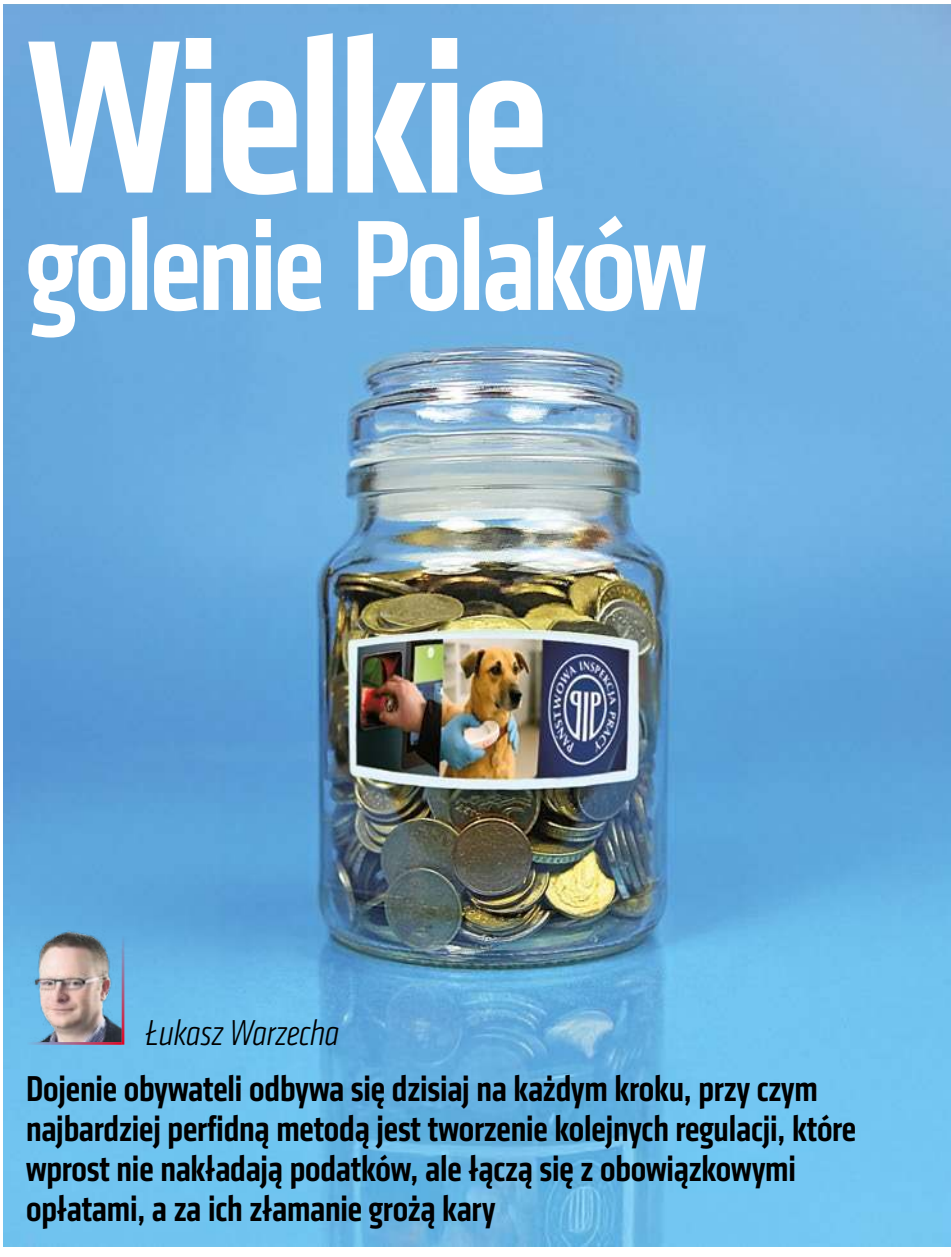

Łukasz Warzecha

Dojenie obywateli odbywa się dzisiaj na każdym kroku, przy czym najbardziej perfidną metodą jest tworzenie kolejnych regulacji, które wprost nie nakładają podatków, ale łączą się z obowiązkowymi opłatami, a za ich złamanie grożą kary

FOT. ADOBE STOCK/12KREDEK

Lubicie niskie podatki? To świetnie, bo mam dla was dużo nowych, niskich podatków!". Pamiętają państwo memy z Mateuszem Morawieckim, wygłaszającym tę kwestię, z okresu, gdy był premierem? Morawiecki rządy stracił prawie dwa i pół roku temu, a wspomniana zasada ma się znakomicie. Polacy goleni są na każdym kroku za pomocą kolejnych opłat i danin. Niekoniecznie zresztą niskich. Skala tego golenia staje się horrendalna, a jej przyczyny są co do zasady dwie.

Pierwszą jest katastrofalny stan finansów publicznych. Licząc według metodologii unijnej, osiągnęliśmy już prawie konstytucyjny próg zadłużenia 60 proc. do PKB. Brakuje nam do niego raptem kilku dziesiątych punktu procentowego. Deficyt budżetowy ma wynieść w tym roku ponad 270 mld zł, a nie można wykluczyć, że zostanie przekroczony. Jednocześnie rząd nie podjął w zasadzie żadnych działań, aby ograniczyć najbardziej kosztowne programy socjalne na czele z „800+" (roczny koszt to ponad 60 mld zł). Nawet zaś gdyby jakieś zmiany chciał tu wprowadzić, np. ustalając kryterium dochodowe, to musiałoby się to wiązać ze zmianami w Ustawie o pomocy państwa w wychowywaniu dzieci, które niemal na pewno zostałyby zablokowane wetem prezydenta.

Druga przyczyna to wpływy lobbystów reprezentujących konkretne sektory gospodarki albo struktury powołane specjalnie do pasożytowania na bzdurnych rządowych programach i pomysłach. Lobbyści prowadzą swoją pracę po cichu, a jej celem jest podpięcie się pod kurek z pieniędzmi wyciąganymi z naszych kieszeni.

ROBIĄ Z NAS ŚMIECIARZY

Przyjrzyjmy się trzem przykładom, które odpowiadają temu opisowi. Pierwszy z nich to fatalnie oceniany system kaucyjny. To sprawa bardzo kłopotliwa dla rządu, ponieważ dotyka bezpośrednio milionów ludzi w Polsce. Każdy, kto kupuje napoje w opakowaniach podlegających kaucji, musi zapłacić za nie więcej. Dodatkowych pieniędzy nie odzyska, jeśli nie zechce przyjąć na siebie roli śmieciarza. Fraza „zrobiliście z Polaków śmieciarzy" stała się dla systemu kaucyjnego symboliczna. Wiele osób mija w sklepach butelkomaty – bardzo często przepełnione, zablokowane, popsute. Kto zdecydował się oddawać opakowania, ma zwykle za sobą doświadczenie powrotu z kwitkiem – ale nie kwitkiem uprawniającym do zniżki, tylko tym przysłowiowym – sprzed nieczynnego butelkomatu. Ewentualnie tracił czas, stojąc w kolejce do urządzenia za kimś, kto wrzucał do niego większą liczbę butelek.

Być może jeszcze gorszym doświadczeniem jest jednak próba zwrócenia butelek „analogowo". Pracownicy mają kłopoty z ręcznym obsłużeniem systemu, czas oczekiwania się wydłuża. Wskutek tego wszystkiego duża grupa ludzi całkowicie zniechęca się do odzyskiwania kaucji. A trzeba wiedzieć, że automaty obecne są jedynie w kilku procentach sklepów. Tak szacował w ubiegłym roku Deloitte w swoim raporcie. Ministerstwo Klimatu i Środowiska, pytane o to przeze mnie przed wejściem systemu w życie, oznajmiło, że danych o liczbie automatów nie ma i „proszę pytać operatorów systemu".

Ministerstwo w desperacji umieściło niedawno na swojej stronie wpis, mający przeciwdziałać „dezinformacji" w sprawie systemu kaucyjnego. Tyle że ten właśnie wpis sam jest przykładem ordynarnej dezinformacji. Oto jakie główne „dezinformacyjne" wątki opisuje ministerstwo:

eprasa.pl a7e534a8f8

rzekome „narzucenie systemu przez Unię Europejską" i wprowadzenie go przez rząd „w ciemno"; tezy o „wielomiliardowym transferze pieniędzy do prywatnych firm"; fałszywe dane o szkodliwości klimatycznej systemu; insynuacje o celowym „niedorozwoju" infrastruktury; przypisywanie systemowi problemów, które istniały wcześniej w gospodarce odpadami.

Jest to modelowy przykład strzału w stopę. W pierwszej sprawie MKiŚ ma rację – co paradoksalnie sprawia tylko, że zarzuty wobec rządu stają się poważniejsze. Faktycznie – UE, jakkolwiek nakłada na kraje członkowskie obowiązki związane z odzyskiem poprzez dyrektywę Single-Use Plastics, to nie określa, jak mają one być realizowane. Dlatego sektor zajmujący się odpadami komunalnymi wskazywał, że w ogóle nie ma potrzeby wprowadzania systemu kaucyjnego, bo technologie, jakimi dysponuje branża, pozwalają na bardzo skuteczne odzyskiwanie plastiku z opakowań po napojach. A więc faktycznie – kaucyjna katastrofa jest wyłącznie dziełem rządu i nie można jej zwalać na UE.

To, że system kaucyjny jest szkodliwy dla środowiska, jest oczywiste. Uruchomiono przecież całkowicie odrębną linię zbierania tylko jednego rodzaju odpadów. Po opakowania z systemu kaucyjnego trzeba przyjeżdżać specjalnie, a jednocześnie nadal musi być odbierana ta frakcja odpadowa, w której dotychczas znajdowały się opakowania z kaucją.

W gospodarce odpadami faktycznie istnieją gigantyczne problemy, co ma odbicie w horrendalnych kosztach, które spadają na mieszkańców. System kaucyjny natomiast te koszty pogłębił poprzez odebranie sortowniom obsługującym odpady komunalne zyskownej frakcji plastikowych opakowań. Stąd nowa fala podwyżek – firmy wywożące odpady muszą sobie skompensować ubytek zyskownej frakcji. Warto poza tym pamiętać, że degeneracja systemu gospodarki odpadami i seria niekończących się podwyżek to skutek wprowadzonej za rządów Platformy Obywatelskiej ok. 15 lat temu „reformy" systemu.

Wreszcie sprawa z punktu widzenia dojenia obywateli najważniejsza: celowy niedorozwój systemu i transfer pieniędzy do prywatnych podmiotów. Zanim system kaucyjny wystartował, ostrzegałem, że jego konstrukcja ustawowa jest taka, że w interesie operatorów – prywatnych podmiotów, pasożytujących na mechanizmie – jest spowodowanie, aby jak najmniej Polaków zwracało jak najmniej opakowań. Niezwrócone kaucje trafiają bowiem właśnie do nich. Zgodnie z ustawą mogą być wykorzystywane jedynie na utrzymanie i rozbudowę systemu. Ale czyż nie z tego właśnie żyją operatorzy i czy nie jest to cudowne perpetuum mobile? Trudno udowodnić, że operatorzy celowo sabotują system zwrotu opakowań, ale przecież jest to banalnie proste do zaaranżowania. Wystarczy np. zatrudnić zbyt małą liczbę serwisantów, zajmujących się naprawą kaucjomatów, czego skutkiem będzie wydłużający się czas, gdy są one niesprawne. To już, w skali całego kraju, oznacza olbrzymi zysk dla operatorów, a jest praktycznie nie do zweryfikowania i wychwycenia.

MKiŚ wykazuje się w sprawie systemu kaucyjnego zadziwiającą wręcz indolencją. Pytane przeze mnie w lutym o dane na temat niezwróconych butelek, a więc i tego, ile z kaucji zgarnęli operatorzy systemu, ministerstwo odpowiedziało, że jest za wcześnie, aby takie dane zgromadzić. Przypominam, że system działa od początku października 2025 r. Są jedynie dane, dotyczące opakowań zwróconych, mówiące o ok. 520 mln tychże, ale ta akurat pozycja w statystyce jest mniej interesująca.

PSIE PIENIĄDZE

Drugi sposób na wyciąganie kasy z naszych kieszeni to Krajowy Rejestr Oznakowanych Psów i Kotów. Tu trzeba zaznaczyć, że projekt i tak fatalny został jeszcze pogorszony podczas prac sejmowych. W przeciwieństwie do jego pierwotnej postaci w tej ostatecznie wysłanej do Senatu obowiązkiem znakowania objęte zostały również prawie wszystkie koty mające właściciela – przedtem w przypadku kotów miała to być czynność dobrowolna.

Oznakowanie zwierzęcia ma kosztować 0,56 proc. przeciętnego wynagrodzenia w gospodarce narodowej w poprzednim roku kalendarzowym. Obecnie to 49,85 zł, ale zapis zapewnia automatyczną waloryzację tej sumy. Psów i kotów, podlegających oznakowaniu, mamy w sumie ok. 15 mln, co daje niebagatelną sumę 750 mln zł do zgarnięcia tylko za pierwszy wpis do obowiązkowej państwowej bazy. Te pieniądze trafią do weterynarzy czy producentów czipów. A przecież kolejne 50 zł będzie kosztowała każda zmiana danych, związana np. z przeprowadzką czy zmianą właściciela.

Tu jednak budżet nie zarobi bezpośrednio. Co innego kary. Można spokojnie założyć, że ogromna część właścicieli zwierząt z różnych powodów obowiązku rejestracji nie dopełni. Część – zwłaszcza w przypadku starszych ludzi – w ogóle nie będzie o nim wiedzieć. Tymczasem do kontrolowania zaczipowania upoważniono Inspekcję Weterynaryjną, policję i straże gminne. Kara za brak czipa to grzywna. Zgodnie z kodeksem wykroczeń może ona wynieść aż do 5 tys. zł. W przypadku natomiast osób prawnych i jednostek organizacyjnych niebędących osobami prawnymi kara administracyjna ma wynieść od 0,56 do aż 200 proc. przeciętnego wynagrodzenia w gospodarce narodowej, czyli nawet do 18 tys. zł obecnie.

Trudno mieć wątpliwości, że upoważnione służby będą polowały na właścicieli zwierząt bez czipa, bo grzywny stanowią coraz poważniejszą pozycję w polskim budżecie. W ubiegłym roku wszelkiego rodzaju służby (nie tylko policja) wystawiły ok. 4,5 mln mandatów na sumę 1,4 mld zł. Wzrost w ciągu dekady to aż 76 proc.!

BĘDZIE GORZEJ

Trzeci przykładowy mechanizm to ten zawarty w podpisanej niedawno przez prezydenta ustawie wyposażającej Państwową Inspekcję Pracy w potężne uprawnienia. Jak wskazywał prezes Rady Przedsiębiorców, były rzecznik małych i średnich przedsiębiorców, Adam Abramowicz, spięcie systemów ZUS i PIP sprawi, że zaraz po wydaniu decyzji przez inspektora – mimo że będzie można ją zaskarżyć do sądu – ZUS na podstawie odrębnych przepisów będzie mógł natychmiast zgłosić się po „zaległe" składki. I bez wątpienia tak właśnie będzie to wyglądało. Na dodatek podwyższono o 100 proc. dotychczasowe kary: od 1 tys. do 30 tys. zł na od 2 tys. do aż 60 tys. zł.

Dojenie obywateli odbywa się dzisiaj na każdym kroku, przy czym najbardziej perfidną metodą jest tworzenie kolejnych regulacji, które wprost nie nakładają podatków, ale łączą się z obowiązkowymi opłatami, a za ich złamanie grożą kary. I niestety wszystko wskazuje na to, że będzie gorzej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a7e534a8f8

Radosław Wojtas

Ostatnie słowa skreślone w obozowym piekle, więzienne grypsy i ordery zdarte z mundurów polskich oficerów zamordowanych przez NKWD. Dla bliskich to uświęcone krwią relikwie. Dla domów aukcyjnych i internetowych handlarzy – po prostu intratny towar, bezwstydnie licytowany pod płaszczykiem „pogłębiania wiedzy historycznej”

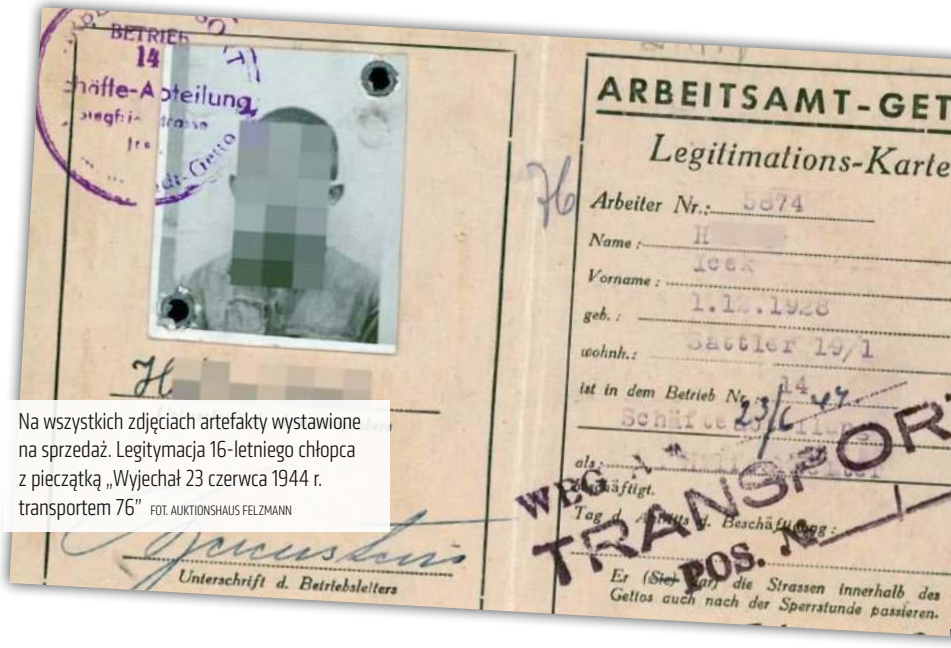

Na wszystkich zdjęciach artefakty wystawione na sprzedaż. Legitymacja 16-letniego chłopca z pieczątką „Wyjechał 23 czerwca 1944 r. transportem 76” FOT. AUKTIONSHAUS FELZMANN

Metka na cierpieniu

Kochana Matko! List i pieniądze otrzymałem, które mnie bardzo ucieszyły. Cieszę się bardzo, że Mama jest zdrowa i że wszystko idzie dobrze. Jestem zdrów i jest mi dobrze. Proszę więcej do mnie pisać, co u Was nowego. Czy Maksym [ojciec Zbigniewa] jest zdrowy i co porabia. Myślę o nim. Proszę się nie martwić. Będzie jeszcze wszystko dobrze. Co robi Ciocia w Przemyślu. Proszę jeszcze raz Mamy, by przysłała mi w tym m-cu 15 marek. Dla wszystkich pozdrowienia i ucałowania. Zbyszek”.

Niewielka kartka papieru, na której 19-letni Zbyszek skreślił te słowa, była jednym z najcenniejszych artefaktów, który pozostał po nim jego matce. Kilka dni po nadaniu korespondencji chłopak już nie żył. Pisał, że jest mu dobrze, bo prawda o otaczającej go rzeczywistości nigdy by nie opuściła bram piekła, w którym się znajdował. Cenzorzy z Auschwitz nie pozwalali na to, by więźniowie w listach do rodzin pisali, jak tam jest naprawdę.

List Zbyszka jest podobny do tysięcy innych, ale jak każdy z nich – wyjątkowy. Dziś znajduje się w muzealnych zbiorach i świadczy o tym, co Niemcy zgotowali Polsce, Europie i światu po 1939 r. Ale wiele takich świadectw znajduje się w zbiorach prywatnych. I przechodzą z rąk do rąk. Czasem niezauważenie, czasem budząc poruszenie i zwracając uwagę opinii publicznej na proceder handlu przedmiotami, które w innym miejscu i czasie były przez najbliższych ofiar traktowane jak relikwie, a dziś są świadectwem niewyobrażalnego bestialstwa.

LISTY Z PIEKŁA

Oburzenie musi być tym większe, kiedy historycznymi artefaktami po ofiarach zbrodni handlują potomkowie katów. A tak została odebrana aukcja zorganizowana w ubiegłym roku przez Dom Aukcyjny Felzmann z Neuss. Pod młotek wystawiono 623 przedmioty „z prywatnej kolekcji” zatytułowanej „System terroru część II 1933–1945”. W katalogu tej hurtowej oferty znalazły się prywatne przedmioty ofiar z gett Warschau, Litzmannstadt, obozów: Auschwitz, Sachsenhausen, Buchenwald, Ravensbrück.

W katalogu znalazł się m.in. list więźnia Auschwitz z ceną wywoławczą 500 euro. Właściciel liczył zapewne, że zysk będzie większy ze względu na to, że autor listu – co podkreślono – był więźniem „o bardzo niskim numerze”. Od 400 euro można było wejść w posiadanie dokumentu medycznego z obozu Dachau, dotyczącego przymusowej sterylizacji. Kartę gestapo, opisującą egzekucję żydowskiego więźnia w getcie Mackheim, wyceniono z kolei na minimum 350 euro.

„Cynicznym i bezwstydnym przedsięwzięciem” nazwały tę aukcję rodziny ofiar i ocaleni z niemieckich obozów śmierci. Christoph Heubner, dyrektor wykonawczy Międzynarodowego Komitetu Oświęcimskiego, stwierdził, że handel takimi pamiątkami to „wykorzystanie do komercyjnego celu cierpienia ofiar prześladowanych i zamordowanych przez nazistów”. Pod naporem krytyki dom aukcyjny ostatecznie zrezygnował z przeprowadzenia zaplanowanej aukcji, ale nie zrobił tego od razu. Najpierw próbował argumentować, że prywatni kolekcjonerzy „prowadzą intensywne badania i przyczyniają się do pogłębiania wiedzy historycznej”, że ich działalność ma służyć pamięci, a nie czerpaniu korzyści z tragedii.

eprasa.pl a7e534a8f8

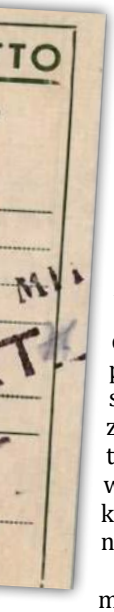

Nawet jeśli prywatnym kolekcjonerom, kupującym podobne artefakty, nie chodzi o zysk, to na napędzanym przez nich popycie zarabiają wyspecjalizowani pośrednicy. Działają w sposób metodyczny, monitorują nekrologi, odwiedzają targi staroci i oferują „szybką gotówkę" za stare dokumenty czy odznaczenia. Następnie przedmioty te są poddawane selekcji. Najbardziej „atrakcyjne" z handlowego punktu widzenia są te, które mają mocny komponent wizualny (np. list z obozu z malunkiem) lub są powiązane ze znanymi nazwiskami.

„List posiada unikalny, ręcznie malowany kredkami pastelowymi obrazek z motywami symboli Bożego Narodzenia oraz szczęścia – podkowa. Obrazek pokazuje również trzy serca z inicjałami […]. Jest to absolutnie unikalny list z obozu koncentracyjnego z malunkiem wewnątrz listu!!!" – to fragment jednej z ofert z polskiego serwisu aukcyjnego, na którym próbowano sprzedać (ostatecznie aukcję zablokowano) list polskiego więźnia obozu koncentracyjnego Sachsenhausen, adresowany do rodziny w Wąchocku. Cena wywoławcza – 4 tys. zł.

Jednym z pierwszych głośnych skandali o zasięgu globalnym była aukcja w serwisie eBay z 2013 r., na której wystawiono ok. 30 przedmiotów z obozu koncentracyjnego Auschwitz, w tym obozowy pasiak, który wyceniono na 13 tys. euro. Sprzedawca, przedstawiający się jako handlarz starociami z Kanady, sugerował, że pasiak należał do Polaka, który zginął w obozie. Interwencja brytyjskiej gazety „The Mail on Sunday" oraz natychmiastowe oburzenie opinii publicznej w Polsce zmusiły eBay do usunięcia ofert. Portal przeprosił za „niedelikatność" i zadeklarował 25 tys. dol. darowizny na cele charytatywne.

IPN MÓWI „DOŚĆ!"

Od tego czasu mija 13 lat i – jak widać – serwisy transakcyjne nie wypracowały metod filtracji ofert. Dopiero reakcja opinii publicznej blokuje podobne aukcje. Ile drobnych ofert przechodzi niezauważonych? Zdaniem Instytutu Pamięci Narodowej coraz więcej.

Prywatna korespondencja żydowskiej rodziny, której członkowie byli więzieni w różnych niemieckich obozach

FOT. AUKTIONSHAUS FELZMANN

– Diagnozujemy pewnego rodzaju niepokojące zjawisko, jakim jest rozprzestrzeniający się handel artefaktami związanymi z niemiecką okupacją, z mordami popełnionymi na polskich obywatelach. A więc dzisiaj w tym świecie zglobalizowanym te artefakty, relikwie bardzo często dla najbliższych, dla członków rodzin są często obiektem handlu. Komercjalizuje się w ten sposób nie tylko pamięć, lecz także komercjalizuje się cierpienie ofiar – mówił dr hab. Karol Polejowski, zastępca prezesa IPN, podczas konferencji prasowej poświęconej kampanii społeczno-edukacyjnej IPN „Pamięć nie na sprzedaż". – Kiedy patrzymy na to, to musimy wyraźnie powiedzieć, że godność tych ofiar jest po raz drugi odbierana. Handlując tymi przedmiotami, handluje się pamięcią i cierpieniem – dodawał.

W ramach kampanii IPN zorganizował wystawę, prowadzi działania edukacyjne, piętnuje handel pamiątkami po ofiarach zbrodni oraz zachęca do przekazywania podobnych przedmiotów do IPN-owskiego Archiwum Pełnego Pamięci, by ocalić pamiątki przed podobnym losem w przyszłości. Instytucja interweniuje też, gdy natrafia na oferty sprzedaży przedmiotów po ofiarach.

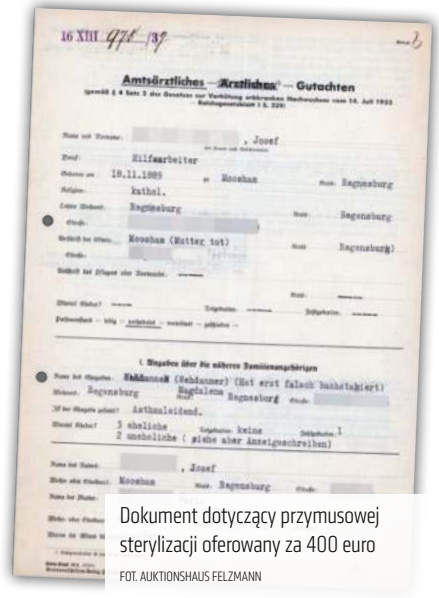

Dokument dotyczący przymusowej sterylizacji oferowany za 400 euro

FOT. AUKTIONSHAUS FELZMANN

NIE TYLKO AUSCHWITZ

Handel historycznymi artefaktami, który budzi uzasadnione wątpliwości, nie dotyczy wyłącznie pamiątek po ludziach osadzonych i pomordowanych w niemieckich obozach koncentracyjnych. W czerwcu 2024 r. na portalu OneBid wystawiono grypsy więzienne ze Lwowa. Przedmioty te, będące bezpośrednim świadectwem oporu polskiego społeczeństwa pod okupacją niemiecką, zostały sprzedane za 1,1 tys. zł, przy przebiciu ceny wywoławczej o 138 proc.

W marcu 2026 r. na ukraińskim portalu aukcyjnym Violity wystawiono na sprzedaż Krzyż Srebrny Orderu Wojskowego Virtuti Militari. Cena wywoławcza – 8 tys. hrywien (ok. 650 zł). Dzięki temu, że na zdjęciach widoczny był numer odznaczenia – 3353 – bez trudu można było zidentyfikować odznaczonego. Był nim kpt. Juliusz Roman Heinzel, potomek zasłużonych dla Łodzi fabrykantów pochodzących z Niemiec, bohater wojny z bolszewikami. „Dowodził jednym ze szwadronów legendarnego 16. Pułku Ułanów Wielkopolskich. Za męstwo na polu walki został odznaczony Krzyżem Srebrnym Orderu Wojskowego Virtuti Militari, Medalem Pamiątkowym za Wojnę 1918–1921 i Medalem Dziesięciolecia Odzyskanej Niepodległości – przypomniał IPN. – Wiosną 1940 r. z obozu w Starobielsku został przewieziony do Charkowa, zamordowany w piwnicach więzienia NKWD i pogrzebany niedaleko wsi Piatichatki. Jego los podzieliło ok. 3,8 tys. polskich oficerów".

IPN nawiązał kontakt z rodziną, a ta, zaskoczona, poinformowała, że odznaczenie ich przodka przechowują we własnym domu. Ostatecznie okazało się jednak, że rodzina posiada powojenny odlew, a na aukcji wystawiono oryginał. Po interwencji Instytutu odznaczenie wycofano ze sprzedaży. Strona ukraińska zapewniła, że pamiątka wróci do rodziny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a7e534a8f8

Moda na sukces

Piotr Gociek

„Diabeł ubiera się u Prady 2" gra na nostalgii, ale w odróżnieniu od przeboju z 2006 r. jest bardziej opowieścią o mediach niż o świecie mody

Mój ulubiony fragment filmu „Diabeł ubiera się u Prady" (2006) to słynna dieta Emily. Grana przez Emily Blunt asystentka demonicznej Mirandy Priestly (Meryl Streep) odchudza się w ramach przygotowań do wyjazdu na imprezę modową w Paryżu. Oto „dieta Emily": „Nie jem nic, a kiedy czuję, że zemdleję, zjadam kosteczkę sera". W części drugiej, która właśnie weszła na nasze ekrany („Diabeł ubiera się u Prady 2", 2026) Emily też dostała one-linera przygotowanego, byśmy go zapamiętali i powtarzali: „Węglowodany dzielone z przyjaciółką nie mają kalorii".

Różnica między tymi grepsami dobrze oddaje także różnicę między filmami: pierwszy był ironiczny, szyderczy, jadowity i bardzo zabawny. Drugi jest zabawny, ale w sposób raczej bezpieczny. Sequele są w dzisiejszych czasach bezpiecznymi, uładzonymi wersjami oryginałów, nikt już nie pozwoli sobie na takie ryzyka jak Paramount, kręcąc w latach 70. film „Ojciec chrzestny II".

Nie znaczy to, że na nową opowieść o Andy Sachs (Anne Hathaway) i magazynie mody „Runway" nie warto się wybrać. Zabawa wciąż jest niezła, ot, takie cztery gwiazdki na sześć, podczas gdy oryginał zdecydowanie miał u mnie pięć na sześć. Ale wiecie, jak to jest: nigdy nie ma się drugiej okazji do zrobienia pierwszego wrażenia.

OFERTA SPADA JAK Z NIEBA

Imperium modowe „Runwaya" (wzorowanego na „Vogue") wciąż jest rządzone żelazną ręką przez Mirandę (wzorowaną na Annie Wintour). Wpada jednak w PR-owski korkociąg, gdy wychodzi na jaw, że korzystało z niewolniczej pracy dzieci. Sprawę pokpił jeden z podwykonawców, oszukując cynicznie przedstawicieli wydawnictwa, co nie zmienia faktu, że teraz właśnie na „Runwayu" – i na Mirandzie osobiście – skrupia się wściekłość mediów i blogosfery. Co robić? Kryzys wizerunkowy przychodzi w fatalnym momencie: Miranda właśnie miała awansować w strukturach koncernu wydającego jej pismo.

Co natomiast działo się przez 20 lat z Andy Sachs, dawną nieśmiałą asystentką Mirandy? W pierwszym filmie zmieniała się na naszych oczach z brzydkiego kaczątka czy może Kopciuszka w pewną siebie, samodzielną kobietę, która ostatecznie odrzuca kuszenie i zamiast kariery w „Runwayu" zabiera się do prawdziwego, porządnego dziennikarstwa. Co oznacza 15 lat jeżdżenia po świecie za ważnymi tematami, brak męża czy dzieci oraz prestiżowe nagrody – tyle że w chwili cięć kosztów w mediach to właśnie tacy autorzy idą na bruk pierwsi. Andy zostaje więc – wraz z całą swoją redakcją śledczą – zredukowana. Oferta ponownej pracy dla „Runwaya" spada jej jak z nieba. Magazyn tymczasem pilnie potrzebuje kogoś, kto pomoże pismu w odzyskaniu nadszarpniętej reputacji.

Widać już po tym rozstawieniu figur, że czeka nas powtórka z rozrywki: Andy znów jest outsiderką wkraczającą do jaskini lwa, Miranda jak dawniej traktuje ją jak powietrze, ale musi znosić jej obecność, bo nowa szefowa działu opinii była pomysłem wpływowego wydawcy. Nigel Kipling (raz jeszcze świetny Stanley Tucci), prawa ręka Mirandy, ponownie jest dla Andy mentorem, ale nigdy nie zapomina o swej lojalności wobec szefowej. I w trzecim akcie znów będzie czekała nas wielka podróż do Europy, tym razem nie do Paryża, lecz do Mediolanu. W samej naturze sequeli jest przecież taka powtarzalność: to samo, ale trochę inaczej, ale jednak to samo.

Gdybyśmy mieli do czynienia jedynie z prostą powtórką, pewnie nie byłoby o czym pisać i rozmawiać. Jednak tym razem „to samo" zamienia się w prawdziwy ciąg dalszy, gdy odkrywamy, że film „Diabeł ubiera się u Prady 2" przynosi części bohaterów domknięcie podróży czy przemiany zasygnalizowanej w jedynce. Czy przezabawna, ale też trochę tragiczna Emily z pierwszego filmu wyzwoli się na dobre spod złego czaru Mirandy? W chwili, gdy ją spotykamy ponownie, wydaje się nam, że tak: jest szefową sprzedaży Diora. Ale... cóż, nie wyprzedzajmy faktów. Czy Nigel nadal będzie wierny jak pies, a Miranda nie będzie tego zauważać? Czy sama Andy Sachs jest w stanie dokonać cudu, to znaczy w świecie ceniącym tylko clickbaity pisać takie teksty, które zarówno będą poczytne, jak i wartościowe? A potem

eprasa.pl a7e534a8f8

Meryl Streep jako Miranda Priestly oraz Stanley Tucci jako Nigel w filmie „Diabeł ubiera się u Prady 2" FOT. MATERIAŁY PRASOWE

dokonać cudu jeszcze większego, to znaczy spróbować połączyć życie zawodowe z osobistym?

Twórcy nowego filmu wyciągają wnioski ze społecznych nastrojów: samotna, silna karierowiczka bez faceta i dzieci przestała być w Ameryce obowiązującym wzorcem kobiecości. Rośnie tam tęsknota za tradycyjnymi małżeństwami i tradycyjnymi żonami. Co ciekawe, coraz częściej tęsknią za tym same kobiety. Z drugiej strony mamy tu też żarcik wymyślony po to, by uradować amerykańskich wykształciuchów, libków, salony – jak zwał, tak zwał. Gdy internetowe pleciugi chcą wyrazić swoją dezaprobatę dla rzekomo nieetycznych działań Mirandy Priestly, to szydzą z niej, że pewnie ogląda serial „Yellowstone".

SEN AMERYKAŃSKICH ELIT

Żeby plusy nie przesłaniały nam minusów: w paru sprawach zostaliśmy w tym filmie omamieni. Po pierwsze, w odróżnieniu od jedynki nie jest to już opowieść o drapieżnym świecie mody. A o czym? Ano o świecie mediów,

Twórcy nowego filmu wyciągają wnioski ze społecznych nastrojów: samotna, silna karierowiczka bez faceta i dzieci przestała być w Ameryce obowiązującym wzorcem kobiecości

w którym cięcia sprawiają, że porządni dziennikarze tracą robotę, redakcje z tradycjami są zamykane i wszystko przenosi się do Internetu. A w Internecie, wiecie sami, tylko plotki, tandeta, historyjki, kto z kim śpi i wszechobecne clickbaity. Więc, oczywiście, samo zło. No, ale jako że „Diabeł ubiera się u Prady" (w obu częściach) jest bajką, to nasz dzielny Kopciuszek, a dziś – nagradzana dziennikarka Andy – potrafi połączyć tematy ważne z lekką formą i licznymi wyświetleniami. Ale nie tak licznymi, jak chcieliby właściciele imperium medialnego. I w sumie im się nie dziwię, bo tytułu „Wpływ zmian klimatu na kulturę europejską" nie kliknąłbym nawet, gdyby mi za to płacono.

Ta część filmu poświęcona mediom jest ogólnie słuszna i ogólnie wtórna, dużo lepiej opowiedziane to wszystko zostało choćby w serialu „Sukcesja" – z którego zresztą twórcy drugiego „Diabła u Prady" pożyczają parę rzeczy w finałowych partiach filmu. Amerykańskie elity wciąż śnią ten sam sen: o świecie, w którym o wszystkim decydują arbitrzy elegancji z „New York Timesa", a nie jakieś przybłędy z Internetu, które ośmieliły się mieć własne kanały i własne opinie.

Po drugie, jak na film o modzie przedstawia nam David Frankel (ten sam reżyser, co w części pierwszej) niewiele mody. Nigdy mnie ten glamour haute couture specjalnie nie kręcił, ale kiedy oglądałem poprzedni film, fetyszyzm, jakim otaczano tam poszczególne stroje, tkaniny, szczegóły, był dla mnie fascynujący. W drugim moda znalazła się w cieniu opisanych wyżej rozważań o mediach i wstrętnych reklamodawcach, którzy chcą mieć jeszcze większy wpływ na to, co ukazuje się w tym czy innym tytule. Cóż, może niektórych to szokuje – jeśli tak, to niech sobie przypomną czasy, gdy w latach 50. w amerykańskiej TV nowe seriale czy programy rozrywkowe kręcono tylko wtedy, gdy miały możnego sponsora od pianek do golenia czy mydła. A stopień agresywnej perswazji, z jaką prezentowano produkty w przerwach reklamowych czy w sekwencjach sponsorskich, był dużo większy, niż może podejrzewać dzisiejszy widz.

Bardzo ciekawy trop pojawia się w pewnym momencie, gdy bohaterka grana przez Emily Blunt opowiada, jak zamieniła Diora w fabrykę pieniędzy. Dwadzieścia lat wcześniej elitarni klienci kupowali torebki po 100 dol. – i było to uważane za ekstrawagancję. Dziś odpowiednia polityka reklamowa i sprzedażowa sprawiły, że byle kto kupuje torebkę za 3 tys. dol. – i jest to uważane za coś normalnego. Temat zostaje szybko porzucony, bo w tym filmie satyra jest bezpieczna. Nawet wypowiedzi Mirandy Priestly znanej z ostrego języka nie są już tak zabawnie hardcore'owe jak w jedynce, bo ma obok siebie asystentkę podpowiadającą jej, co można, a czego nie można powiedzieć.

„Diabeł ubiera się u Prady 2" to hollywoodzka rozrywka, której oglądanie nie boli, będzie to hit w kinach, a już na pewno w streamingu. Meryl Streep wciąż jest znakomita, Stanley Tucci rewelacyjny, Anne Hathaway nieco irytująca w próbie podtrzymania magii dziewczęcego uroku 20 lat później. Reszta obsady robi za maskotki – zwłaszcza męskiej obsady. Pierwszy film niczego nie dopowiadał, opuszczaliśmy światek „Runwaya" niepewni co do tego, jakie będą dalsze losy bohaterów. Drugi film to już komunikat: wszystko będzie dobrze, patrzcie, jacy oni wszyscy zabawni i milusi. Pierwszy kawałek dobrego tortu zawsze smakuje wyśmienicie. Przy drugim zwykle myślimy po paru kęsach: „Cholera, nie musiałem już go jeść". Tak jest i z opowieściami o diable ubierającym się u Prady.

REŻ. DAVID FRANKEL
„DIABEŁ UBIERA SIĘ U PRADY 2"
USA 2026

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a7e534a8f8

Krzysztof Masłoń

Pod Gwiazdami

Joanna Krauze de Lendorff (dawniej Joanna Kos-Krauze)

FOT. ANDRZEJ ZBRANIECKI

Z życia artystycznych elit Rzeczypospolitej. Reżyserka Joanna Krauze de Lendorff, wcześniej znana jako Joanna Kos-Krauze, w trakcie przygotowań do filmu „Ptaki śpiewają w Kigali" miała – jak opowiada ocalały z ludobójstwa w Rwandzie Gilbert Seziraha – zachować się wobec niego następująco: „Leżałem na podłodze i płakałem, a ona krzyczała na mnie, kopała, szturchała nogą. Mówiła, że mam wypier….., że jestem złym człowiekiem, pijakiem. I że nigdy nie znajdę pracy". Tak wynika z tekstu Magdaleny Rigamonti w Onecie, przypominającym o innych, najdelikatniej mówiąc, nieetycznych zachowaniach współtwórczyni takich obrazów jak „Plac Zbawiciela" czy „Papusza". A „Ptaki śpiewają w Kigali", dostępny w TVP VOD, poświęcony jest nie czemu innemu, a ludobójstwu w Rwandzie i konsekwencjach tej tragedii dla tych, którzy przeżyli i na zawsze już naznaczeni zostali traumą.

Należy w tym miejscu oddać, co cesarskie cesarzowi, i przypomnieć, co Andrzej Seweryn, luminarz nie tylko polskiej kultury, miał do powiedzenia odnośnie do nielubianych przez niego, jak się zdaje, polityków: „Tym wszystkim Trumpom, Kaczyńskim, Orbánom pier…..ym trzeba przyp….. lić. Żadnych dialogów chrześcijańskich, żadnego rozumienia, debaty, porozumienia. Nie, k.rwa! Przyp…..lić. Faszystom trzeba przyp…..lić, a nie dyskutować z nimi". No pewnie.

Katarzynę Augustynek, jakże popularną Babcię Kasię, trudno wprawdzie uznać za artystkę, a i miano intelektualistki nie bardzo do niej przystaje, niemniej w sprawach zasadniczych prezentuje stanowisko identyczne co Andrzej Seweryn. Ta Warszawianka Roku, utytułowana tak przez świetnie wykształconego, znanego z kultury i ogłady prezydenta naszej stolicy Rafała Trzaskowskiego, zapewniała wszak Jarosława Kaczyńskiego: „Zaje…my cię, Jarek".

Zasługi w nowoczesnym wyedukowaniu społeczeństwa należą się, bez dwóch zdań, ikonom Strajku Kobiet, paniom Marcie Lempart i Klementynie Suchanow. Cytowanie ich, jakże licznych, słów rzucanych w przestrzeń publiczną mija się z celem, bo znają je wszyscy aż za dobrze; ponadto gdyby je wyliczyć, zabrakłoby w „Do Rzeczy" miejsca. Co najwyżej przywołam jedno tylko zdanie, pełne uzasadnionej dumy z dotychczasowych osiągnięć: „Do polityki nie pójdziemy, ale społeczeństwo nauczyło się reagować i w razie potrzeby powie »wypier…..«".

Ośmielam się zauważyć, że społeczeństwo to już wcześniej przyswoiło sobie te lemparto-suchanowe słownictwo. Będzie jakoś ponad 20 lat temu Sławomir Mizerski w raporcie „Polskie przekleństwo" skonstatował: „Chamska polszczyzna opuściła ciemne zakamarki, przestała być językiem do użytku ściśle osobistego. Stała się donośna, w niektórych środowiskach modna, stanowiąca istotny element stylu. Pełno jej na ulicy, w piosenkach, Internecie, telewizyjnych talk-showach, na łamach wysokonakładowej prasy, na ekranach kin, nawet w Sejmie".

Mniej więcej w tym samym czasie w stosownym temacie raczył dać głos poeta Podsiadło Jacek. „O wulgaryzmy walczę jak o wszystko inne – zadeklarował. – O wolność słowa po prostu. Bo ja kocham słowo, uwielbiam język polski. A wśród jego bogactw są też wulgaryzmy. To tak, jakbyś zakochał się w kobitce – tłumaczył rozmówcy – która ma jedną nóżkę bardziej. Masz udawać, że nie ma tej nóżki? Albo że nie jest bardziej? Nie, kocham ją razem z tą nogą. Wielbię polszczyznę, razem z jej zgrubieniami, brutalizmami i dosadnościami. Oczywiście z drugiej strony jeśli w kobiecie zajmuje cię głównie jej kulawa nóżka, to jesteś zboczeńcem […]. Bo trzeba odróżnić, kiedy jest czas i miejsce na rzucanie mięsem, kiedy – jak to nazywają w Rosji – »nienormatywna leksyka« jest nośnikiem agresji i chamstwa, a kiedy zupełnie czego innego. Jak z tobą rozmawiam, to bluzgam, bo dzięki temu wyrażam się precyzyjniej, a tobie uszy z tego, co widzę, nie więdną. Jak rozmawiam z mamą, to nigdy nie bluzgam".

Całkiem niedawno ów wierszokleta popisał się wnikliwą analizą „Bogurodzicy", na wszelki wypadek przypomnę w tym miejscu – najstarszej polskiej pieśni religijnej, pełniącej zarówno funkcję modlitwy, jak i hymnu narodowego oraz pieśni rycerskiej. Podsiadle Jackowi nie spodobała się jej obecność wśród szkolnych lektur i stwierdził: „Dajcie mi miejsce, gdzie mógłbym oprzeć łokcie, a nim kur zaśmieje się trzy razy, napiszę 20 takich", a pewnie i lepszych, ponieważ już dwa pierwsze słowa „Bogurodzicy", zdaniem literata, „zawierają oczywistą bzdurę". „Nie można być jednocześnie matką i dziewicą – wyjaśniał skwapliwie – sensy tych słów nie tyle się odpychają, co wręcz napierdzielają się po łbach". Muszę przyznać, że spodziewałem się po autorze tych słów znacznie większej dozy wulgarności, a tu proszę, jak łagodnie obszedł się ze średniowiecznym zabytkiem piśmiennictwa polskiego, wyrozumiale określając go jako „pitu-pitu" i „pierdu-pierdu". Niemniej jednak chamstwo tej rzekomej analizy literackiej jest tak uderzające, że i bez nagromadzenia wulgaryzmów poeta Podsiadło Jacek zaprezentował się tu jako wzorcowy wręcz burak.

Człowiek starszej daty, a takim jest Jerzy Bralczyk, uważa, że częste używanie wulgaryzmów świadczy jedynie o inwalidztwie językowym. A że w ten sposób uzewnętrzniamy swoje emocje? No, znowu artyści pod tym względem wysoko zawiesili poprzeczkę, np. niegdysiejsza gwiazda serialu „M jak miłość" – Barbara Kurdej-Szatan. Któż nie zapamiętał erupcji jej uczuć z czasów, gdy szturmujący naszą granicę z Białorusią byli „biednymi ludźmi" haniebnie traktowanymi przez polskie służby: „To jest k.rwa Straż Graniczna! Straż??? To są maszyny bez serca, bez mózgu, bez niczego!!! Maszyny ślepo wykonujące rozkaz!!! K.rwa!!! K.rwa!!!".

Czesław Miłosz wyraził kiedyś życzenie: „Mowa rodzinna niechaj będzie prosta…". A stała się prostacką. ©℗

eprasa.pl a7e534a8f8

GRZEGORZ KASJANIUK

KOGO SŁUCHASZ

DUCHOWY PRZEWODNIK PO ŚWIECIE POPKULTURY

Książka *Kogo słuchasz* jest próbą spojrzenia na współczesną popkulturę przezpryzmat wiary, ostrzegając przed pułapkami, jakie stawiana naszej drodze diabelska propaganda.

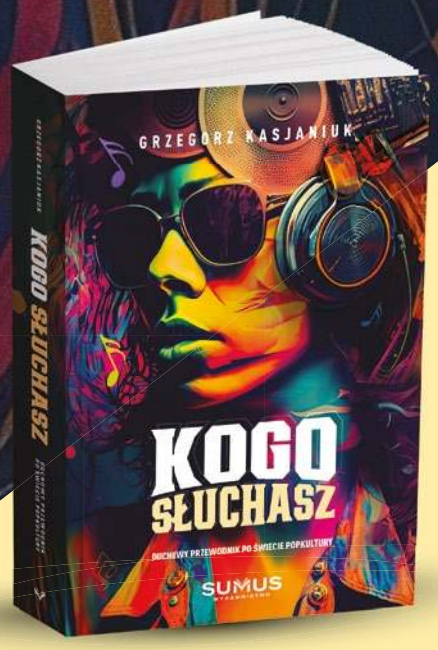

Dowiedz się więcej
i ZAMÓW

SUMUS WYDAWNICTWO

www.sumuswydawnictwo.pl

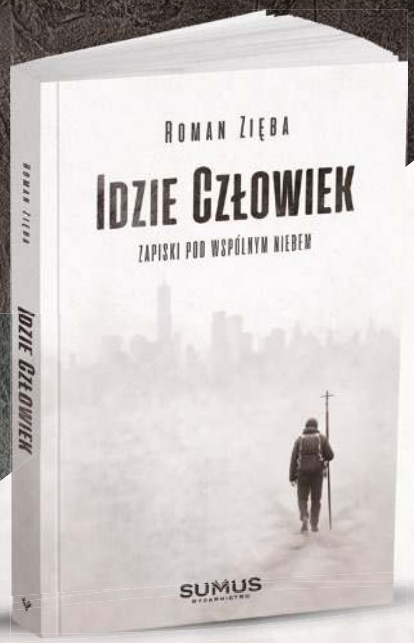

ROMAN ZIĘBA

IDZIE CZŁOWIEK

ZAPISKI POD WSPÓLNYM NIEBEM

Kolejna książka autora *Krzyża Ameryki* i *Jaskółki w katedrze*. Tom składa się z piętnastu rozdziałów, z których każdy prowadzi czytelnika przez inny kraj – przemierzany pieszo, z plecakiem i kosturem w dłoni.

Dowiedz się więcej
i ZAMÓW

ZOBACZ WYWIAD
z autorem książki
na kanale YouTube
Rymanowski Live

eprasa.pl a7e534a8f8

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

★★★★☆☆
REŻ. DEREK CIANFRANCE
„URODZONY RABUŚ"
USA 2026

wyst. Channing Tatum, Kirsten Dunst

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

prime video

Jeffrey z dachu

Charyzmatyczny włamywacz, który budzi naszą sympatię? Znamy tę figurę, grunt, żeby na ofiary wybrał sobie jakichś nielubianych „onych". Może to być kasyno, jak w serii „Ocean's Eleven", bank policyjnego kapusia Kramera, jak w „Vabanku" itd. W filmie „Urodzony rabuś", uroczy Channing Tatum, bierze na cel restauracje McDonald's – nie dość więc, że ograbia korporację (a nikt nie lubi wielkich korporacji), to jeszcze możemy udawać, że wymierza jej symboliczną karę za śmieciowe jedzenie.

Historia jest inspirowana faktami – faktycznie żył sobie (i żyje nadal, tylko że w więzieniu) niejaki Jeffrey Manchester, były żołnierz, który specjalizował się we włamach do siedzib popularnych fast foodów: wiercił nocą dziury w dachu, a potem ukrywał się, czekając na pracowników, którzy mogli otworzyć mu sejf i oddać kasę. Był przy tym uprzejmy i nikogo nie krzywdził, niczym Robert Redford w filmie „Dżentelmen z rewolwerem". I naprawdę po ucieczce z więzienia ukrywał się przez długie miesiące w wielkim sklepie z zabawkami. Co więcej, zaczął wówczas nawet prowadzić coś na kształt normalnego życia, chodząc do kościoła, spotykając się z miłą dziewczyną itd.

Ten nieco zabawny, nieco wzruszający, a zawsze zajmujący kawałek rozrywki przypomina, że nie da się po prostu zapomnieć o dawnych grzechach i zacząć od nowa, potrzebna jest pokuta i kara, zanim przyjdzie odkupienie. Z drugiej strony reżyser Derek Cianfrance cynicznie manipuluje uczuciami widza: patrzcie, jaki ten mój rabuś fajny, jaki miły – a w ogóle to chciał dobrze, bo pieniędzy potrzebował dla rodziny. Mocno wykalkulowany też zdaje się morał: dziecko potrzebuje bardziej miłości taty i jego codziennej troski niż forsy na nowe zabawki. Kto obejrzy „Urodzonego rabusia", ten będzie wiedział. Tak jakby nie można było posiąść tej wiedzy w inny sposób…

Niemniej film ogląda się dobrze, bo magia komedii rodzinnej działa, podobnie jak chłopięcy uśmiech Tatuma. Największe zdumienie budzą zaś nie nietypowe pomysły rodzinnego włamywacza, lecz fakt, że tę lekką opowiastkę firmuje dziś swoim nazwiskiem twórca filmów takich jak „Blue Valentine" czy „Drugie oblicze". Najwyraźniej jego rodzina też potrzebuje pieniędzy. ©℗

GRA TYGODNIA: „PRAGMATA"

Wystarczy przeczytać fragment opisu gry – „W trakcie rozgrywki wcielamy się w odzianego w futurystyczny pancerz bohatera imieniem Hugh, który opiekuje się dziewczynką androidem imieniem Diana" – by wiedzieć, że za tym muszą stać Japończycy. I tak w istocie jest – „Pragmata" to dzieło (dodajmy: bardzo udane) święcącego triumfy Capcomu. Na wyróżnienie zasługuje system walki, w którym ataki i uniki łączymy z jednoczesnym hakowaniem naszych przeciwników.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★☆

A oprócz akcji mamy też całkiem zgrabnie opowiedzianą historię.

©℗ ***Radosław Wojtas***

- ***Gatunek:*** *akcji, TPP*
- ***Platforma:*** *PS5, XSX, NS2, PC*
- ***Producent, wydawca*** *PL: Capcom, Cenega*

eprasa.pl a7e534a8f8

Długie pożegnanie

tv

W krajach tzw. demokracji ludowej mówiło się, że Zachód gnije, wydzielając wspaniałe zapachy. Podobnie jest z fortuną Crawleyów. Od 15 lat chyli się ku upadkowi, lecz z jakimż wdziękiem! Julian Fellowes, nagrodzony Oscarem za scenariusz „Gosford Park", sprytnie to sobie wymyślił. Na fundamencie nostalgii za dawnymi, dobrymi czasami wzniósł wiktoriańską rezydencję, zwycięsko odpierającą szturmy wroga, czyli nowoczesności. Mikrokosmos Downton Abbey, z nadzwyczajną czułością opisany w serialu i trzech filmach, to raj pozbawiony węża. Bohaterowie, aczkolwiek wstrząśnięci katastrofą „Titanica", wielką wojną, irlandzką rebelią i – przede wszystkim – kryzysem ekonomicznym, uparcie kultywują brytyjskie wartości.

Co z tego, że budżet coraz gorzej się spina i słabnie nadzieja na finansową odsiecz z Ameryki? Dopóki pałac z przyległościami pozostaje w rękach Crawleyów, dopóty żywym nie wolno tracić nadziei. „Jestem Anglikiem i dziękuję za to Bogu" – deklaruje sir Robert. Konflikty? Wyłącznie pozorowane. Szef kamerdynerów Carson definitywnie przechodzi na emeryturę, Daisy obejmuje rządy w kuchni. Pokoleniowe zmiany wzbudzają entuzjazm jaśniepaństwa i spoufalonej z nim służby. Tylko lord ociąga się z abdykacją, którą sam zaplanował. Ja tam go rozumiem. Wyznaczona na dziedziczkę najstarsza córka popada w recydywę: tak jak w pierwszym sezonie prokuruje obyczajowe skandale. Pal diabli wyspiarską hipokryzję. Crawleyowie są ponad to. Gdy inni błękitnokrwiści politykowali lub mitrężyli czas na głupstwa, oni cierpliwie wytwarzali szczęście w aerozolu. Niestety, działające tylko na mieszkańców Downton Abbey.

Gościem „Wielkiego finału" jest Noël Coward, gigant lekkiej muzy, dziś pamiętany jedynie przez fanatycznych anglofilów. Do obsady dołączył Paul Giamatti jako brat marnotrawny buszujący w lordowskiej bibliotece. Chyba dla beki, bo nie miał szansy się wykazać. Rozstajemy się z brytyjskimi poczciwcami w 1930 r. Wkrótce wybuchnie kolejna wielka wojna. Ewentualną reaktywację w tym samym składzie personalnym widzę czarno. Aktorów tak żywotnych jak Maggie Smith spotyka się rzadko. O scenarzystach nie wspominając. ©℗

Wiesław Chełminiak

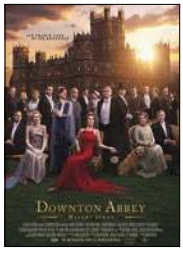

★★★★☆☆

REŻ. SIMON CURTIS
„DOWNTON ABBEY. WIELKI FINAŁ" („DOWNTON ABBEY. THE GRAND FINALE")
WIELKA BRYTANIA 2025

wyst. Hugh Bonneville, Elizabeth McGovern, Michelle Dockery

KOBIETA Z ATLANTYDY

Przed chwilą obchodziła 92. urodziny, lecz nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. Karierę zaczęła pod batutą Hitchcocka, znanego dręczyciela aktorek. Dla niej był bardzo miły. Tańczyła od drugiego roku życia, potem okazało się, że umie również śpiewać, tumanić oraz wzruszać. Przecierała gwiazdorski szlak młodszemu bratu, Warrenowi. W Hollywood bano się wybuchowego temperamentu i niewyparzonej gęby Shirley MacLaine. Potrafiła odrzucać role nie do odrzucenia. Dopiero szósta nominacja (za „Czułe słówka") dała jej upragnionego Oscara. Z całych sił wspierała demokratów i ruch New Age. Ogłosiła, że w jednym z poprzednich wcieleń mieszkała na Atlantydzie. Jak na ironię, dokument poświęcony osobie tak ekscentrycznej i ekspansywnej poprzestaje na suchym zestawieniu faktów i opinii. Stanowczo, Shirley zasłużyła na więcej. ©℗

arte

★★★☆☆☆

REŻ. JEAN LAURITANO
„SHIRLEY MACLAINE. ŻYCIE TO RWĄCY POTOK" („SHIRLEY MACLAINE: COMME UN TORRENT")
FRANCJA 2025

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Sienkiewicz patrzy na Rzym

Włochy nazywał Henryk Sienkiewicz swoją drugą ojczyzną. Fascynacja Rzymem – tym pisarzowi współczesnym, a zwłaszcza tym antycznym – pozwoliła przelać na strony „Quo vadis" aurę starożytnego Rzymu czasów Nerona. Opisać z pieczołowitością architekturę Wiecznego Miasta i życie codzienne jego mieszkańców.

Pierwsze wydanie „Quo vadis" ukazało się w 1896 r. Z okazji 130. rocznicy oddania dzieła w ręce czytelników w Pałacyku Henryka Sienkiewicza w Oblęgorku (oddziale Muzeum Narodowego w Kielcach) otwarto wystawę „Roma Aeterna – antyczne fascynacje Henryka Sienkiewicza". Wystawa „stanowi próbę rekonstrukcji imaginarium Wiecznego Miasta widzianego oczami pisarza – piszą autorzy wystawy. – Ekspozycja pozwoli głębiej zrozumieć egzaltację Sienkiewicza Rzymem – miastem, które stało się dla niego nie tylko tłem powieści, ale i natchnieniem literackim".

Eksponaty – m.in. rzeźby, obrazy, numizmaty, biżuteria, artefakty życia codziennego – pochodzą z kilkunastu muzeów. ©℗

FOT. MUZEUM NARODOWE W KIELCACH/FACEBOOK

GDZIE? ***Pałacyk Henryka Sienkiewicza w Oblęgorku***
KIEDY? ***do 8 listopada***

eprasa.pl a7e534a8f8

MOJA PÓŁKA

Realizm bezprzymiotnikowy

KRZYSZTOF MASŁOŃ

Dziś, gdy magiczne jest wszystko włącznie z garnkiem do gotowania, czasy, w których ten nadużywany do obrzydzenia przymiotnik był jedynie wyróżnikiem podbijającej świat literatury iberoamerykańskiej, wydawać się może prehistorią. Ale jednak nie było to aż tak bardzo dawno, bo mniej więcej w latach 60. zeszłego stulecia, kiedy to do piśmiennictwa wkroczyła istna falanga pisarzy z Ameryki Południowej z Gabrielem Garcią Márquezem i jego opowieścią, oczywiście magiczną, o kolejnych pokoleniach rodu Buendia w mitycznym Macondo.

Meksykanina Juana Rulfo, autora uznanej za kultową (znów odbija się czkawką wyświechtany przymiotnik) niewielkiej powieści „Pedro Páramo", uznać by się dało za prekursora owego magicznego nurtu prozy, jako że książka ta, przez Jorge Luisa Borgesa wpisana na listę dzieł niezbędnych, powstała wcześniej, wydana została w roku 1955. I właściwie do śmierci w roku 1986 pozostał Rulfo twórcą tych tylko tytułów. Teraz, dzięki nowej PIW-owskiej edycji, możemy poznać jeszcze jedną krótką powieść tego autora – „Złoty kogut". Opublikował ją późno, bo w 1980 r.; w pierwotnym zamyśle miała być scenariuszem filmowym. Stało się inaczej, z korzystnym skutkiem dla literatury, choć w porównaniu z „Pedro Páramo" „Złoty kogut" wydaje się, powiedziałbym, zbyt oczywisty. Za to jako obraz meksykańskiej prowincji wręcz przesycony folklorem jest więcej niż interesujący. A już opisy walk kogutów są absolutnie mistrzowskie.

Ale to, co najbardziej uderza w prozie Rulfa, to jej bezprzymiotnikowość. Nieprzypadkowo Ewa Kobyłecka-Piwońska w posłowiu do obecnej edycji „Pedro Páramo" przypomina wywiad, którego udzielił pisarz Martonowi Caparrasowi: „Jestem wrogiem przymiotników – powiedział wtedy. – To rzeczownik tworzy esencję języka".

Tak też pisał swoje utwory; stylem wypranym z wszelkiego zdobnictwa, surowym, męskim – w dobrym tego słowa znaczeniu. Bo też opowiada o twardych ludziach, żyjących w arcytrudnych warunkach, mierzących się z ekstremalnymi wyzwaniami. Doświadczenia pisarza urodzonego w 1917 r. w małej miejscowości Sayula takimi też były. Miał pięć lat, gdy zamordowany został jego ojciec, podobno za 2 peso. Które był dłużny. Po latach w opowiadaniu „Powiedz im, żeby mnie nie zabijali" napisze: „Guadelupe Terreros to był mój ojciec. Kiedy podrosłem i szukałem go, powiedzieli mi, że nie żyje. Trudno jakoś wyrastać, kiedy się wie, że to, na czym możemy się oprzeć, aby zapuścić korzenie, jest już martwe. Tak było z nami".

Na rodzinny dramat osieroconego chłopca (matka Juana zmarła wkrótce po śmierci ojca) nakładały się wydarzenia wstrząsające krajem już od 1910 r., gdy wybuchła rewolucja meksykańska, po której kraj pogrążył się w chaosie i przemocy. Echa tej niekończącej się wojny domowej znajdziemy w sławnej powieści Rulfo, która boleśnie przekonuje, że tytułowym bohaterem czy raczej antybohaterem jest w niej właściwie każda postać. Bo też prawdziwym protagonistą tej wybitnej prozy jest Meksyk.

Jeden z czasowo ważnych ludzi z karabinem mówi tak: „Zbuntowaliśmy się przeciw rządowi i przeciwko wam, bo już znudziło nam się was znosić. Rządu mamy dość za jego szachrajstwa, a was dlatego, że jesteście tylko bandą złodziei i parszywych łobuzów. O rządzie już nic więcej nie powiem, bo wytłumaczymy mu przy pomocy kul to, co chcemy powiedzieć". Oczekiwana przez chłopów reforma rolna okazać się miała oszustwem. Tylko czy w istocie mogła się udać? W opowiadaniu „Dali nam ziemię" znajdujemy taką opowieść:

Cóż za diabeł wymyślił tę równinę tak wielką? Komuż to potrzebne, hę?

Znowu zaczęliśmy iść; zatrzymaliśmy się, żeby widzieć, jak pada deszcz. Deszczu nie było. Teraz znowu zaczynamy iść. A mnie się wydaje, że szliśmy więcej, niżeśmy przeszli. Tak mi się wydaje. Gdyby padał deszcz, może by mi się zdawało co innego. A poza tym wiem, że od czasu, kiedy jeszcze byłem dzieckiem, nie widziałem nigdy, żeby deszcz padał na równinie, taki naprawdę deszcz.

Nie, równina nie nadaje się do niczego. Nie ma tu ani królików, ani ptaków. Nie ma nic. Jeżeli nie liczyć paru rachitycznych huizaches [twardych pustynnych drzew – przyp. K.M.] i tu, i ówdzie plamki trawy o zwiniętych liściach; jeżeli nie liczyć tego, nic nie ma.

I tędy idziemy. We czterech, piechotą. Przedtem jechaliśmy konno i wieźliśmy przytroczony karabin. Teraz nie mamy nawet karabinu.

A ksiądz proboszcz z powieści „Pedro Páramo" powiada: „Mieszkamy na ziemi, gdzie dzięki Opatrzności wszystko się rodzi, ale wszystko jest kwaśne. Jesteśmy na to skazani".

Szukałem sławnej magii, powracając po latach do lektury „Pedro Páramo". Nie znalazłem jej. Reklamiarskie etykiety nie mają nic wspólnego z tą literaturą: realistyczną i prawdziwą. Do bólu. ©℗

★★★★★☆

JUAN RULFO „PEDRO PÁRAMO I INNE PROZY"
PIW, WARSZAWA 2026

eprasa.pl a7e534a8f8

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Opowieści normalne

Kolejny tom opowiadań „bezjakubowych" Andrzeja Pilipiuka (znaczy: bez Jakuba Wędrowycza) to powrót dwóch innych znanych bohaterów: doktora Pawła Skórzewskiego i „polskiego Indiany Jonesa", czyli Roberta Storma. Pięć tekstów z książki „Biały dom" przypomina, że twórca „Dziennika norweskiego" poważnie traktuje swoje obowiązki gawędziarza, ale równie poważnie – swoje obowiązki polskie.

Z biegiem czasu – gdy porównamy z pierwszymi zbiorkami – opowiadania Pilipiuka nabierają objętości, stają się może jeszcze nie mikropowieściami, ale już nie krótkimi tekścikami z puentą. Jest on bowiem przedstawicielem wymarłego dziś gatunku gawędziarzy edukujących. Maniak researchu, człowiek, który w osobnym mieszkaniu trzyma gigantyczne zbiory rozmaitych ksiąg, książek, czasopism, prac naukowych, najpierw ładuje baterie pisarskie, zbierając wiadomości na wszelkie tematy, a potem pakuje je do swych opowieści, niczym niegdyś Alfred Szklarski do przypisów w powieściach o Tomku Wilmowskim. Zdradził Andrzej na premierze „Białego domu", że 90 proc. faktów (a bywają szalone!) z jego historyjek to owoc badań autora, dopiero drobna reszta jest podkręcana na potrzeby fabuły. I to działa, to kręci, to sprawia czytelnikowi frajdę.

Sekrety transfuzji krwi („Niebieska krew"), tajemnica zapomnianej rośliny znanej z „Historii naturalnej" Pliniusza („Kwiat zagubiony w piaskach") czy sowieckich eksperymentów atomowych („Biały dom") – snując wszystkie te opowieści przygodowe z lekkim fantastycznym posmakiem, nie zapomina Pilipiuk o rozliczeniach z tymi, z którymi jako Polak ma na pieńku. Pamiętamy to i z innych jego tekstów, nawet gdy idzie w czystą satyrę, dokłada przecież Rosjanom i Sowietom, nie cierpi komunizmu, nazizmu i rozmaitych innych izmów. W antyunijnym i antyutopijnym „Przy ogniu" nie pisze wprost, kto dokonał interwencji w Polsce, ale można się domyślić, skoro trumny z ciałami agresorów wysyłane były za Odrę.

Jest Pilipiuk autorem ludowym w najlepszym tego słowa znaczeniu – to znaczy: nie z PSL, tylko ze zdrowego rozsądku, głęboko polskiego współczucia dla ofiar i głęboko polskiej nietolerancji dla łotrów. Jego opowieści są obroną normalności – za co kochają go czytelnicy, a lekceważą krytycy. To dobry deal. ©℗

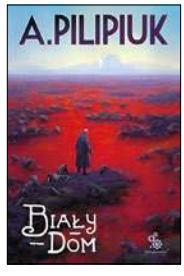

★★★★☆☆
ANDRZEJ PILIPIUK „BIAŁY DOM" FABRYKA SŁÓW 2026

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Znakomity tłumacz i wielki erudyta Maciej Świerkocki podąża za wskazówkami Jorge Luisa Borgesa, który wielce cenił dorobek autora „Księgi dżungli", i przedstawia obszerny zbiór opowiadań wskazanych przez mistrza.

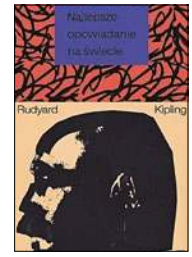

RUDYARD KIPLING „NAJLEPSZE OPOWIADANIE NA ŚWIECIE" PIW

Życie, dzieło i śmierć Pliniusza Starszego (tego od „Historii naturalnej", nie Pliniusza od listów opisujących zagładę Pompejów) widziane oczami jego niewolnika. Powieść nie tylko historyczna, bo także o mękach tworzenia.

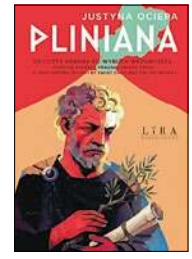

JUSTYNA OCIEPA „PLINIANA" LIRA

Pięć miesięcy oblężenia, grubo ponad pół miliona mieszkańców w pułapce, dwie trzecie miasta zniszczone – oto historia ostatniej wielkiej bitwy drugiej wojny światowej na kontynencie europejskim. Breslau bronił się dłużej niż Berlin.

RICHARD HARGREAVES „OSTATNIA TWIERDZA HITLERA: BRESLAU 1945" REBIS

Klasyka post-apo: w zniszczonej atomową wojną Ameryce ludzie żyją w odseparowanych enklawach. Drobny oszust konstruuje fikcję, która ma pomóc mu przeżyć, lecz staje się ziarnem odrodzenia cywilizacji.

DAVID BRIN „LISTONOSZ" ZYSK I S-KA

recenzuje Piotr Gociek

KOMIKS TYGODNIA: POCZĄTKI GERALTA

Najbardziej znane opowiadania Andrzeja Sapkowskiego w formie opowieści graficznych: do sprzedaży trafiły dwie adaptacje kluczowych tekstów. W „Wiedźminie" po raz pierwszy spotkaliśmy Geralta z Rivii; w „Kwestii ceny" w ruch wprawione zostają wydarzenia, które złączą ze sobą losy wiedźmina i Ciri, przyszłej bohaterki pięciotomowej sagi.

AUTORZY RÓŻNI „WIEDŹMIN" EGMONT 2026

Piotr Gociek

eprasa.pl a7e534a8f8

Reset z Rosją.

Czy Polska stoi przed szansą?

Marcin Skalski

Reset stosunków z Rosją może być elementem realnego wybijania się Polski na suwerenność, jeśli będzie częścią szerszego założenia. Polska i Rosja mogą jednak współistnieć i nie stoi temu na przeszkodzie polityka Kremla na Ukrainie. W myśl wielowektorowości Warszawa musi otworzyć się przy tym na współpracę z Chinami czy też z krajami muzułmańskimi

FOT. ADOBE STOCK

Pamiętny dzień 11 września 2001 r. W dwie wieże nowojorskiego World Trade Center wbijają się samoloty porwane przez terrorystów z organizacji Al-Kaida, kierowanej przez korzystającego z gościny afgańskich talibów Osamę bin Ladena. Kilkusetmetrowe drapacze chmur walą się w gruzy, spowijając Nowy Jork w olbrzymiej chmurze pyłu. Giną tysiące ludzi, a zdruzgotana Ameryka wsłuchuje się w zagrzewające do globalnej „wojny z terroryzmem" wystąpienie George'a Busha przed połączonymi izbami Kongresu. Prezydent Stanów Zjednoczonych wysuwa wobec talibów żądania, które „nie podlegają żadnym negocjacjom ani dyskusjom", a wskutek ich odrzucenia mają miejsce amerykańska interwencja zbrojna w Afganistanie i kres rządów Talibanu w tym kraju. Za czasów kolejnej administracji, już za kadencji Baracka Obamy, dochodzi natomiast do zlikwidowania samego bin Ladena.

ZMIERZCH AMERYKAŃSKIEJ HEGEMONII

Od tamtych wydarzeń minęła cała epoka, w tym czasie w ramach zademonstrowania sojuszniczej wierności swoje wojska nie tylko do Afganistanu, lecz także do Iraku wysłała Polska. Dziś talibowie ponownie rządzą Afganistanem, gdzie Amerykanie w trakcie pospiesznej ewakuacji porzucili swych lokalnych kolaborantów, pozostawiając także tony cennego sprzętu wojskowego. Postsaddamowski Irak podjął z kolei próby wybicia się na niepodległość od Waszyngtonu, na pograniczu z Syrią zdążyło zaś przejść tsunami w postaci „Państwa Islamskiego". Wśród prześladowanych za Saddama irackich szyitów wpływy zyskał natomiast Iran, aktualnie przecież wróg numer jeden Ameryki.

O ile przyswajanie jedynie konkretnych dat w nauce historii ma niewielki walor poznawczy, o tyle wspomnianego 11 września bierze początek cała sekwencja wydarzeń, która zwiastowała nadchodzący zmierzch amerykańskiej hegemonii na globie. Świat wrócił do normy – będący tyleż anomalią, co efemerydą ład jednobiegunowy właśnie przechodzi do historii. Ameryka przestała być policjantem świata, zaliczając aktualnie spektakularną kompromitację w wojnie przeciwko teoretycznie znacznie słabszemu Iranowi. Ta szyicka republika islamska, będąca solą w oku Stanów Zjednoczonych i Izraela, przy okazji skutecznie zwiększa sunnickim monarchiom Zatoki Perskiej koszty ich sojuszu z USA, obnażając tym samym dyskusyjną wartość amerykańskich gwarancji bezpieczeństwa.

Jednocześnie Waszyngton nie jest w stanie odblokować na swoich warunkach cieśniny Ormuz, co dodatkowo chwieje tzw. petrodolarem, a więc jednym z ostatnich refleksów przemijającej dominacji Stanów Zjednoczonych. Sam Teheran już teraz pobiera opłaty za tranzyt przez to strategicznie ważne przewężenie (odpowiedzialne za transport co najmniej 20 proc. światowych dostaw ropy naftowej) w chińskich juanach bądź kryptowalutach. Warto pamiętać, że od 1975 r. kraje eksporterzy ropy naftowej skupione w OPEC zgadzały się, by to właśnie dolar był wyłączną walutą w rozliczeniach za ten surowiec. „Gwałtowny wzrost cen ropy doprowadził do wzrostu popytu na dolara używanego do rozliczeń w handlu ropą" – pisał w głośnej publikacji z 2010 r. „Wojna o pieniądz" chińsko-amerykański analityk Song Honbing. Podważając status dolara,

eprasa.pl a7e534a8f8

Irańczycy jednocześnie ściągają więc od USA oczekiwane reparacje wojenne.

ROSJA NIE ZNIKNIE

Tymczasem to właśnie ze względu na protekcję USA Polska podobno może pozwolić sobie na luksus całkowitego braku stosunków ze swoim największym sąsiadem, przy okazji najbardziej rozległym pod względem powierzchni państwem na świecie, który dysponuje przy tym nieprzebranymi złożami surowców energetycznych, a nade wszystko posiada status mocarstwa atomowego. Z Federacją Rosyjską nie tylko zaś nie ma potrzeby, lecz także nie wolno mieć jakichkolwiek innych stosunków niż jawnie wrogie, właściwie tuż pod progiem wojny. Jednak bez obaw. W razie czego obronią nas przecież Ameryka, Zachód, „wolny świat", wspólnota atlantycka, w tym nieustraszone Litwa, Łotwa i Estonia jako siła uderzeniowa „wschodniej flanki" NATO.

Programowa blokada kontaktów z danym przywódcą czy krajem obca jest jednak samej Ameryce. Któż we wrześniu 2001 r. mógłby przypuszczać, że w Białym Domu z honorami przysługującymi głowie państwa będzie witany bojownik Al-Kaidy, aktualny przywódca Syrii Ahmad asz-Szara, za którego głowę USA oferowały swego czasu 10 mln dol.? Bojkotu uniknął także przywódca Korei Północnej Kim Dzong Un, który podczas dwóch szczytów rozmawiał z Trumpem jak równorzędny partner. Tymczasem Amerykanie oczekujący, by Korea pozbyła się swojej broni jądrowej, zderzyli się z bezwzględną rzeczywistością – już dziś ten niewielki kraj zdolny jest razić cele w USA rakietami dalekiego zasięgu Hwasong-20 uzbrojonymi w głowice nuklearne. Z kolei mimo nieustającej konfrontacji z rządzoną przez dynastię Kimów Koreą Waszyngton zdecydował w obliczu wojny z Iranem o przesunięciu nowoczesnych systemów obrony przeciwrakietowej THAAD z sojuszniczej Korei Południowej na Bliski Wschód. Protestowała także Japonia, która oświadczyła, że amerykańskie wojska mają jej bronić, a nie wykorzystywać jako bazę wypadową dla agresji.

Warto zaznaczyć, że potencjał napięć na Półwyspie Koreańskim, gdzie wciąż trwa formalny stan wojny między Północą a Południem, jest nieporównanie większy od prawdopodobieństwa konfliktu zbrojnego między Rosją a którymś z „flankowych" państw NATO. Dużo łatwiejsze do wyobrażenia są nawet ruchy zaczepne Chin bądź Korei Północnej wobec satelickiej względem Amerykanów Japonii niż rosyjskie „zielone ludziki" w krajach bałtyckich, a już w szczególności w Polsce. Tymczasem, choć na Ukrainie Rosja walczy pod względem instruktażu, sprzętowym i wywiadowczym z całą potęgą NATO, jej postawa i tak jest nadzwyczaj wstrzemięźliwa. Kreml wciąż nie traktuje sojuszu jako strony konfliktu, a przecież Iran właśnie udowodnił, że rozlanie konfrontacji zbrojnej na sąsiednie, protegowane przez przeciwnika kraje nie jest strategią pozbawioną sensu. O ile więc polskie lotnisko w Jasionce pod Rzeszowem ma kluczowe znaczenie dla podtrzymywania walczącej Ukrainy przy życiu, o tyle takich „Jasionek" Islamska Republika Iranu ma u swoich granic wielokrotnie więcej, z tą jednak różnicą, że akurat Persowie takiej wrogiej infrastruktury w krajach trzecich nie oszczędzają.

Cierpliwość Kremla być może kiedyś się skończy, a przecież to nie Stany Zjednoczone poniosą tego koszty. Poniosłaby je za to Polska. Prawdopodobnie to wciąż żywiona nadzieja na rosyjsko-amerykański, jeżeli nie globalny, to przynajmniej regionalny układ powstrzymuje Rosję przed „iranizacją" wojny prowadzonej z NATO na Ukrainie. Szczyt Putin-Trump na Alasce, choć nie przyniósł oczekiwanego pokoju, potwierdził nieustającą mimo wszystko gotowość do utrzymywania kontaktów na najwyższym szczeblu. Ameryka nie chce bowiem zniszczenia Rosji – warto, by ochotniczy zaciąg do partii amerykańskiej w Polsce, w tym „obóz niepodległościowy", uświadomił sobie nieprzystawalność takich właśnie swoich marzeń do rzeczywistości. Podstawą do resetu z Moskwą na obecnym etapie będzie więc już samo założenie, że Federacja Rosyjska nie zniknie z mapy i będzie istnieć nadal. Kanałów komunikacji nie utrzymuje się bowiem jedynie z wrogiem, którego zamierza się całkowicie zniszczyć.

MOŻLIWOŚCI WSPÓŁISTNIENIA

A przecież Federacja Rosyjska nie prowadzi z Polską nawet współczesnego odpowiednika „dialogu melijskiego". Ten oryginalny, zrelacjonowany w klasycznym dziele „Wojna peloponeska" Tukidydesa, miał miejsce w trakcie tytułowej wojny o hegemonię między Spartą a Atenami. Usiłującej zachować w tej konfrontacji neutralność wyspie Melos Ateńczycy stawiają ultimatum, żądając przyłączenia się do wojny po swojej stronie, w zamian oferując oszczędzenie zamieszkujących wyspę Melijczyków. „Pragniemy bez wysiłku objąć nad wami panowanie, a równocześnie życzymy sobie waszego ocalenia, które będzie korzystne dla obu stron" – mówi ateńska delegacja Melijczykom. Delegacja Melos zasłania się abstrakcyjnymi w ówczesnej chwili pojęciami sprawiedliwości oraz naturalnych praw słuszności, pozostając głucha na uwagę Ateńczyków, że „sprawiedliwość w ludzkich stosunkach jest tylko wtedy momentem rozstrzygającym, jeśli po obu stronach równe siły mogą ją zagwarantować". W końcu jednak Melijczycy w imię uniknięcia hańby i zarzutów o tchórzostwo odmawiają Atenom, deklarując gotowość do walki za wszelką cenę, co spotyka się z uwagą Ateńczyków, że w razie odrzucenia ich ultimatum to nie pod względem męstwa będzie toczyć się dalsze współzawodnictwo. Przeważy zaś to, kto ma więcej siły.

W kulminacyjnym momencie Ateny rozwiewają złudzenia Melos co do możliwej pomocy ze strony Lacedemończyków. Wedle wyobrażeń Melijczyków, z uwagi na ich położenie geograficzne, tj. w pobliżu Peloponezu, Lacedemończycy „chętnie narażą się dla nich na niebezpieczeństwo". Przeważyć też mają „poglądy i szczepowe pokrewieństwo". W odpowiedzi Ateńczycy pouczają delegację Melos, że „przecież dla tych, którzy mają przyjść komuś z pomocą, nie jest gwarancją sympatia tych, którzy ich wzywają, ale siła, którą oni dysponują".

Mimo upływu tysięcy już lat od czasu powstania dzieła Tukidydesa w dziedzinie realizmu politycznego zmieniło się niewiele. Rosja tymczasem nie sugeruje Polsce uniknięcia zagłady za cenę przyłączenia się do swych wojen, nie żąda też porzucenia przez Polskę dotychczasowych sojuszy. Kreml nie stanowi dla Rzeczypospolitej egzystencjalnego zagrożenia, wciąż utrzymywane są stosunki dyplomatyczne, a rosyjski prezydent wyznaczył nawet ambasadora w Polsce. Jak pisał słynny Henry

eprasa.pl a7e534a8f8

Kissinger, kierownik amerykańskiej polityki zagranicznej w latach 70. i ojciec „resetu" USA z komunistycznymi wówczas Chinami, odpowiedzialny także za ustanowienie opisywanej wcześniej hegemonii petrodolara, „dyplomacja jest sztuką powstrzymywania się od użycia siły" właśnie. Dopóki więc lotnisko w Jasionce wciąż pozostaje nienaruszone, a jedyne polskie ofiary wojny wśród cywilów poniosły śmierć akurat nie z rąk rosyjskich w Przewodowie, dopóty kanały wzajemnej komunikacji mają prawo być otwarte. Twórca teorii realizmu ofensywnego w stosunkach międzynarodowych, prof. John Mearsheimer, słusznie przy tym spostrzegł, że „dyplomacja i wojna często idą ze sobą w parze. Na przykład dyplomacja jest zazwyczaj skuteczniejsza, kiedy wesprze się ją groźbą użycia siły militarnej" („Wielkie złudzenie. Liberalne marzenia a rzeczywistość międzynarodowa", 2018). Tym bardziej warto zauważyć, że Moskwa w stosunkach z Polską nie odwołuje się do tego instrumentu, co akurat mylnie odbierane jest w Warszawie jako przyzwolenie Kremla na całkowitą dezynwolturę w stosunkach z Federacją Rosyjską.

W nonszalanckie rachuby wynikające z ryzykanckiego zaangażowania Polski w wojnę na Ukrainie wpisana jest aprioryczna wiara w niezawodność gwarancji bezpieczeństwa udzielanych Polakom przez współczesnych Lacedemończyków zza Atlantyku, których światowa hegemonia tak gwałtownie kruszeje. Dodajmy przy tym, że tysiące lat temu oderwani od rzeczywistości mieszkańcy Melos zostali w wyniku swojego nieprzejednania wycięci w pień i żaden oczekiwany sojusznik im nie pomógł. Polacy wobec takich wyborów na szczęście nie stoją, a przynajmniej nie stawia ich przed takim wyborem Moskwa. Kolejną podstawą do resetu będzie więc nie tylko założenie, że Rosja pozostanie na swoim miejscu, lecz także, iż nie stoi to w sprzeczności z dalszym istnieniem Polski. Wzajemna koegzystencja Polski i Rosji nie tylko nie jest zatem niemożliwa, lecz jest wręcz zupełnie przez Kreml dopuszczalna. Moskwa zmianę swego podejścia uzależnia bardzo wyraźnie od kilku konkretnych czynników, wówczas jednak z doprowadzoną do ostateczności Rosją nie będziemy rywalizować na słuszność, sprawiedliwość ani nawet w wielu innych dyscyplinach, w których odczuwamy nad pogardzanymi „ruskimi" bezgraniczną wyższość. Jak zawsze zadecyduje siła, w której i tym razem zostaniemy przelicytowani.

RENESANS REALIZMU POLITYCZNEGO

Termin „imperializm" nie kojarzy się w Polsce zbyt dobrze. Nasila się to szczególnie teraz, gdy jest to słowo odmieniane przez wszystkie przypadki przez wiodące media, których słownik pojęć odnoszących się do polityki Rosji jest wyjątkowo skąpy. To właśnie imperializm ma być zatem głównym motywem postępowania Moskwy wobec Kijowa, co z kolei równać się ma identycznemu jak dla Ukrainy zagrożeniu dla Polski.

Powyższe założenie jest wysoce dyskusyjne. Jak chociażby zauważał wspomniany wcześniej prof. Mearsheimer, „amerykańscy decydenci przyczynili się także do wywołania poważnego kryzysu w stosunkach z Rosją na tle Ukrainy". Według Mearsheimera „celem było włączenie Ukrainy do »wspólnoty bezpieczeństwa«, powstałej w zachodniej części Europy w czasie zimnej wojny i od jej zakończenia rozszerzającej się na wschód. Rosjanie nadal jednak korzystali z realistycznego podręcznika" – konstatuje profesor.

Kolejną fałszywą tezą stawianą w mediach, powtarzaną zarazem nawet przez naszego prezydenta, jest ciągłość zagrożenia ze strony Rosji współczesnej oraz Związku Sowieckiego i Rosji bolszewickiej, z którą Polska stoczyła wojnę u progu niepodległości. W takim ujęciu Ukraina toczy boje z tym samym wrogiem, któremu czoło musiała stawić w roku 1920 odrodzona Rzeczpospolita. W związku z tym Ukraińcy nie powinni byli zrzekać się broni atomowej, którą dysponowali w latach 90., gdyż posiadaliby dziś wystarczającą siłę odstraszania przed współczesnymi Sowietami, których to emanacją jest jakoby Rosja putinowska.

O tym jednak, skąd Ukraina miała wówczas broń jądrową, wspomina już niewielu jej kibiców w Polsce. A miała ją właśnie w spadku po Związku Sowieckim, tak samo jak w spadku po Sowietach otrzymała rozległe terytorium, które po rozpadzie ZSRS uczyniło ją drugim po Rosji największym państwem europejskim. To przecież nie OUN-UPA, obecni bohaterowie Ukrainy stworzyli zręby jej współczesnej państwowości, w tym zasięg terytorialny. Kijów zawdzięcza to wszystko znienawidzonemu rosyjskiemu i sowieckiemu imperializmowi, przy czym Ukraińcy chcą i zjeść ciastko, i mieć ciastko – odcinać się od spuścizny, której zarazem zawdzięczają swoją obecną postać. Zresztą nawet podczas rozmontowywania ZSRS wiodącą rolę odgrywała Rosyjska Federacyjna SRS, a w przypadku Ukrainy gorbaczowska „pierestrojka" była przyswajana na tym tle dość pasywnie. Doktor Konrad Świder z Polskiej Akademii Nauk stawia wręcz tezę, że należy odrzucić „popularny w ukraińskiej etnocentrycznej historiografii i publicystyce dyskurs o kolonialnym statusie Ukrainy w granicach ZSRR" („Geneza postradzieckiej państwowości ukraińskiej", 2018). Jak dodaje badacz, „Ukraina nie była z punktu widzenia Rosji »innym krajem«; mimo obecnych w historii dramatycznych konfliktów rosyjsko-ukraińskich nie było między Rosjanami a zdecydowaną większością Ukraińców obcości cywilizacyjnej", a „wobec związkowej centrali Ukraińcy najczęściej bez żadnych przeszkód robili wielkie kariery na szczeblu imperialnym, co potwierdza najwyraźniej poststalinowski okres dziejów Związku Radzieckiego".

Kolejną fałszywą tezą stawianą w mediach jest ciągłość zagrożenia ze strony Rosji współczesnej

Jeszcze w 1989 r. 44,9 proc. Rosjan żyjących poza Rosją właściwą zamieszkiwało właśnie Ukrainę, w roku 2001 współczynnik ten wynosił aż 51,5 proc. W 1989 r. Ukrainę, jeszcze w składzie ZSRS, zamieszkiwało ponad 11 mln Rosjan, a w 2001 r. – 8 mln. Cały czas stanowili oni mniej więcej jedną piątą mieszkańców Ukrainy, nie będąc tam przecież ludnością napływową. Rosjanie padli więc ofiarą zjawiska polegającego na tym, że – jak zauważył prof. Andrzej Wierzbicki, rosjoznawca – „niepodległe państwa poradzieckie powstawały w granicach nieodpowiadających granicom etnicznym" („Russkij mir jako projekt re-

eprasa.pl a7e534a8f8

stauracyjny imperium", 2015). Jak dodaje uczony, „w obliczu możliwej i niechcianej ukrainizacji, a także w związku z wyraźnym wyborem orientacji geopolitycznej na zachodnią orientację, russkij mir Ukrainy poczuł zagrożenie dla swojej egzystencji". Postawa Moskwy wobec Ukrainy choćby tylko z tego względu nie jest – bo nie może być – stosunkiem takim, jak do każdego innego państwa trzeciego. Tymczasem od początku kryzysu ukraińskiego w roku 2014 – jak twierdzi prof. Ryszard Zięba, badacz stosunków międzynarodowych – „Polska zachowywała się tak, jakby niebawem miał rozstrzygnąć się los naszej niepodległości" („Ukraina jako przedmiot rywalizacji między Wschodem a Zachodem", 2015).

Stosunek Rosjan wobec Ukrainy zawsze jednak będzie różnił się od ich postrzegania Polski. I tak chociażby XIX-wieczny rosyjski działacz ruchu słowianofilskiego Iwan Aksakow zauważał, że terminy „Polska" i „polskość" organicznie wiążą się z katolicyzmem i przynależnością do łacińskiego Zachodu, nie da się ich sprowadzić do poziomu etnograficznego czy wyłącznie językowego, gdyż niosą ze sobą ładunek cywilizacyjny. Wszystko to ma stanowić o trwałej odrębności Polaków od Rosjan w ich historycznym rozwoju.

Aktualnie terminem porządkującym podejście rosyjskich elit do obszaru postsowieckiego jest wspomniany już wcześniej „ruski mir". Według prof. Andrzeja Wierzbickiego koncepcja ta zakłada „dążenie do znalezienia wspólnego mianownika dla wszystkich grup Rosjan i osób pochodzenia rosyjskiego poza granicami Rosji". Profesor Walerij Tiszkow, dyrektor Instytutu Etnologii i Antropologii Rosyjskiej Akademii Nauk, wymienia wśród konstytuujących „ruski mir" elementów język rosyjski, kulturę rosyjskojęzyczną bądź sowiecką oraz pamięć historyczną, a więc więź z Rosją rozumianą jako lojalność i przywiązanie, zainteresowanie ojczyzną, a prof. Wierzbicki uzupełnia ten zbiór o prawosławie. Do koncepcji tej publicznie odwołuje się Władimir Putin („Nie tylko polietniczny naród Rosji, ale także miliony naszych rodaków za granicą jednoczy cały tak zwany russkij mir"), co każe traktować ją jako wykładnię myślenia Kremla o najbliższym otoczeniu międzynarodowym Federacji Rosyjskiej. „Ruski mir" zagościł za to nad Wisłą – i to najprawdopodobniej niestety na dłużej – akurat za sprawą ukrainizacji Polski, bo przecież z terminem tym utożsamić można nie tylko samych jedynie Rosjan, lecz także licznych zadeklarowanych Ukraińców identyfikujących się z rosyjską kulturą czy językiem, a na pewno nieupatrujących w nich czegoś obcego.

W związku z powyższym twierdzenia, że aktualnie to nie żołnierz polski musi walczyć z Rosjanami, bo robią to za niego Ukraińcy, nie tylko są uproszczeniem – są po prostu nieprawdziwe. Odgórne założenie, że Polacy i Rosjanie są nieuchronnie skazani na zbrojną konfrontację i jedynie ukraińskiemu wojsku zawdzięczamy dodatkowy czas na przygotowanie do niej, to szczytowe osiągnięcie „rusofobicznej szkoły polityki", która ku naszej zgubie święci triumfy w Polsce. Nic takiego jednak nie musi mieć miejsca, Ukraina nie jest Polską ani Polska nie jest Ukrainą, nie spaja nas żaden „wspólny wróg", ponieważ rola Ukrainy w historii i geografii Rosji jest diametralnie inna niż rola Polski, choć siewcy zaklęć o „rosyjskim neoimperializmie" starają się, jak tylko mogą, by prawda ta nie docierała do polskiej opinii publicznej. Otwarte pozostaje jedynie pytanie, czy czynią to oni z głupoty czy za pieniądze. Kolejnym argumentem za resetem z Rosją będzie więc możliwość współistnienia Polski i Rosji, które z wyżej wymienionych powodów mogłoby pozostać względnie niezakłócone przez wojnę na Ukrainie.

NOWY PORZĄDEK ŚWIATA

We wspomnianym konflikcie Kreml wprawdzie nie przebiera w środkach, ale ma cele nadzwyczaj ograniczone – dużo bardziej przystające do rzeczywistości. Jak zauważa będąca liberalnych skądinąd poglądów dr hab. Agata Włodkowska-Bagan: „Spośród mocarstw zaangażowanych na obszarze poradzieckim Rosja jest imperium pozostającym w defensywie, tj. broniącym swojej pozycji w regionie oraz poza nim, stąd jest najbardziej zdeterminowana w swoich działaniach wobec państw poradzieckich. Utrata przyczółków na obszarze byłego ZSRR może pociągnąć bowiem za sobą osłabienie pozycji w innych częściach świata i w skali globalnej" („Ambicje imperialne Rosji i innych mocarstw w przestrzeni poradzieckiej", 2015). Komplementarną tezę stawiał prof. Andrzej Skrzypek, który nie dostrzegał w działaniach Federacji Rosyjskiej tak chętnie przypisywanego jej w Polsce imperializmu. „Nastawienie się Kremla na budowę świata wielobiegunowego, w którym Rosja może grać rolę (regionalnego) mocarstwa, ale nie imperialnego centrum" – pisał („Tendencje rozwojowe światowych imperiów", 2015).

W istocie obecne położenie Rosji przywodzi na myśl skojarzenia z opisem sytuacji przed bitwą z francuskimi wojskami w tołstojowskim eposie „Wojna i pokój", gdzie „Rosjanie muszą umrzeć albo zwyciężyć", bo taką właśnie alternatywę roztoczono przed Moskwą. Na Ukrainie walczy ona wszakże z kolektywnym Zachodem, który wysługuje się tam ukraińskimi żołnierzami. Rosja bije się o swój status regionalnego mocarstwa, a więc faktycznie o życie, dlatego też dość desperacko sięgnęła po środki pozadyplomatyczne. Doktor Agnieszka Bryc zauważa, że „współczesny putinizm uzasadnia gotowość obrony żywotnych interesów Rosji oraz jej prestiżu międzynarodowego nawet przy użyciu siły bądź z naruszeniem – analogicznie do doświadczeń amerykańskich – zasad porządku międzynarodowego" („Putinizm jako doktryna odbudowy imperium?", 2015). Diagnoza ta dzisiaj byłaby i tak dość łagodna dla Stanów Zjednoczonych, gdyż ich przywódcy odnotowali ostatnio względem napadniętego Iranu wypowiedzi, których wobec Słowian czy Żydów nie powstydziłby się sam Adolf Hitler. Nie jest jednak rolą Polski oburzanie się na amerykańskich liderów, i to mimo niemałych zasług Persów wobec Polaków w latach drugiej wojny światowej, tak jak i nie jest przecież rolą Polski oburzanie się na którąkolwiek ze stron wojny ukraińsko-rosyjskiej, nawet jeśli jedna z nich to „agresor".

WYGRAJĄ IDEALIŚCI

Obsesja Polski na punkcie piętnowania kraju wytypowanego na tegoż „agresora", gdziekolwiek tylko się da, nasuwa skądinąd skojarzenia z zachowaniem jednej z postaci z filmowego dzieła Stanleya Kubricka pt. „Doktor Strangelove…" – generała, który podczas strategicznie ważnego posiedzenia amerykańskiego kierownictwa bez przerwy żuje gumę

eprasa.pl a7e534a8f8

i doszukuje się w każdej sytuacji spisku „komunistycznych świń". Choć stawką jest przetrwanie ludzkości w obliczu atomowej zagłady, a do Pentagonu specjalnie zaproszono w tym celu sowieckiego ambasadora, to generał ów z właściwym sobie, choć akurat dość zabawnym nieokrzesaniem eskaluje konflikt i daje upust swoim emocjom zarówno kosztem dyplomaty, jak i samego porozumienia mogącego uratować rodzaj ludzki. Tytułowa postać filmu to z kolei były hitlerowski zbrodniarz, który wcześniej nazywał się Merkwürdigliebe, a obecnie jest obywatelem USA i pracuje dla Pentagonu, przed którego kierownictwem roztacza on wizję zastosowania metody eugeniki celem późniejszego odtworzenia ludzkości. Jego nowi współobywatele, na czele z amerykańskim prezydentem, kiwają głowami z aprobatą, choć proponowane rozwiązania brzmią niczym rodem z nazistowskiego podręcznika. Trudno o lepszy i zarazem bardziej komiczny instruktaż tego, jak mogą wyglądać odwracanie sojuszy i skrajny pragmatyzm, gdy tylko służy to interesowi własnego kraju – tym bardziej że dzieło Kubricka nie opiera się przecież wyłącznie na filmowej fikcji.

Wielowektorowa polityka zagraniczna nie powinna kierować się kliszami z dawno minionego okresu zimnej wojny

Tego typu niuansów w rzeczywistości międzynarodowej nie rozumieją polscy politycy, którzy myślą, że obecny antyputinizm krajów Zachodu będzie trwał co najmniej tak długo, jak ich własne obsesje na punkcie rosyjskiego prezydenta, choćby po własnym trupie. Zachód przecież już nie z takimi jak Putin potrafił się porozumieć, z czego akurat w Polsce powinniśmy sobie doskonale zdawać sprawę. Najbardziej krajom Zachodu zagraża zresztą nie Putin, lecz one same. Permisywizm, ateizm, publiczna sodomia, podmiana etniczna i rasowa, odcinanie się od własnych korzeni nie przychodzą bowiem ze Wschodu, lecz są własnym pomysłem na siebie tych, do których tak bardzo chcieliśmy się upodabniać po upadku komunizmu. To nie wciąż trapiona różnymi patologiami Rosja jest przy tym skrajnie przeciwnym dla tego cywilizacyjnego upadku biegunem, lecz gotowi na radykalne poświęcenia w imię wyznawanych zasad muzułmanie, którym nierzadko niestraszna jest nawet śmierć. „Ludzie w Europie oddzielili religię od nauki i polityki, zamierzając zbudować na ziemi raj podobny do tego, który obiecywały ludzkości religie. Ten raj zamienił się teraz w piekło" – zauważał dobrowolnie właściwie poległy w amerykańsko-izraelskim ataku ajatollah Ali Chamenei, który zrezygnował przecież z ukrywania się w schronie.

Choć sam islam niejedno ma imię, to jego wyznawcy wyczerpują wszelkie znamiona „tych, co mają ideę, wiarę w nią i zdolność poświęcenia", a do takich właśnie należy przyszłość, jak pisał Roman Dmowski („Kościół, naród, państwo", 1927). Kolejną podstawą dla resetu – nie tylko z Rosją, lecz także ze Wschodem, zarówno Bliskim, jak i Dalekim – będzie więc obserwacja, że dyplomacje tamtejszych krajów nie manifestują poparcia dla różnych przejawów „cywilizacji śmierci" i publicznego zepsucia, nie wymagając też od Polski wdrożenia liberalnej agendy obyczajowej. Próżno np. szukać na tzw. paradach równości ambasadorów Rosji, Chin, Iranu czy Białorusi, z krajów tych nie wywodzą się także donatorzy rozmaitych NGO-sów zmierzających do budowy „piekła na ziemi".

WIELOWEKTOROWOŚĆ PO POLSKU

Tymczasem ład wielobiegunowy już dziś staje się rzeczywistością, choć konkretną datę jego powstania zapewne wyznaczą kolejne pokolenia, patrzące na współczesne nam wydarzenia z takiej perspektywy, z jakiej można teraz oceniać wspomniany 11 września 2001 r. Aktualny okres przejściowy, dla którego niestety charakterystyczne jest wykuwanie się nowego porządku międzynarodowego w morzu ognia i potokach krwi, stawia przede wszystkim wymaganie przetrwania. W stosunkach z Rosją stawką nie jest jednak samo istnienie Polski, stąd narażanie się na niepotrzebne ryzyko tym bardziej nie jest też warte swojej ceny. Dość dodać, że prędzej czy później Federacja Rosyjska stanie się partnerem dla krajów Europy Zachodniej, które w koncepcji obecnego amerykańskiego przywództwa mają ponosić główny ciężar wojny na Ukrainie, choć – jak się okazuje – oczekiwania Donalda Trumpa sięgają również aktywnego zaangażowania Europejczyków w wojnę z Iranem. Także istnienie NATO, na które tak liczą polskie elity polityczne, przestało być dla amerykańskiego prezydenta imperatywem. Dla takiego kraju jak Polska już dziś wymagałoby to szukania alternatyw i szans.

Reset z Rosją miałby sens pod warunkiem, że byłby częścią szerszej koncepcji polegającej na uczynieniu polskiej polityki zagranicznej narzędziem realizacji własnego interesu narodowego zamiast dotychczasowego, podszytego kompleksami obsługiwania interesów wyobrażonego „Zachodu". Wielowektorowa polityka zagraniczna nie powinna kierować się kliszami z dawno minionego okresu zimnej wojny ani upatrywać rozmaitych „osi zła". Pogłębionych analiz wymaga chińska oferta udziału Polski w Nowym Jedwabnym Szlaku, a także ponowne otwarcie się na handel z Rosją i Białorusią (z którą chęć „resetu" zadeklarował już Donald Trump) wraz z deeskalacją wzajemnych stosunków. Myślenie blokowe czy ideologiczne nie może też przysłaniać Polsce szans, które stwarza rosnący na znaczeniu świat muzułmański, w tym arabski. Już teraz przecież handlujemy z różnymi niedemokratycznymi „reżimami", kupując od nich strategiczne surowce, zarazem sprzedając tam broń. Tego typu kontaktów Polska nie musi utrzymywać wszakże wyłącznie z przyjaciółmi Stanów Zjednoczonych.

Postulaty takie – jako rzekomo „prorosyjskie" – narażają ich autorów niemal na zarzut apostazji narodowej, stąd ich głoszenie w Polsce wciąż nie jest bezkosztowe. Dyskusji podlega jednak nie prorosyjskość lub jej brak, lecz nadanie własnej polityce zagranicznej choćby konturu suwerenności i sterowności bądź też pogodzenie się ze statusem członka drugiej kategorii coraz bardziej dekadenckiego Zachodu, w którym polski katolicyzm i tożsamość co najwyżej można poddać bez walki. Krytyków nawet to jednak nie przekona, choć i tak z każdym dniem będą tracić oni na znaczeniu. Rzeczywistości nie da się bowiem zagłuszać w nieskończoność. Psy szczekają, a karawana musi jechać dalej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a7e534a8f8

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

MAŁGORZATA PABIS: „KOBIETY DO ZADAŃ SPECJALNYCH"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~998~~ ZŁ

516,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 482 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl a7e534a8f8

Jedno zdrowie – mnóstwo kłopotów

Jerzy Karwelis

Skoro uzna się jakiegoś klimatycznego czy covidowego denialistę za psychicznie chorego, to pozostaje już tylko kwestia terapii, którą się wobec niego zastosuje. Może doczekamy się i szczepionek przeciwko dezinformacji?

Wiele już powiedziano na temat doświadczeń pocovidowych, których jednym z ważniejszych jest postulat koordynowania działań w jednym światowym organizmie, nie tylko w zakresie epidemii. Początkowe postulaty „światowego ministerstwa zdrowia" generowane przez globalistów z Davos i beletryzowane przez ich narratora – Yuvala Noaha Harariego – wyglądały na teorię spiskową. Jednak już w 2020 r. te sensacje przybrały realne kształty, kiedy za tę ideę zabrała się ONZ, a właściwie jej agenda – Światowa Organizacja Zdrowia. Jeszcze w apogeum rozprzestrzeniania się COVID-19 rozpoczął się proces przygotowywania traktatu pandemicznego, w ramach którego WHO miałaby w przypadku (ogłaszanej przez siebie) pandemii przejmować role dotychczas zarezerwowane dla państw.

Obecnie negocjowane są – po kolejnym wniosku o przedłużenie prac – treści załącznika (tzw. PABS), który ma regulować system dzielenia próbek patogenów oraz zasad podziału korzyści z opracowanych na podstawie tych prac szczepionek. Jest to taktyczny wybieg wycofania się, lub raczej opóźnienia, w stosunku do procesu przekazywania wielu funkcji państwa na rzecz WHO. Następny termin na przyjęcie załącznika PABS zapada w maju 2026 r., co ma się odbyć w trakcie Światowego Zgromadzenia Zdrowia. Okazało się bowiem, że młyny sanitaryzmu WHO mielą zbyt szybko i należało niektóre procesy zniuansować, niektóre opóźnić, z niektórych się wycofać, a – odczekawszy – wprowadzić te kluczowe. Dopiero wtedy traktat zostanie „otwarty do podpisu", czyli zacznie się dobrowolny proces przystępowania doń państw, po uprzedniej ratyfikacji. Oznacza to zwycięstwo oponentów traktatu, gdyż wcześniejsze jego wersje zakładały obligatoryjność tego aktu oraz formułę jego przyjęcia bez potrzeby ratyfikacji przez poszczególne państwa. Warto więc śledzić, jak zachowa się tu Polska.

GOTOWANIE ŻABY

Ale proces ten został zauważony już dużo wcześniej. Wraz z wieściami, w którą stronę idą zamierzenia WHO, narastał opór wobec tych rozwiązań. Odbyło się wiele protestów, pobudziły się środowiska, głównie powstałe przy okazji oporu wobec obostrzeń covidowych. Ta atmosfera przeciekła do wielu rządów i proces przygotowywania traktatu najpierw zwolnił, a potem, narracyjnie, przyhamował. Narracyjnie, gdyż sama WHO oświadczyła, że nigdy nie miała zamiaru pozbawiać państw członkowskich ich prymarnej roli w kształtowaniu własnych polityk zdrowotnych. Jest to jednak jawne kłamstwo, gdyż w rekomendacjach traktatowych uzurpatorskie postulaty WHO stały i stoją jak byk. Za to oświadczono, że traktat będzie uwzględniał postulaty większej autonomii państw, ale organizacja teraz będzie bardziej dbać o budowanie społecznego zaufania do niej samej. Tłumacząc na ludzki język, po prostu zorientowano się, że żabę gotowano za szybko, teraz należy odłączyć grzałkę i zacząć od perswazji. Przy drugim nawrocie traktatowych zamordyzmów żaba miała być już na tyle oduraczona, że wrzątek by uważała albo za przyjemny, albo za konieczny, w obliczu narastających zagrożeń.

Zanim więc w roku 2025 traktat pandemiczny podpisano, doszło do charakterystycznego nawrotu. Ćwiczyliśmy to przy okazji wprowadzenia konstytucji Europy, która była gwałtownym skokiem do basenu federalizacji kontynentu, a właściwie stworzenia superpaństwa Unii Europejskiej. Wtedy też przegrzano wodę w akwarium, bo chciano konstytucję wprowadzić z przytupem. Miały się na nią zgodzić kraje, głównie w formie referendum. Czego się nie dało załatwić przy urnach, w spektakularnych referendach, przeszło przy zielonym stoliku ugadywania się przedstawicieli politycznej woli suwerena, z tym że ten nie bardzo wiedział, o co chodzi.

I tak jest z traktatem pandemicznym. Skoro proces negocjacji jego treści w formie oficjalnej i jawnej się nie sprawdza, to wszystko przenosi się do wplatania tych idei w inne regulacje i inne organizacje. Oczywiście przoduje tu Unia Europejska, która zaczyna absorbować większość postulatów traktatu WHO w formach dyrektyw, zaleceń i rekomendacji, której źródłem są Komisja Europejska i Rada Europy. Podstawą ideologiczną jest tu idea „jednego zdrowia".

Jak to zwykle, że tak można rzec, w czasach przedcovidowych idea ta, jak większość dotyczących zdrowia publicznego, leżała sobie w jakimś medycznym zakątku i nikt poza ekspertami się nią nie emocjonował. Komisja Europejska rekomendowała ją już w roku 2017 i tam mówiło się o… odporności na drobnoustroje. Za COVID, który był (i jest) katalizatorem przyspieszającym zmiany globalistyczne, idee medyczne zaczęły być przenoszone na całość życia społecznego. Odwołuję się tu do covidowych doświadczeń społeczeństw, które (głównie za pomocą mediów indukujących panikę) wykazały ludzkości wieloaspektowość pandemii, która – głównie poczynaniami władz –

eprasa.pl a7e534a8f8

przeorała praktycznie wszystkie obszary życia cywilizacji. Idea „jednego zdrowia" jest szlachetna, jak źródła każdego zamordyzmu, i wywodzi się aż od Hipokratesa, który dowodził, że człowiek, zwierzęta i środowisko stanowią jeden organizm, oddziaływujący na siebie. W czasach covidowych medyczny aspekt został przeniesiony na całość życia i wzmocniony drugim katalizatorem rewolucyjnych przemian postaci świata – szaleństwem klimatycznym.

Jak można było powiązać COVID z klimatem? W interpretacji idei „jednego zdrowia" za COVID doszło do przeskoku wirusa ze zwierzęcia (tu są dwie wersje – nietoperz albo łuskowiec) na człowieka. Taka anomalia zaistniała tylko z powodu zmian klimatycznych, które z niewyjaśnionych powodów przebiły naturalne bariery człowiek – zwierzę i kłopot gotowy. Od tego czasu coraz częściej łączy się klimat z pandemią i pomstuje na tych, którzy paląc drewnem w kominkach, sprowadzają zbiorowe niebezpieczeństwo pandemii.

WCHODZI UNIA

Instytucjonalnym ucieleśnieniem wprowadzenia tej idei w życie było porozumienie, zawarte 27 marca 2023 r., w sprawie programu „jedno zdrowie", które podpisali szefowie FAO, UNEP, WHO i WOAH. Rozczytuję skróty: organizacje (wszystkie afiliowane przy ONZ) odpowiedzialne za żywność, środowisko, zdrowie i dobrostan zwierzęcy. Mamy więc całościowy miks tzw. interesariuszy, którzy będą wykazywać połączenie tych wszystkich obszarów ze sobą. A zrodzi to niesamowite aliaże. Można je ujrzeć w najnowszej strategii Rady Europejskiej z 23 stycznia 2024 r. To tam oprócz postulatów „jednego zdrowia" zobaczymy wprowadzenie regulacji, które – chwilowo – zawiesiła w traktacie WHO. Ale wróćmy do „jednego zdrowia", które tak opisuje mecenas Philipp Kruse, krytykujący te rozwiązania:

„Jak twierdzi WHO, wiele czynników zmieniło interakcje między ludźmi, zwierzętami, roślinami i naszym środowiskiem, a WHO promuje badania One Health w celu opracowania zrównoważonego systemu kontroli chorób. W zgodzie z tą koncepcją traktat pandemiczny przewiduje, że WHO ma prawo nie tylko ogłaszać zalecenia, wydane na podstawie opinii kilku ekspertów, którzy uznają, że »zmiany klimatyczne« wynikające z działalności człowieka zagrażają ekosystemowi, lecz także nakładać na mieszkańców planety lub na określony region wszelkiego rodzaju ograniczenia – ograniczenia dostępu, blokady, nadzór i eksperymentalne metody leczenia, za każdym razem, kiedy uzna to za stosowne".

Tyle krytyk, ale lepiej poczytać dokumenty samemu. Oto fragmenty konkluzji przesłanych przez Radę Europy do krajów członkowskich już w tym roku. (Ciekawe oczywiście, co na to obecny resort zdrowia, ale tu chyba mamy do czynienia z podobną postawą co poprzedniego rządu – akceptacją ponad podziałami). Czytamy m.in., że strategia ta ma kierować unijnymi działaniami w obszarze zdrowia na świecie do 2030 r. i „przedstawia jasne priorytety polityczne, wytyczne oraz operacyjne linie działania. Tworzy również nowe ramy monitorowania do celu oceny skuteczności i oddziaływania unijnych polityk i finansowania". Co jest kluczowe dla zdrowia? Według Rady najważniejsze jest „osiągnięcie równości płci, zwalczanie szkodliwych stereotypów płci, zaradzenie problemowi stygmatyzacji i dyskryminacji są kluczowe dla posiadania dobrego zdrowia przez wszystkich". I dalej: „W tym kontekście Rada wzywa do zwiększenia ambicji poprzez stosowanie wszechstronnego podejścia, od skupiania się na ratowaniu życia i ograniczaniu występowania oraz rozprzestrzeniania się chorób po również propagowanie zdrowia i dobrostanu, w tym zdrowia psychicznego i zwalczania dyskryminacji i stygmatyzacji, w szczególności w odniesieniu do kobiet i dziewcząt, dzieci i młodzieży, osób starszych, osób z niepełnosprawnościami, osób LGBTI, ludności rdzennej oraz osób i społeczności podatnych na zagrożenia lub marginalizowanych oraz migrantów i osób wysiedlonych".

Oczywiście dokument unijny podkreśla wiodącą rolę WHO w tym procesie, mamy zatem powrót do idei światowego ministerstwa zdrowia, tyle że drogą okrężną – nie poprzez negocjowanie traktatu na forum ONZ, ale wprowadzenia dyrektyw unijnych, bez zbędnego ględzenia. Przy rozszerzającej formule „jednego zdrowia" takie WHO nie stanie się już ciałem doradczym, ale decyzyjnym w dodatku w obszarach wcale nieograniczających się do zdrowia. Mamy tu bowiem wszystko, co może być sprowadzone do decyzji i operacyjnego działania WHO, wyposażonego, przynajmniej w Europie, w licencję na wszystko, otrzymaną z rąk unijnych. Popatrzmy na ten tygiel: zwierzęta pomieszane z ludźmi, do tego środowisko, żywność, w końcu – walka z dezinformacją, bo ta – tak, tak, mili państwo – też została zaliczona do obszaru, na którym trzeba walczyć na gruncie „jednego zdrowia".

WSZYSTKIE JAJKA W JEDNYM KOSZYKU

W praktyce występują tu niezliczone permutacje możliwości: po pierwsze tzw. animalizacja prawa. Mamy już bowiem do czynienia z udanymi próbami nadawania osobowości prawnej zwierzętom, całe ustawy o prawach zwierząt, leżące obok praw człowieka i czekające na ich zrównanie. W tym względzie prawo idzie dalej, bo mamy próby nadawania osobowości prawnej… naturze i jej tworom, i tu warto wspomnieć ostatnie starania ustawowego nadania osobowości prawnej Odrze, ale nie wiadomo, dlaczego nie Wiśle. Pozywają już na Zachodzie w imieniu rzek i drzew, a to dopiero początek. W końcu niepokojące jest połączenie na tej platformie penalizacji dezinformacji w kontekście walki o zdrowie psychiczne ludzkości. To prosta droga do psychuszek, bo skoro uzna się jakiegoś klimatycznego czy covidowego denialistę za psychicznie chorego, to pozostaje już tylko kwestia terapii, którą się wobec niego zastosuje. Może doczekamy się i szczepionek przeciwko dezinformacji?

Wielkie bańki szaleństw – covidowa i klimatyczna – zostają włączone w jeden zbiór, worek, do którego można wrzucić dowolny obszar, co gorsza, dowolne zachowanie. Wymienione obszary będzie można poddać regulacji scentralizowanej w WHO, obszary niepożądanych zachowań poddać zaś penalizacji. Wszystko znajdzie się w jednym ręku, ciała niewybieralnego, którego działania będą oparte coraz bardziej na przymusie, mniej na strachu. Odkąd lud przestał się bać koronawirusa, ale władza nie zapomniała lekcji, którą pobrała za pandemii – że z ludzkością można zrobić o wiele więcej, niż się i władzy, i suwerenowi wydawało.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Współpraca: Mariusz Jagóra.

eprasa.pl a7e534a8f8

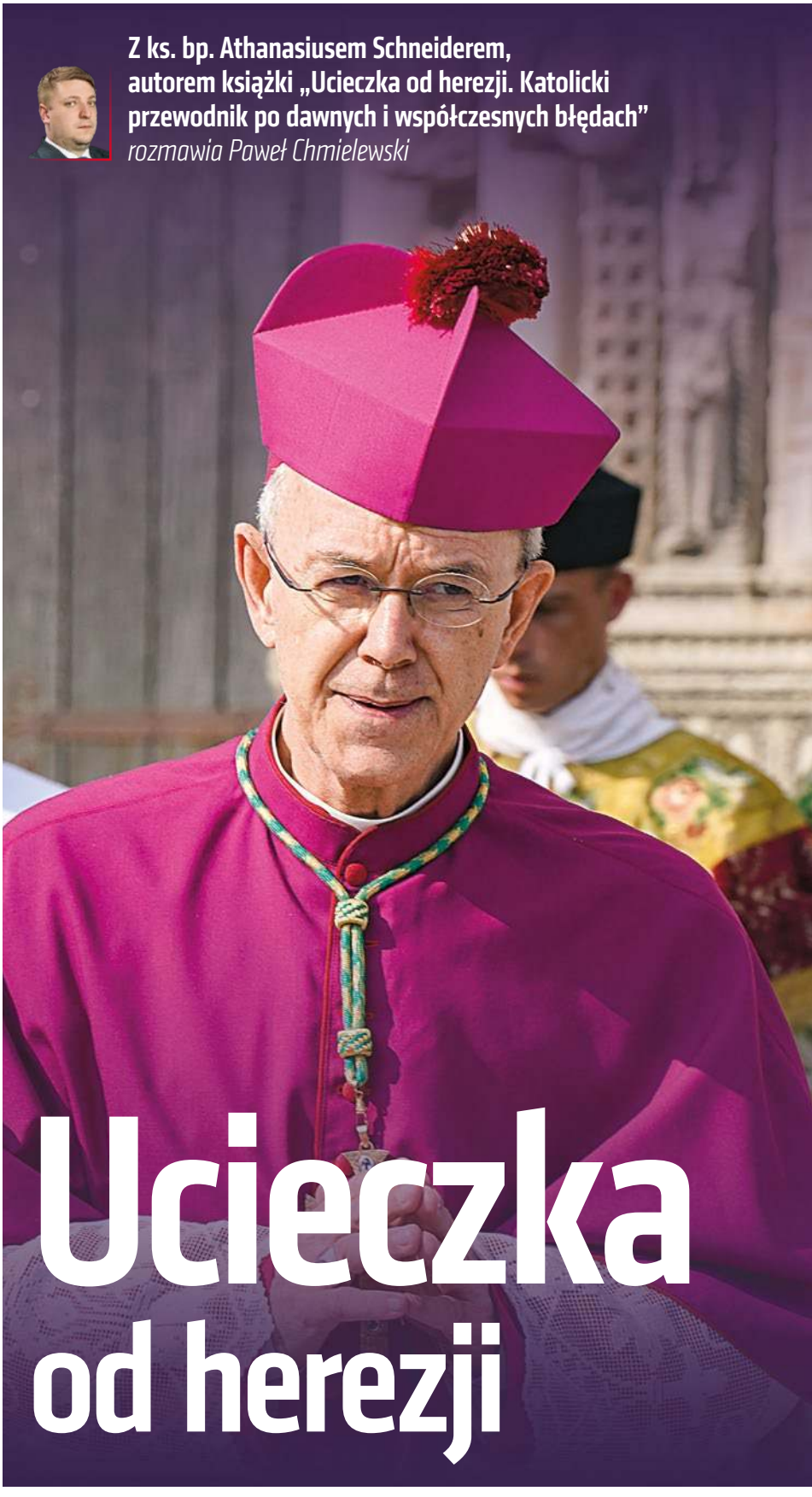

Ucieczka od herezji

Z ks. bp. Athanasiusem Schneiderem, autorem książki „Ucieczka od herezji. Katolicki przewodnik po dawnych i współczesnych błędach”
rozmawia Paweł Chmielewski

PAWEŁ CHMIELEWSKI: Kiedy papież Jan XXIII zwoływał Sobór Watykański II, powiedział, że Kościół nie chce już posługiwać się surowymi karami, ale woli stosować lekarstwo miłosierdzia. Ksiądz biskup napisał jednak książkę o herezjach. Czy to, że tak powiem, w ogóle jest dopuszczalne w związku z dzisiejszą optyką Kościoła?

KS. BP ATHANASIUS SCHNEIDER: To kwestia faktów. Herezje są chorobami duchowymi i mają głęboko szkodliwy wpływ na wiernych. To fałszywe nauki, które zagrażają zbawieniu. Od czasu Soboru Watykańskiego II błędy, a nawet herezje, silnie rozprzestrzeniły się w Kościele. Dlatego trzeba przed nimi ostrzegać. Kościół, jak dobry lekarz i pasterz, powinien chronić wiernych przed zarażeniem. Musi niekiedy zastosować to, co nazywa się surowymi środkami: właśnie z miłości, żeby zabezpieczyć całą wspólnotę.

Niektórzy mogliby powiedzieć, że to po prostu anachroniczne...

Kościół postępował w ten sposób od czasów apostołów aż do Soboru Watykańskiego II. Z prostej przyczyny: ponieważ natura ludzka pozostaje taka sama. Grzech pierworodny jest cały czas obecny i ma swoje skutki. Dlatego słowa Jana XXIII były po prostu nierealistyczne. Powiedziałbym nawet: naiwne, pomijające rzeczywistość. Nie odpowiadały 2000-letniej praktyce apostołów i Kościoła. Widzimy dziś efekty metody Jana XXIII: Kościół stał się jak ogród, w którym szeroko rozpleniły się plewy i chwasty. Dlatego uznałem, że moim obowiązkiem jest ostrzec wiernych i napisać książkę o herezjach.

Papież Franciszek często mówił o „jedności w różnorodności”, co było też zasadą przewodnią Synodu o synodalności. Być może ortodoksyjna wiara nie jest dziś uznawana za tak ważną, jak w czasach św. Pawła i w Kościele pierwszych wieków?

Taka postawa odzwierciedla niestety relatywizm doktrynalny, który jest głębokim źródłem choroby w Kościele naszych czasów. To, co nazywa się „jednością w różnorodności”, bywa często rozumiane w ten sposób, że w jednym organizmie wirus albo infekcja może pokojowo współistnieć ze zdrowymi częściami. To zupełnie nierealistyczne. Z czasem wirus i bakterie rozprzestrzeniają się i zakażają to, co zdrowe. Ta rzekoma różnorodność doktryny jest sprzeczna z prawem Bożym

FOT. FREDERIC PETRY/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl a7e534a8f8

oraz z apostolską i katolicką Tradycją wszystkich wieków.

Dlaczego jako pasterz z Kazachstanu zajmuje się ksiądz biskup zwalczaniem herezji, które rozprzestrzeniają się na całym świecie? Można by powiedzieć, że to misja Stolicy Apostolskiej.

Na mocy święceń biskupich stałem się członkiem Kolegium Biskupów i podczas konsekracji przyrzekłem zachowywać i strzec czystości wiary katolickiej. Dlatego gdy widzę zagrożenie, muszę zabrać głos dla dobra całego Kościoła. Sobór Watykański II stwierdził w konstytucji „Lumen gentium", że biskup jest wyświęcony nie tylko dla swojej diecezji; powinien troszczyć się także o dobro całego Kościoła. Nie w sensie jurydycznym, to znaczy nie w tym znaczeniu, że miałby rządzić innymi diecezjami. Chodzi o troskę o duchowe dobro całego Kościoła. Ostrzeganie przed herezjami jest zatem konkretnym wkładem w to duchowe dobro.

Czy wyłącznie biskupi powinni dziś bronić czystości wiary?

Nie, ta odpowiedzialność nie spoczywa tylko na biskupach. Każdy ochrzczony katolik ma obowiązek strzec wiary. Gdy ktoś widzi błędne nauczanie, powinien z należnym szacunkiem zwrócić uwagę, że jest to sprzeczne z Katechizmem, który przecież otrzymał. W razie potrzeby powinien powiedzieć to nawet biskupowi czy papieżowi.

Czy są na to jakieś przykłady z przeszłości?

Oczywiście. Czynili tak święci. Na przykład Katarzyna ze Sieny upominała papieża swoich czasów. Pisała do niego listy, wzywając go do naprawy tego, co było niewłaściwe. Nie chodziło o bezpośrednią herezję, ale o złe rządy, o brak oczyszczenia Kościoła z nadużyć, takich jak symonia i inne grzechy. Mówiła z szacunkiem, lecz stanowczo: „Ojcze Święty, to nie jest dobre; proszę to naprawić". Kodeks Prawa Kanonicznego wyraźnie stanowi, że świeccy mają prawo, a nawet obowiązek, ujawniać pasterzom Kościoła swój niepokój dotyczący dobra wiary i całego Kościoła.

Spotkał się już ksiądz biskup z nowym papieżem. Co można sądzić o jego gotowości i woli konfrontowania się z herezjami? Podejmie w tym obszarze jakieś działania czy też musimy czekać na jeszcze kolejnego papieża, żeby Watykan zajął się herezjami?

Przedstawiłem mu pewną sugestię i wręczyłem nawet projekt uroczystego wyznania wiary, jasno potwierdzającego te prawdy, które są dziś w Kościele szeroko podważane. Wysłuchał uprzejmie, ale nie udzielił żadnej odpowiedzi. Odniosłem wrażenie, że jest bardzo ostrożny, być może nieco nieśmiały lub powściągliwy. Możemy jednak modlić się za niego – i ja tak robię – aby otrzymał od Boga światło potrzebne do rozpoznania niebezpieczeństwa doktrynalnego zamętu w Kościele oraz aby zostały mu dane siła i odwaga do ogłoszenia jasnej deklaracji prawdy.

Co ksiądz biskup sądzi o synodalności? Proces synodalny wciąż trwa, a w 2028 r. ma się odbyć w Rzymie tzw. Zgromadzenie Kościelne. Czy synodalność może być ortodoksyjna czy też jest sama w sobie błędna, a nawet heretycka?

Sam termin „synodalność" nie stanowi problemu. Zgodnie ze swoim znaczeniem odnosi się do praktyki zwoływania synodu, czyli podejmowania decyzji po konsultacjach i kolegialnej dyskusji, a nie decydowania w całkowitej samodzielności. Gdy papież gromadzi kardynałów i biskupów, to wysłuchuje ich rad, a następnie na podstawie tej kolegialnej refleksji wydaje swój dokument. To tradycyjna i uprawniona praktyka. Od najdawniejszych czasów papieże zwoływali biskupów, aby wysłuchać ich opinii przed podjęciem ważnych decyzji. Tak było zawsze w Kościele, zwłaszcza w pierwszym tysiącleciu.

Również później Kościół zwoływał sobory powszechne, czyli ekumeniczne, które po łacinie też nazywano „synodami". Biskupi byli ponadto zobowiązani do organizowania synodów diecezjalnych: gromadzenia swoich kapłanów, wysłuchiwania ich rad, a następnie ustanawiania norm dyscyplinarnych w celu ulepszenia życia diecezji i usunięcia nadużyć. W tym sensie synodalność jest czymś dobrym i zawsze była praktykowana.

Obecna forma synodalności jest jednak inna. Dziś również świeccy bywają zapraszani nie tylko do tego, by wyrazić opinię, ale by współuczestniczyć w podejmowaniu decyzji obok biskupów.

Czy to źle?

Tak, ponieważ jest to sprzeczne z Boską strukturą Kościoła. Świeccy nie mogą mieć takiego samego, decydującego głosu jak biskupi. Nawet jeśli głosy na synodzie mają formalnie charakter doradczy, to metoda ta może w praktyce stawiać świeckich i biskupów niemal na tym samym poziomie. Takie podejście grozi podważeniem hierarchicznej konstytucji Kościoła, w której władza decydowania spoczywa w obrębie świętej hierarchii. Wierni mogą być oczywiście dopytywani i wysłuchiwani, ale nie uczestniczą w równej mierze w sprawowaniu władzy rządzenia. W tym sensie współczesna metoda synodalności jest rzeczywiście błędna i problematyczna.

Wspomniał już ksiądz biskup o herezji relatywizmu. Jest ona ściśle związana z Soborem Watykańskim II i deklaracją „Dignitatis humanae". Czy uważa ksiądz biskup, że ten dokument wymaga korekty? Wielu katolików sądzi, że to faktyczne źródło indyferentyzmu religijnego w Kościele.

Kościół zawsze nauczał, że nikogo nie można zmuszać do wiary. Innymi słowy, wiara nigdy nie może być narzucana. Nikt nie jest przymuszany do przyjęcia wiary katolickiej, ponieważ sam Bóg nie zmusza nikogo, by w Niego wierzył ani by Go miłował. Akt wiary, w sensie psychologicznym, musi być całkowicie wolny. W tym znaczeniu istnieje autentyczna wolność religijna.

„Dignitatis humanae" stwierdza, że każdy ma wolność wyboru swojej religii i nie powinien napotykać zewnętrznej przeszkody w tym wyborze, dokonywanym zgodnie z własnym sumieniem. Tekst idzie jednak dalej, ponieważ mówi, że można nie tylko wybrać religię, lecz także ją rozpowszechniać bez jakichkolwiek przeszkód ze strony państwa. To błędny pogląd, bo w takim przypadku wszystkie religie zostają postawione na tym samym poziomie. Dlatego potrzebna jest korekta.

Można to rozumieć tylko w sensie politycznym?

Niestety, tekst sugeruje też, że wolność wyboru i rozpowszechniania religii jest zakorzeniona w naturze ludzkiej, a zatem w pewnym sensie w prawie naturalnym. Tymczasem prawo naturalne wyraża pozytywną wolę Boga. Nie można twierdzić, że Bóg pozytywnie chce prawa do szerzenia bałwochwalstwa czy fałszywego kultu, gdyż sprzeciwiałoby się to pierwszemu przykazaniu.

eprasa.pl a7e534a8f8

Pomieszane zostały tu dwa odrębne porządki: po pierwsze, osobista wolność jednostki, by wierzyć lub nie wierzyć, która zawsze musi być szanowana; po drugie, rzekome prawo do propagowania nawet fałszywej religii, sprzecznej z wiarą w Boga lub bluźnierczej wobec Niego. Tego drugiego nie da się pogodzić ani z Objawieniem Bożym, ani z pierwszym przykazaniem.

Czy przyniosło to jakieś negatywne konsekwencje w działaniach papieży po Soborze Watykańskim II?

Sformułowania zawarte w „Dignitatis humanae" w praktyce przyczyniły się do relatywizmu i indyferentyzmu religijnego, czyli do przekonania, że różne religie mogą w równym stopniu prowadzić do Boga. Uderzającym przykładem jest „Dokument z Abu Zabi", w którym papież Franciszek stwierdził, że różnorodność religii jest chciana przez Boga w Jego mądrości. Tego rodzaju twierdzenie, moim zdaniem, sprzeciwia się woli Boga i ukazuje relatywistyczną interpretację, która rozwinęła się na gruncie „Dignitatis humanae".

Prefekt Dykasterii Nauki Wiary, kard. Victor Manuel Fernández, powiedział niedawno, że dokumenty Soboru Watykańskiego II nie mogą zostać skorygowane.

To błędne ujęcie. Tym, czego nie można skorygować, są Słowo Boże zawarte w Piśmie Świętym oraz dogmaty, które zostały definitywnie ogłoszone. Sobór nie zamierzał wydawać nieomylnych definicji w całym swoim nauczaniu. Sam papież Paweł VI już po soborze publicznie stwierdził, że Sobór Watykański II nie miał zamiaru ogłaszać nowych definitywnych nauk oraz że jego nauczanie miało przede wszystkim charakter pastoralny. Teksty pastoralne mogą być ulepszane, a nawet poddawane rewizji.

Są jakieś przykłady takiej praktyki?

Sobór Laterański IV z 1215 r. wydał normy pastoralne stanowiące, że katolik zatrudniający muzułmańskich lub żydowskich służących podlega ekskomunice. Jest oczywiste, że dziś taki przepis byłby nierealistyczny. Ten sam sobór nakazał również, aby Żydzi, poruszając się po chrześcijańskim mieście, nosili na odzieży jakiś wyróżniający znak, tak aby można ich było łatwo rozpoznać. Zapytałbym kard. Fernández, czy takie normy można dziś skorygować… Przypuszczam, że odpowiedziałby: „Tak, oczywiście". Skoro jednak dokument pastoralny wcześniejszego soboru może zostać zrewidowany, to dlaczego sformułowania pastoralne Soboru Watykańskiego II nie miałyby zostać wyjaśnione lub skorygowane, jeśli zachodzi taka potrzeba? Negowanie tego wydaje się sprzeczne i niekonsekwentne wobec wcześniejszego rozumienia tej kwestii i praktyki Kościoła.

Na początku swojej książki pisze ksiądz biskup, że współczesne herezje często okazują się starymi, które Kościół już przezwyciężył. Czy to znaczy, że dzisiejsze herezje nigdy nie są naprawdę nowe? A może są nowe herezje, które można byłoby wskazać?

Powiedziałbym, że czymś nowym jest próba usprawiedliwienia sodomii. Mam na myśli ideę przedstawiania aktów homoseksualnych jako moralnie dopuszczalnych samych w sobie. W historii Kościoła zdarzały się oczywiście przypadki praktyk homoseksualnych i sodomii, lecz miały one miejsce jako fakty, nie były natomiast wspierane przez teorię, która by je usprawiedliwiała.

W mojej ocenie ta teoretyczna legitymizacja jest czymś nowym. Z tym wiąże się inne twierdzenie, które też wydaje się całkowicie nowe: idea tzw. małżeństwa jednopłciowego. Bywa dziś promowana nawet przez niektórych katolickich kapłanów, a w kilku przypadkach także przez biskupów, którzy mówią, że coś takiego mogłoby zostać zaakceptowane. To jest po prostu sataniczne. Stanowi bunt przeciw stworzeniu przez Boga mężczyzny i kobiety. To bezpośrednia rebelia. Tak więc właśnie proponowanie i usprawiedliwianie możliwości tzw. małżeństwa między osobami tej samej płci wydaje mi się czymś całkowicie nowym.

Czy uważa ksiądz biskup, że ta herezja jest zarazem najgroźniejsza? A może jakieś starsze herezje są dziś bardziej niebezpieczne?

Sądzę, że najgroźniejszy jest relatywizm, czyli przekonanie, że prawda może się zmieniać; a wraz z relatywizmem twierdzenie, że wszystkie religie prowadzą do Boga. To relatywizm zastosowany do samej prawdy. Drugą bardzo niebezpieczną herezją jest neopelagianizm, który w życiu Kościoła daje pierwszeństwo wyłącznie sprawom naturalnym i doczesnym, ze szkodą dla rzeczywistości wiecznej, życia nadprzyrodzonego i życia łaski. Uważam, że to również jest niezwykle groźne i leży u podstaw obecnego kryzysu w Kościele od czasu soboru.

BP ATHANASIUS SCHNEIDER „UCIECZKA OD HEREZJI" WYDAWNICTWO ESPRIT 2026

Czy ma ksiądz biskup jakieś przesłanie dla polskich katolików? Jakich wskazówek można udzielić w sprawie walki z herezjami w Polsce? W jaki sposób wierni mogą zachęcać swoich biskupów do wzięcia odpowiedzialności za cały Kościół?

Przede wszystkim należy zachować czystość wiary katolickiej. Trzeba pozostać wiernym nauczaniu wyrażonemu w tradycyjnych katechizmach. Należy uważnie studiować te jasne i godne zaufania teksty i być gotowym wiele poświęcić dla zawartej w nich prawdy, starając się też przekazywać ją innym. Nawet skromne inicjatywy, takie jak niewielkie publikacje przedstawiające autentyczną doktrynę katolicką, mogą przyczynić się do umocnienia i szerzenia wiary.

Równocześnie należy wspierać biskupów modlitwą, prosząc, aby została im dana odwaga do obrony prawdy i do usuwania zarazy herezji z ich diecezji. Trzeba zwracać się do nich z szacunkiem, ale otwarcie i publicznie, gdy wymagają tego okoliczności.

Ilekroć w diecezji pojawia się błędne nauczanie – czy to w słowach kapłanów, czy innych osób – należy domagać się wyjaśnienia i sprostowania. Jeśli takie apele okażą się bezowocne, to uprawnione jest wydanie jasnego i pełnego szacunku oświadczenia, zebranie poparcia oraz podanie sprawy do wiadomości publicznej dla dobra wiernych. Powinno się to zawsze odbywać bez goryczy, w duchu spokoju, szacunku i jasności.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

Athanasius Schneider – biskup pomocniczy Astany w Kazachstanie, autor książki „Ucieczka od herezji. Katolicki przewodnik po dawnych i współczesnych błędach" (Wydawnictwo Esprit, Kraków 2026).

eprasa.pl a7e534a8f8

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

100. ROCZNICA ZAMACHU MAJOWEGO – PIŁSUDSKI BIERZE WŁADZĘ

Polski spór o Polskę – Za wypadki z maja 1926 r. i rozlew krwi trudno obarczyć pełną winą tylko jedną ze stron konfliktu. Stanowiły one bowiem splot wielu okoliczności zmiennego i mało stabilnego życia politycznego Polski

Generałowie za kratami – Po przewrocie majowym Tadeusz Rozwadowski, Włodzimierz Zagórski, Juliusz Malczewski i Bolesław Jaźwiński zostali aresztowani. Żaden z nich nie stanął jednak przed sądem

Od szacha do ajatollaha – „Ci, którzy krytykowali szacha za brutalność jego tajnej policji, po zmianie władzy zmienili tylko jej nazwę i wykorzystywali ją tak samo, przetrzymując swoich wrogów w tych samych więzieniach" – mówi prof. UŁ Robert Czulda

Rzymscy legioniści w Chinach – To w starożytności narodził się handel światowy oplatający swoimi nićmi tereny od rzymskiej Brytanii do Chin. Było to możliwe dzięki śmiałkom, o których dziś już mało kto pamięta

Norymberska farsa – Winston Churchill przekonywał, że niemieckich zbrodniarzy trzeba najzwyczajniej rozstrzelać. Brytyjski przywódca doskonale bowiem rozumiał, że ich proces będzie kpiną z prawa

Odcięta ręka generała Lee – W bitwie pod Chancellorsville gen. Lee wzniósł się na wyżyny swojego dowódczego geniuszu, będąc bliski zakończenia wojny na warunkach Południa. Jednocześnie stracił tam swojego najlepszego generała, bez którego stało się to niemożliwe

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl a7e534a8f8

Filip Memches

Mniejszości seksualne istniały zawsze, ale skrót „LGBT" to coś nowego. Pojawił się on w drugiej połowie XX w. Chodziło o wymuszenie na społeczeństwach poszczególnych krajów – w imię osobliwie pojętej równości – akceptacji dla zachowań seksualnych uchodzących powszechnie za nienormalne

VI Marsz Równości w Zielonej Górze, 10 czerwca 2023 r.

FOT. NEWSLUBUSKI/EAST NEWS

A jednak ideologia

Co jakiś czas do polskiej debaty publicznej wraca mocno politycznie polaryzujący temat „praw" mniejszości seksualnych. Ostatnio stało się to w związku ze sporem o transkrypcje w Polsce zagranicznych aktów „małżeństw" jednopłciowych. Nie inaczej było w czerwcu roku 2020. Wtedy Polacy byli świadkami prezydenckiej kampanii wyborczej. Nie zabrakło w niej „tęczowej" kwestii. Świadczy o tym wydarzenie, do którego doszło na antenie TVN24. Warto je przypomnieć.

Oto Katarzyna Kolenda-Zaleska prowadziła program „Fakty po Faktach", a jednym z jej rozmówców był polityk Zjednoczonej Prawicy (koalicji PiS z mniejszymi ugrupowaniami) Jacek Żalek. Konwersacja między nimi toczyła się on-line, co – jak potem się okazało – miało znaczenie. Dziennikarka zacytowała słowa innego polityka ZP Joachima Brudzińskiego: „Polska bez LGBT jest najpiękniejsza" i zapytała swojego interlokutora, czy podpisałby się pod tym zdaniem. „Co to jest LGBT? Bo ja rozumiem, że chodzi o ideologię" – odparł Żalek. „To są wszyscy ludzie – homoseksualiści i tak dalej" – odrzekła Kolenda-Zaleska. „To nie są ludzie" – wypalił niespodziewanie polityk ZP. „Słucham? Jak to, to nie są ludzie?" – dawała wyraz swojej konsternacji dziennikarka. „To nie są ludzie" – powtórzył Żalek i od razu dodał: „To jest ideologia". Wtedy Kolenda-Zaleska nie wytrzymała: „Nie, proszę pana. To są ludzie. Są jakieś granice, także w tym programie. Także ja bardzo podziękuję za rozmowę". Polityk ZP jednak nie dawał za wygraną: „Pani sugeruje, że jak nie było LGBT, to nie było homoseksualistów. Pani redaktor, czy może się pani ocknąć? Ja rozumiem, że jest gorąco, ale bym bardzo prosił, homoseksualiści są od wieków". Dziennikarka jednak nie chciała dalej kontynuować dyskusji. Nie pozwoliła Żalkowi dalej się wypowiadać i za pośrednictwem realizatorów programu po prostu – ujmując rzecz kolokwialnie – go „wyłączyła", co w kręgach lewicowych i liberalnych wywołało aplauz.

Na polityków Zjednoczonej Prawicy rzuciła się cała zgraja komentatorów, zarzucających im dehumanizację mniejszości seksualnych. „Gazeta Wyborcza" wytoczyła ciężką artylerię: Marek Beylin na łamach tego medium porównywał „homofobię" polityków ZP do niemieckiego narodowego socjalizmu. Oskarżył ich o to, że w osobach należących do mniejszości seksualnych widzą – tak jak naziści w Żydach – „podludzi". Przekaz lewicowych i liberalnych środowisk brzmiał: LGBT to ludzie, a nie ideologia, i kto temu zaprzecza, ten jest „homofobicznym" hejterem. Zresztą chodzi nie tylko o „homofobię", lecz także o „transfobię".

UZUPEŁNIĆ KODEKS KARNY

Czy w tej sytuacji stanowisko Jacka Żalka jest do obrony? Odpowiedź na to pytanie można znaleźć w publikacji, która odnosi się do oporu stawianego nad Wisłą przez środowiska prawicowe i katolickie ruchom „tęczowym". Chodzi o wydaną w roku 2025 przez Instytut Myśli Politycznej im. Gabriela Narutowicza książkę „Ideologia, której nie było. Kto straszy w Polsce »gender«" pod redakcją psychologa Dominika Puchały oraz politologa doktora Przemysława Witkowskiego. I właściwie ten tytuł mówi sam za siebie. Teza książki jest taka, że środowiska prawicowe i katolickie kierując się ideologicznymi i światopoglądowymi uprzedzeniami, upatrzyły sobie wroga w osobach „nieheteronormatywnych" i szczują na nie ogół Polaków. Jeśli zatem komuś przyświeca jakaś ideologia – to nie ludziom upominającym się o „prawa" mniejszości seksualnych, lecz wszelkiej maści konserwatystom, którzy nie przyjmują do wiadomości, że świat się zmienia, i wspierają autorytarne tendencje polityczne.

W książce pod redakcją Puchały i Witkowskiego można przeczytać tekst Jakuba Kocjana, prawnika zaangażowanego w działalność fundacji Akcja Demokracja. Było o niej głośno podczas prezydenckiej kampanii wyborczej w roku 2025. Pod adresem Akcji Demokracja kierowano zarzuty, że w sposób nieformalny agituje na rzecz Rafała Trzaskowskiego, a środki na ten cel pochodzą z niejasnych – być może zagranicznych – źródeł. Co do samego tekstu Kocjana autor stwierdza

eprasa.pl a7e534a8f8

w nim, że prawo pełni m.in. funkcję dynamizującą. Oznacza to, że „promuje" ono zmiany w rozmaitych segmentach życia społecznego, choćby rozszerzając zakres ochrony prawnej obywateli. Kocjan zatem opowiada się za tym, żeby w polskim Kodeksie karnym katalog przestępstw popełnionych z nienawiści uzupełnić o przesłanki orientacji seksualnej i tożsamości płciowej. Nie przypadkiem Trzaskowski, uczestnicząc w roku 2025 w wyścigu do Pałacu Prezydenckiego, zajął w tej sprawie takie samo stanowisko, jak aktywista Akcji Demokracji.

Kocjan słusznie zauważa, że w Polsce po prawej stronie politycznej i światopoglądowej barykady terminy „ideologia LGBT" i „ideologia gender" traktuje się często jako synonimy, a przecież pojęcie „LGBT" (lesbijki, geje, osoby biseksualne, osoby transseksualne) oznacza co innego niż pojęcie „gender" („płeć kulturowo-społeczna"). Niemniej zaangażowany w wojnę kulturową przeciw prawicy prawnik z premedytacją pomija to, że pojęcia „LGBT" i „gender" należą do propagandowego arsenału ruchów „tęczowych". Tak więc w pewnym sensie się dopełniają. Ruchy „tęczowe" serwują bowiem narrację o tym, jak mniejszości seksualne (LGBT) są represjonowane przez okrutny zacofany patriarchat, bo narzuca on im tradycyjne stereotypowe role genderowe („płciowe" – w znaczeniu „płci kulturowo-społecznych"), w których nie mogą być sobą.

To, co Kocjan ukrywa za wydawałoby się światopoglądowo neutralnym żargonem prawniczym (żeby wykazać, że ideologia motywuje wyłącznie „homofobów" z prawicy), jest całkowicie odsłonięte w innych tekstach książki. I tak we wprowadzeniu do niej jej redaktorzy kreślą wizję konfliktu kulturowego, pozycjonując się po jednej z jego stron. Dominik Puchała i Przemysław Witkowski oznajmiają, że poprzez analizę „antygenderowych narracji" (tym terminem epitetują krytyczne opinie na temat teorii gender, wskazujące, że pod płaszczykiem naukowości używana ona jest jako oręż w wojnie kulturowej) opowiedzieć można historię przemian społecznych zachodzących współcześnie w liberalnych demokracjach. „W centrum tych przemian – piszą – znajduje się fundamentalne napięcie między progresywnymi wartościami dotyczącymi równości

W rezultacie rewolucji kulturowej i obyczajowej nastąpiła polityzacja tego, co intymne, a bezwstyd wyniesiono na piedestał

a konserwatywną reakcją na zmiany społeczne". Tego, że obydwaj redaktorzy publikacji są orędownikami opcji progresywnej, nie trzeba nawet dodawać.

ZDEMONTOWAĆ MORALNOŚĆ „FASZYSTOWSKĄ"

Jeszcze bardziej radykalnie stawia sprawę filozof doktor habilitowana Ewa Majewska. W serwisie internetowym Uniwersytetu SWPS – uczelni, na której wykłada – przedstawia się ona jako „feministyczna teoretyczka kultury". Majewska odwołuje się do koncepcji Wilhelma Reicha nazywanej „freudo-marksizmem". Ten działający w pierwszej połowie XX stulecia austriacki lekarz psychiatra był zaangażowany w ruch komunistyczny (potem – ze względu na swoje ekscentryczne poglądy – został z niego wykluczony). Uważał on, że kapitalistyczny wyzysk proletariuszy idzie w parze z nakładaniem moralnych ograniczeń na ich seksualność. Konstatował zatem, że wyzwolenie polityczno-ekonomiczne klasy robotniczej powinno iść w parze z jej wyzwoleniem seksualnym. Obaleniu kapitalizmu miał towarzyszyć demontaż rygorystycznej „faszystowskiej" moralności burżuazyjnej nakazującej ślepe posłuszeństwo wobec autorytetów.

W tekście Majewskiej czytamy: „Autorytaryzm kultury prowadzący do faszyzmu jest w ujęciu Reicha absolutyzacją figury ojca żądającego od mas pełnego podporządkowania. Faszyzm, jako irracjonalna histeria tłumów, to nic innego jak regresja znacznej części społeczeństwa do stanu poddaństwa, podległości i zależności od autorytarnego wodza, regresja zawiniona premiowaniem męskich cech i zachowań nad kobiece, skutkująca internalizacją represji seksualności przez jednostki". Zapoznając się z tym fragmentem tekstu, można zadać pytanie: Jeśli to nie jest przekaz ideologiczny, to co nim jest?

Wracając do programu w TVN24, choć Jackowi Żalkowi nie dane było rozwinąć swojej myśli, to można ją zrekonstruować. Mniejszości seksualne istniały zawsze, ale w przeszłości – niezależnie od tego, jak były traktowane – nie uzurpowały sobie „praw", czyli faktycznie: politycznych przywilejów. Natomiast skrót „LGBT" (w rozmaitych wariantach rozszerzany o kolejne litery oznaczające różne przejawy „nieheteronormatywności") to coś nowego. Pojawił się on w drugiej połowie XX w. wraz z rewolucją kulturową i obyczajową, której inicjatorzy postawili sobie za cel wymuszenie na społeczeństwach poszczególnych krajów – w imię osobliwie pojętej równości – akceptacji dla zachowań seksualnych uchodzących powszechnie za nienormalne. Nastąpiła polityzacja tego, co intymne, a bezwstyd wyniesiono na piedestał. A przede wszystkim bycie obyczajowym odmieńcem – jako kimś, kto swoim stylem życia bohatersko rzuca wyzwanie „ciemnogrodowi", aby skruszyć represyjne struktury patriarchatu – miało się stać czymś nobilitującym.

Lektura książki pod redakcją Dominika Puchały i Przemysława Witkowskiego prowadzi do wniosku, że Żalek miał rację. Tak, LGBT to termin ideologiczny. Oznacza nie ludzi, ale określone, politycznie fetyszyzowane, zachowania seksualne. Terminem ideologicznym jest również „gender" jako choćby narzędzie dezawuowania wychowawczej funkcji tradycyjnego hierarchicznego modelu rodziny.

A Instytut Narutowicza po raz kolejny dowiódł, że jest placówką naukowo-edukacyjną tylko teoretycznie. Pieniądze podatników przeznacza na walkę lewicy z prawicą, bo chodzi przecież o to, żeby przezwyciężyć wszechobecny wśród Polaków „faszyzm". Można odnieść wrażenie, że finansowani przez tę instytucję lewicowi aktywiści ze stopniami naukowymi obiektywnych badaczy tylko udają. Ich zaangażowanie ideologiczne wręcz kłuje w oczy.

„IDEOLOGIA, KTÓREJ NIE BYŁO. KTO STRASZY W POLSCE »GENDER«"
REDAKCJA: DOMINIK PUCHAŁA, PRZEMYSŁAW WITKOWSKI, INSTYTUT NARUTOWICZA, WARSZAWA 2025

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a7e534a8f8

Dmowski kontra carat

Posłowie do pierwszej Dumy, oskarżeni o podpisanie odezwy wyborskiej – protestu wobec rozwiązania tego zgromadzenia i niezwoływania kolejnego FOT. MAZOWIECKA BIBLIOTEKA CYFROWA

Lech Mażewski

Lider endecji uważał, że żądanie autonomii Królestwa Polskiego jest nierealne. Natomiast traktował je jako potrzebną manifestację w walce przeciw polityce rządu rosyjskiego. I dopowiadał, że „trybuna petersburska była raczej drogą do wprowadzenia sprawy polskiej na nowo na teren międzynarodowy"

Kwestią autonomii Królestwa Polskiego zajął się Roman Dmowski w artykule opublikowanym w „Przeglądzie Wszechpolskim" pod koniec 1905 r. Zawarty został w nim program szeroko zakrojonej autonomii, tak w sferze społeczno-politycznej, jak gospodarczej, jednak możliwość jej uzyskania opatrzona była tyloma znakami zapytania, że bardziej chodziłoby o propagandę niż realny program polityczny. Dmowski być może liczył na to, że Rosja oscylująca między rewolucją a reakcją będzie zmuszona do stopniowego, acz nie bez wahań, ustępowania pod naporem polskich żądań.

Przekonaniu, jak sprawy mają się w rzeczywistości, miała służyć rozmowa delegacji, której uczestnikiem był też Dmowski, wyłonionej przez umiarkowane i prawicowe siły Królestwa, z premierem Sergiuszem Wittem. Po różnych perturbacjach w połowie listopada 1905 r. doszło do spotkania. Uczestnikiem tej rozmowy był jedynie polityk, reszta odmówiła z powodu ogłoszenia w Królestwie stanu wojennego. Polak argumentował za oddaniem władzy cywilnej w nasze ręce. Całe zło bowiem do Królestwa przyszło z Rosji po ostatecznej likwidacji autonomii, co nastąpiło wraz ze śmiercią ostatniego namiestnika hr. Teodora Berga. W późniejszych pamiętnikach opublikowanych w Berlinie w 1922 r. Witte relacjonował, że Dmowski miał powiedzieć: „Wy w zamian tego niczego nam nie daliście i nie dajecie poza rosyjskimi rewolucjonistami, państwowym i politycznym nihilizmem". Rosyjski polityk nie oponował przeciw tym krytycznym ocenom, zwracając jedynie uwagę, że szeroki samorząd to sprawa przyszłości, że „takie rzeczy nie przychodzą od razu". Na dziś niewiele da się zrobić, skoro w Królestwie stacjonowała jedna trzecia całości sił zbrojnych Rosji. Po latach Dmowski napisał w „Polityce polskiej i odbudowie państwa", że „ani rządy rosyjskie, ani rządy polskie w kraju polskim należącym do Rosji nie są możliwe, że zatem o rozwiązaniu kwestii polskiej w granicach państwa rosyjskiego nie może być mowy".

NIEPODLEGŁOŚĆ NIE WCHODZIŁA W GRĘ

W myśleniu o autonomii Królestwa Dmowski nie miał złudzeń także co do stanowiska rosyjskiej opozycji, głównie liberalnej. Kadeci byli rosyjskimi

eprasa.pl a7e534a8f8

patriotami i uważali, że przeprowadzenie wszelkich zmian politycznych było możliwe jedynie w ramach jednolitego państwa rosyjskiego. Stąd niepodległość Polski nie wchodziła w grę, a nawet myśl o autonomii Królestwa była bardzo trudna do przyjęcia przez nich.

Na wiosnę 1906 r. odbyły się wybory do Dumy, w których w Królestwie oszałamiające zwycięstwo odniosło Stronnictwo Demokratyczno-Narodowe, zdobywając prawie wszystkie mandaty przeznaczone dla Polaków. Trzydziestu czterem mandatom dla nas towarzyszyły dwa przeznaczone dla Rosjan i jeden dla Litwinów. Nikt z przywódców Ligi Narodowej nie posiadał praw wyborczych z powodu braku domicylu, bo zarówno Dmowski, jak i Jan Ludwik Popławski czy Zygmunt Balicki powrócili do Warszawy po okresie długiej emigracji politycznej.

Posłowie polscy w Dumie utworzyli Koło Polskie, sygnalizując konieczność uchwalenia autonomii Królestwa. 13 maja 1906 r. poseł Jan Harusewicz złożył następującą deklarację podczas dyskusji nad adresem do tronu: „Nasze niezłomne prawa są nietykalne i święte, a z nich wypływa konieczność autonomii Królestwa Polskiego, będącej powszechnym żądaniem całej ludności naszego kraju. Z tym żądaniem stajemy w Izbie Państwowej, aby walczyć tu o nowe prawa i o wspólną wolność". Polakom wydawało się, że uda się to osiągnąć, wspierając liberałów w konflikcie z tronem, nie zważano przy tym na ich niechętne stanowisko w sprawie autonomii Królestwa. W tym czasie liberalny dziennik „Riecz" sformułował pogląd, że wraz z żądaniem autonomii pojawi się oczekiwanie ze strony Warszawy wprowadzenia prawnomiędzynarodowych gwarancji dla tego rozwiązania, co byłoby absolutnie nie do przyjęcia dla strony rosyjskiej. Nie wiadomo, czy by do tego doszło, ale rzeczywiście byłoby to nie do zaakceptowania – nie tylko dla Petersburga.

21 lipca Duma wobec narastającego konfliktu z tronem została rozwiązana. W krótkim okresie funkcjonowania nie osiągnięto niczego w sprawie autonomii Królestwa. Po latach Dmowski pisał: „Dla naszej nielicznej garści, przy naszych zamiarach, ta polityka w pierwszej Dumie była ogromną degradacją przedstawicielstwa polskiego". Ta bardzo surowa ocena wynikała z faktu, że pozostawanie na pasku kadetów nic nie dało, jak poprzednio zabiegi konserwatywnych ugodowców u rządu. Szkoła niewoli – konkludował autor – „innych metod nauczyć nie mogła". Wkrótce zobaczymy, jak jemu samemu pójdą starania o autonomię Królestwa, pamiętając o olbrzymich wątpliwościach go cechujących.

TON NADAWALI ROSYJSCY LIBERAŁOWIE

Na wiosnę 1907 r. odbyły się następne wybory, dające w Królestwie podobny wynik jak rok wcześniej. Właściwie wszystkie mandaty przeznaczone dla Polaków uzyskali członkowie SDN bądź politycy z nim związani. Prezesem Koła Poselskiego został Dmowski. Z polskimi posłami z Królestwa współpracowali, tak jak poprzednio, polscy posłowie z ziem zabużańskich i zaniemeńskich. Prezes nie wierzył w realizację postulatu autonomii, mówiąc Harusewiczowi: „Polska będzie wpierw niepodległa, niż Królestwo otrzyma autonomię". Sceptycyzm ten jednak zderzał się z wygórowanymi oczekiwaniami wyborców i własnego zaplecza politycznego. Na wielkim bankiecie pożegnalnym dla posłów z Warszawy Popławski wzbudził entuzjazm zebranych, dedykując im słowa Jana Kozietulskiego: „Naprzód, psiakrew!", wypowiedziane przed znaną szarżą pod Somosierrą.

W jednym ze swoich wystąpień Roman Dmowski przyczyn utrzymywania się stanu napięcia w Królestwie Polskim dopatrywał się w azjatyckich cechach rosyjskiego systemu rządów

Posłowie polscy znaleźli się w roli języczka u wagi, posiadając prawie jedną dziesiątą mandatów, od ich głosów zależało uchwalenie budżetu i kontyngentu rekruta. Słowem, uzyskaliśmy w dużym stopniu wpływ na funkcjonowanie Cesarstwa, co z pewnością nie mogło się tam podobać. Zresztą tak samo byłoby w każdym innym państwie. Z tej znaczącej roli Koła Polskiego należało korzystać w sposób oględny, pamiętając o niechętnym polskim postulatom stanowisku nie tylko tronu, lecz także rosyjskiej opinii publicznej, której ton w dużym stopniu nadawali liberałowie.

10 kwietnia 1907 r. został wniesiony wniosek w sprawie autonomii Królestwa, przypominającej rozwiązania galicyjskie. 21 maja wykonano kolejny wniosek, tym razem szło o spolszczenie szkolnictwa państwowego wszystkich stopni w Królestwie. W latach 60. i na początku 70. XIX w. obie te sprawy zostały przeforsowane w Galicji, co zbiegało się z dokonującą się rekonstrukcją ustrojową Królestwa Polskiego. Symbolem tych przemian stał się margrabia Aleksander Wielopolski, minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego, a później Naczelnik Rządu Cywilnego.

Autonomia dla Galicji została uchwalona na podstawie Statutu Krajowego z 1861 r., ale walka o jej urzeczywistnienie zakończyła się dopiero w 1873 r. wraz z całkowitym spolszczeniem szkolnictwa. Do najważniejszych zdobyczy ustrojowych zalicza się: obsadzanie stanowiska namiestnika Galicji i ministra do spraw Galicji w rządzie wiedeńskim przez Polaków, powołanie Sejmu Krajowego wraz z Wydziałem Krajowym jako organem wykonawczym, polonizację urzędów i sądów. Dopiero później nastąpiła polonizacja Uniwersytetu Jagiellońskiego i niedługo potem uniwersytetu we Lwowie. Wreszcie doszło do całkowitej kontroli nad szkołami średnimi i podstawowymi, które znalazły się w gestii Krajowej Rady Szkolnej. Po 1867 r. podjęto starania na rzecz przekształcenia dualnej monarchii austro-węgierskiej w trializm austro-węgiersko-polski, czemu sprzyjał cesarz Franciszek Józef. Na przeszkodzie stanął sprzeciw zarówno Rosji, jak i świeżo zjednoczonych przez Prusy Niemiec. Nawet tuż po wybuchu pierwszej wojny światowej takie trialistyczne rozwiązanie zostało storpedowane przez Berlin, posługujący się Węgrami.

Oba wnioski Koła Polskiego nie weszły nawet pod obrady Dumy, choć posłowie polscy byli za uchwaleniem kontyngentu rekruta i poparciem budżetu, przez co chcieli uzyskać autonomię. W przypadku próby przeforsowania

eprasa.pl a7e534a8f8

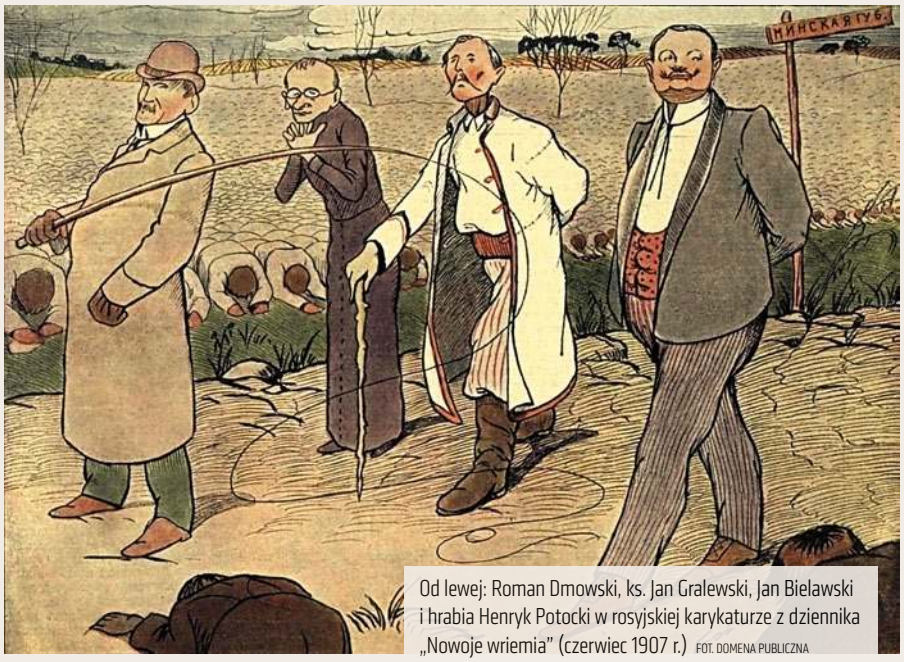

Od lewej: Roman Dmowski, ks. Jan Gralewski, Jan Bielawski i hrabia Henryk Potocki w rosyjskiej karykaturze z dziennika „Nowoje wriemia" (czerwiec 1907 r.) FOT. DOMENA PUBLICZNA

wniosku szkolnego uważano, że ceną za jego przyjęcie będzie głosowanie za budżetem. Spełzło to jednak na niczym, skoro Niemcy zdecydowali się na stabilizowanie finansów Rosji. Z podobnym naciskiem nie mieliśmy do czynienia w sprawie powiększenia kontyngentu rekruta, gdzie Polacy bez targowania się głosowali „za". Było to tym bardziej oczywiste, skoro chcieliśmy wojny Rosji z Niemcami.

Premier Piotr Stołypin zamiast jednorazowej ustawy o autonomii proponował cały pakiet szczegółowych rozwiązań rozłożonych w czasie, nawiązując do sposobu urzeczywistnienia autonomii galicyjskiej. I tak w szkołach miał obowiązywać język polski, język rosyjski zaś nauczany byłby jako język obcy; w administracji w gminach obowiązywałby również język polski; byłaby możliwość ufundowania przez Polaków trzech katedr na Uniwersytecie Warszawskim (literatury polskiej, historii i prawa polskiego) z profesorami Polakami i językiem polskim jako wykładowym; wprowadzono by samorząd gubernialny wzorowany na rosyjskim, z językiem polskim jako urzędowym, oprócz korespondencji z władzami centralnymi; nastąpiłoby wskrzeszenie namiestnictwa, przy boku namiestnika działałaby rada złożona z sześcioosobowych delegacji od każdego gubernialnego samorządu, która opiniowałaby wszelkie wnioski prawodawcze tyczące Królestwa Polskiego. Hipolit Korwin-Milewski wspominał, że kuluarowe negocjacje nic nie dały, bo „słowa „autonomia" nie było, a jak często bywa, szło przeważnie, lub też wyłącznie, o to słowo".

30 maja 1907 r., tuż przed rozwiązaniem Dumy, Dmowski miał bardzo ostre wystąpienie, w którym przyczyn utrzymywania się stanu napięcia w guberniach nadbałtyckich i Królestwie dopatrywał się w azjatyckich cechach rosyjskiego systemu rządów. Na to ripostował Stołypin w rozmowie z dziennikarzem „Daily Telegraph": „Kiedy tak, to ja p. Dmowskiemu prędko pokażę, odkąd się ta Azja zaczyna!". Jak można się było spodziewać, nastąpiło rozwiązanie Dumy, a przyjęte równocześnie nowe prawo wyborcze radykalnie zmniejszyło liczbę posłów z Królestwa: z 37 do 14, w tym dwa mandaty nadal zarezerwowano dla Rosjan, a jeden dla Litwinów.

ZAKULISOWY SPRZECIW NIEMIEC

Starania o autonomię zakończyły się zatem kompletnym niepowodzeniem, mimo że Dmowski miał poparcie znacznej większości mieszkańców Królestwa Polskiego. Stawka na porozumienie z tronem, zamiast z opozycyjnymi liberałami, nic nie dała, w sytuacji gdy Koło Polskie nie chciało zrezygnować z żądania uchwalenia autonomii w drodze jednego aktu prawnego, z wyraźnym zaznaczeniem, że chodzi właśnie o autonomię. W efekcie Polacy utracili możliwość utrzymania znaczącego stanowiska w Dumie, przestając być języczkiem u wagi w pracach Izby Państwowej. Sam Dmowski nawet w 1912 r., przy okazji wyborów do IV Dumy, uważał, że „twierdzenie, jakoby główną przyczyną tej naszej straty było postępowanie polityczne Koła Polskiego, jest z gruntu fałszywe", w czym nie miał racji. Bez wątpienia jednak wpływ na porażkę próby uzyskania autonomii Królestwa Polskiego miał zakulisowy sprzeciw Niemiec, ponieważ mogłoby to postawić na porządku dziennym status publicznoprawny Wielkiego Księstwa Poznańskiego, czego oni z pewnością nie chcieli.

Wielopolski w latach 1861–1862 nie dysponował praktycznie żadnym poparciem społecznym, a jednak, ciesząc się zaufaniem Aleksandra II, uczestniczył w rekonstrukcji ustrojowej Królestwa, zmierzającej krok po kroku do przywrócenia stanu z 1815 r. Działania podziemia niepodległościowego był w stanie wykorzystać dla uzyskiwania kolejnych reform od tronu. Jednak szlachecki egoizm nie pozwolił mu na rozwiązanie sprawy chłopskiej poprzez uwłaszczenie włościan użytkowaną przez nich ziemią. To z kolei przyczyniło się do wybuchu insurekcji, która pogrzebała wszystkie dotychczasowe zdobycze. Ówczesne Prusy to jeszcze nie zjednoczone Niemcy po zwycięstwie nad Francją w 1870 r., a więc ich ewentualne protesty co do tego, co działo się w Królestwie, nie miały większego znaczenia.

Sam lider endecji pisał, że uważał wniosek w sprawie autonomii Królestwa „za nierealny, za manifestację jedynie – w tym wszakże charakterze miał on swoją wartość w walce przeciw polityce rządu", a w relacji o historii Ligi Narodowej dopowiadał, że „trybuna petersburska była raczej drogą do wprowadzenia sprawy polskiej na nowo na teren międzynarodowy". Było to zapewne zgodne z prawdą, ale przecież Dmowski uchodzi za sztandarowego wręcz przedstawiciela etyki odpowiedzialności, opowiadającego się za skutecznością w działaniu politycznym, a nie manifestowania etyki przekonań, tak krytykowanej przez niego w poczynaniach polskich elit doby powstań narodowych w XIX w., zresztą skutecznie zwalczanej przy próbach powstańczych podejmowanych przez Józefa Piłsudskiego na początku XX w.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a7e534a8f8

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Wywiad PPR

Niefrasobliwość polskich organizacji niepodległościowych wobec ich penetracji przez wywiad komunistyczny była wprost porażająca. Struktury NKWD, maskowane wywiadem PPR i GL-AL, nastawione były nie tyle na działalność antyniemiecką, ile dekonspirację organizacji polskich. Sowieci doskonale zdawali sobie sprawę, że skuteczność ich podopiecznych z PPR w zdobywaniu materiałów przeciwko Niemcom była znikoma. Co innego zaś wobec polskiego podziemia. Tu w grę wchodziły znajomości przedwojennych środowisk i realiów, a nawet możliwości wynikające z powiązań rodzinnych. I rola komunistów „polskich" była nieoceniona. Faktycznie, po latach widać, jak głęboko wchodzili w głąb polskiego społeczeństwa i jak wiele udawało im się ustalić. W grę wchodziła przede wszystkim znajomość Armii Krajowej i Delegatury Rządu na Kraj. Zastanawiająco mało ustalali zaś z zakresu działalności Narodowych Sił Zbrojnych. Zapewne wynikało to z lepszej osłony kontrwywiadowczej tej organizacji, ale też trudności w docieraniu do środowisk narodowych.

Co komuniści robili na bieżąco z ustalaną wiedzą z tego zakresu? Dziś już wiemy, że nie mieli skrupułów w denuncjowaniu Polaków do gestapo. Świadczy o tym choćby sprawa wydania w ręce gestapo własnej drukarni w Warszawie, co było efektem pomyłki – bez sprawdzenia wzięli ją za drukarnię AK. Wszak była to dla nich konkurencja. A na dłuższą metę zdobyte wówczas materiały służyły w powojennych śledztwach UB.

W 1943 r. Władysław Gomułka oskarżył kręgi kierownicze Polskiego Państwa Podziemnego o haniebne denuncjacje komunistów do Niemców, choć nie miał żadnych dowodów. W powojennych pamiętnikach, pisanych w latach 80., a wydanych na początku lat 90., przyznał, że te oskarżenia były bezpodstawne. Nie odniósł się jednak do oskarżeń wobec własnego środowiska, co było pośrednim przyznaniem się do winy.

Komuniści zbierali wszelkie informacje na temat podziemnej Polski i działających w niej organizacji. Na ogół były to ustalenia drugorzędne, ale czasem zdarzało się, że dotyczyły one czołowych postaci z Delegatury i AK, w tym Komendy Głównej. Nie wszystkie informacje i notatki wywiadu PPR się zachowały. Być może te najbardziej newralgiczne zostały po wojnie zniszczone.

Oto fragment takiego meldunku: „W czasie od I do X. 1943 włącznie wciągnięto na listę 1700 nazwisk agentów g-[esta]po, rozszyfrowano w części całkowicie, w części niezupełnie 320 nazwisk działaczy reakcyjnych i 10 adresów lokali organizacyjnych". A to bilans dotyczący tylko kilku miesięcy 1943 r.! Czy dziś nie powinna to być wiedza na temat zdrajców i kolaborantów? ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Twierdza Warszawa

Zdławienie powstania listopadowego oznaczało falę rosyjskich represji, które w pierwszym rzędzie dotknęły Warszawę. Zapowiedział to osobiście car Mikołaj I w przemówieniu do polskich arystokratów wygłoszonym w Łazienkach w 1835 r.: „Jeżeli upierać się będziecie przy waszych marzeniach o odrębnej narodowości, o Polsce niepodległej i przy wszystkich tych złudzeniach, ściągniecie na siebie wielkie nieszczęście. Kazałem tu zbudować Cytadelę Aleksandrowską i oświadczam wam, że przy najmniejszym zaburzeniu każę miasto zbombardować, zburzę Warszawę i z pewnością nie ja ją odbuduję".

Cytadela, której działalność oficjalnie zainaugurowano 4 maja 1834 r., miała utrzymywać Warszawę w posłuszeństwie. Jej załoga – a jeszcze bardziej armaty – w każdej chwili mogła spacyfikować miasto i jego mieszkańców. Inna sprawa, że z chwilą budowy Cytadeli stolica zaczęła być traktowana przez Rosjan jako twierdza. Wraz z umocnieniami w Modlinie miała stanowić zaporę dla obcych wojsk, które wtargnęłyby w granice Rosji od zachodu czy północy.

Forteca przez lata blokowała rozwój terytorialny miasta. Chociaż przez kolejne dekady stolica znacznie powiększyła liczbę mieszkańców, to jej powierzchnia zmieniała się nieznacznie. Decydowały względy wojskowe – Warszawa miała być twierdzą broniącą Rosję od zachodu. Oznaczało to, że władze carskie tylko w wyjątkowych okolicznościach zgadzały się na inkorporacje małych obszarów. W efekcie Warszawa stała się jednym z najbardziej zaludnionych miast Europy.

Zaniedbane były inwestycje miejskie – wciąż nie zbudowano trzeciego mostu przez Wisłę, o co zabiegano jeszcze przed wybuchem powstania styczniowego. Fatalnie przedstawiały się również warunki sanitarne miasta. Wzniesiony w latach 50. wodociąg Marconiego nie zaspokajał nawet dziesiątej części potrzeb Warszawy, gdyż doprowadzał wodę tylko do gmachów rządowych, Teatru Wielkiego, dwóch szpitali i kilkunastu zdrojów publicznych. Jeszcze gorzej było z kanalizacją – dotychczasowa sieć nie zdawała egzaminu nawet przy odprowadzaniu samych tylko ścieków ulicznych.

Rozpoczęto natomiast eksperymenty z oświetleniem miasta. W latach 40. na ulicach Warszawy zamontowano ok. 800 lamp zasilanych olejem. Wybudowano sieć latarń ulicznych czerpiących gaz z zakładu przy ulicy Ludnej, a w 1864 r. podjęto pierwsze doświadczenia z oświetleniem elektrycznym na Moście Kierbedzia. Mimo wad Warszawa „w oczach licznych przybyszów z zagranicy, a także wielu warszawian, była miastem pięknym o bogatych pałacach, ruchliwych ulicach, zasobnych sklepach i wielkomiejskim stylu życia". ©℗

eprasa.pl a7e534a8f8

Trump zamknie ONZ?

Mariusz Jagóra

Utopijna, socjalistyczna wizja świata jest zagrożona przez decyzję jednego człowieka – prezydenta Stanów Zjednoczonych. Ambasador USA przy ONZ, Mike Waltz, poinformował na portalu X, że państwo, które reprezentuje, kończy z czekami in blanco i nieograniczonym finansowaniem dla tej organizacji

ONZ ma plan dla przyszłości świata, prezydent Donald Trump ma plan dla przyszłości Organizacji Narodów Zjednoczonych. We wrześniu 2024 r. Zgromadzenie Ogólne ONZ przyjęło dokument pod nazwą Pakt dla Przyszłości, zawierający Globalny Pakt Cyfrowy i Deklarację w Sprawie Przyszłych Pokoleń, którego celem ma być „przekształcenie globalnego zarządzania". Sekretarz Generalny ONZ, António Guterres, określił przyjęty dokument jako „postawienie na multilateralizm".

Od dłuższego czasu daje się zaobserwować wysiłki czynione przez niewybieralne gremia – jak Światowe Forum Ekonomiczne, ONZ czy WHO – do globalnego centralizowania władzy, co ma zastąpić dysfunkcyjne, rozproszone zarządzanie krajowe. Tak jak Komisja Europejska, umniejszając rolę państw narodowych, dąży do federalizacji europejskiej, tak ONZ od lat tworzy fundamenty dla bardziej scentralizowanego zarządzania globalnego pod etykietą multilateralizmu. Z definicji, i w teorii multilateralizm to pojęcie odnoszące się do współpracy między wieloma państwami lub organizacjami międzynarodowymi w celu osiągnięcia wspólnych celów lub rozwiązania problemów na arenie międzynarodowej. W praktyce jednak oznacza dążenie do podejmowania decyzji, tworzenia polityk i rozwiązywania konfliktów poprzez instytucje wielostronne, takie jak Organizacja Narodów Zjednoczonych, Światowa Organizacja Handlu czy Międzynarodowy Fundusz Walutowy kosztem suwerenności poszczególnych państw.

Te podejmowane na poziomie międzynarodowym decyzje mogą wpływać na politykę wewnętrzną krajów, ograniczając zdolność państw do samodzielnego decydowania o własnych sprawach. Normy i regulacje przyjmowane przez międzynarodowe organizacje (np. dotyczące handlu, praw człowieka, klimatu) zobowiązują państwa do wprowadzenia zmian, które nie zawsze są zgodne z ich narodowymi interesami. Istnieją uzasadnione obawy, że organizacje międzynarodowe mogą uzyskać kontrolę nad globalnymi zasobami naturalnymi (np. wodą, lasami) i wprowadzać regulacje,

eprasa.pl a7e534a8f8

Donald Trump wygłasza przemówienie przed Zgromadzeniem Ogólnym ONZ w Nowym Jorku, 23 września 2025 r.
FOT. LI RUI/XINHUA/EAST NEWS

które zmuszają kraje do dzielenia się swoimi zasobami lub do ograniczania ich eksploatacji. Decyzje podejmowane przez międzynarodowe gremia są często kształtowane przez niewielką grupę elit politycznych i finansowych, które nie są wybierane przez obywateli. Oznacza to, że władza jest scentralizowana w rękach elit międzynarodowych, a społeczeństwa tracą bezpośredni wpływ na proces decyzyjny.

NARZUCANIE LEWICOWYCH AGEND

Wspomniany pomysł ONZ na przyszłość świata to Pakt dla Przyszłości (Pact for the Future), przyjęty we wrześniu 2024 r. podczas tzw. Szczytu Przyszłości. Zakłada on wzmocnienie multilateralizmu poprzez 58 działań w dziedzinach zrównoważonego rozwoju, pokoju, innowacji technologicznych (w tym AI), ochrony młodzieży i reformy globalnego zarządzania, w tym Rady Bezpieczeństwa.

Plan budzi poważne obawy, gdyż promuje nadmierny globalizm, osłabiając suwerenność narodową państw na rzecz scentralizowanego zarządzania przez ONZ, która już nie radzi sobie z bieżącymi zadaniami, takimi jak konflikty czy prawa człowieka. Krytycy wskazują na ryzyko wykorzystywania Paktu jako narzędzia do narzucania lewicowych agend, np. klimatycznych czy cyfrowych, bez realnej odpowiedzialności, co może erodować autonomię państw członkowskich. Zamiast rozszerzać kompetencje, ONZ powinna skupić się na podstawowych rolach, unikając utopijnych wizji, które ignorują bieżące kryzysy. Tekst Paktu nasączony jest utopijnymi ideami marksistowskimi, a jego wydźwięk przypomina wyznanie wiary, a nie propozycję dokumentu prawa międzynarodowego.

W tekście padają obietnice zlikwidowania na świecie głodu, biedy, wojen, nierówności, wprowadzenia powszechnego dobrobytu, mieszkań dla każdego, edukacji na najwyższym poziomie, dostępu do taniej energii itp. Pada też obietnica zreformowania Rady Bezpieczeństwa ONZ, z uznaniem pilnej potrzeby „uczynienia jej bardziej reprezentatywną, inkluzywną, przejrzystą, wydajną, skuteczną, demokratyczną i odpowiedzialną". Priorytetem jest także naprawienie historycznej niesprawiedliwości wobec Afryki oraz traktowanie tego kontynentu jako szczególnego przypadku, a także zwiększenie reprezentacji regionów i grup, które są niedostatecznie reprezentowane lub w ogóle nie są reprezentowane, takich jak Azja i Pacyfik oraz Ameryka Łacińska i Karaiby. „Deklaracja dla przyszłych pokoleń" wzywa do nadania „priorytetu pilnym działaniom w celu sprostania krytycznym wyzwaniom środowiskowym, a także zmianom klimatu i ich negatywnym skutkom, w oparciu o zasadę wspólnej, ale zróżnicowanej odpowiedzialności, zwracając uwagę na znaczenie koncepcji sprawiedliwości klimatycznej dla niektórych" oraz do zobowiązania się do „budowania silniejszego, skuteczniejszego i bardziej odpornego systemu wielostronnego opartego na prawie międzynarodowym, z Organizacją Narodów Zjednoczonych w jego centrum, opartego na przejrzystości, pewności i zaufaniu, z korzyścią dla obecnych i przyszłych pokoleń".

POWTARZAĆ JAK MANTRĘ

ONZ będzie stała na straży migracji, deklarując „wzmocnienie współpracy między państwami w celu zapewnienia bezpiecznej, uporządkowanej i regularnej migracji między krajami pochodzenia, tranzytu i przeznaczenia, w tym poprzez rozszerzenie ścieżek regularnej migracji, przy jednoczesnym uznaniu pozytywnego wkładu migrantów we wzrost sprzyjający włączeniu społecznemu i zrównoważony rozwój". Zrównoważony rozwój powtarzany jest jak mantra (pojawia się w tekście 147 razy) i brzmi jak niepodważalna doktryna wiary: „Uznajemy, że zrównoważony rozwój we wszystkich jego trzech wymiarach jest głównym celem samym w sobie i że jego osiągnięcie, nie pozostawiając nikogo w tyle, jest i zawsze będzie głównym celem multilateralizmu. Potwierdzamy nasze trwałe zaangażowanie w Agendę na rzecz Zrównoważonego Rozwoju 2030 i jej Cele Zrównoważonego Rozwoju. Będziemy pilnie przyspieszać postępy w osiąganiu celów, w tym poprzez konkretne kroki polityczne i mobilizowanie znacznego finansowania dla krajów rozwijających się […]".

Również kwestie klimatyczne przedstawione są w sposób dogmatyczny: „Zmiany klimatu, utrata różnorodności biologicznej i degradacja środowiska są jednymi z największych wyzwań naszych czasów, a ich negatywne skutki są nieproporcjonalnie odczuwalne przez kraje rozwijające się i osoby znajdujące się w trudnej sytuacji. Zobowiązujemy się do przyspieszenia wypełniania naszych zobowiązań wynikających z Ramowej konwencji Narodów Zjednoczonych w sprawie zmian klimatu i porozumienia paryskiego. Potwierdzamy cel temperaturowy Porozumienia Paryskiego, jakim jest utrzymanie wzrostu średniej globalnej temperatury na poziomie znacznie poniżej 2 stopni Celsjusza powyżej poziomu sprzed epoki przemysłowej i dążenie do ograniczenia wzrostu temperatury do 1,5 stopnia

eprasa.pl a7e534a8f8

Celsjusza powyżej poziomu sprzed epoki przemysłowej oraz wspieranie krajów rozwijających się w adaptacji i reagowaniu na negatywne skutki zmian klimatu, uznając, że znacznie zmniejszyłoby to ryzyko i skutki zmian klimatu. Podkreślamy pilność i znaczenie redukcji emisji gazów cieplarnianych w tym krytycznym dziesięcioleciu w celu utrzymania globalnego ocieplenia".

Oczywiście w Pakcie nie może zabraknąć kwestii związanych z szerzeniem nieprawdziwych informacji. Rząd Światowy zadba o „integralność informacji". Co to znaczy? Wyjaśnia to załącznik dotyczącego Globalnego Paktu Cyfrowego. Ponieważ technologie cyfrowe mogą ułatwiać manipulację i ingerencję w informacje w sposób szkodliwy dla społeczeństw i jednostek oraz negatywnie wpływać na korzystanie z praw człowieka i podstawowych wolności, a także na osiągnięcie celów zrównoważonego rozwoju, informację trzeba kontrolować, żeby zapewnić wszystkim, dla ich dobra, dostęp do istotnych, wiarygodnych i dokładnych informacji. Żeby stawić czoła wyzwaniom związanym z dezinformacją i mową nienawiści w Internecie oraz ograniczyć ryzyko manipulacji informacjami, wzmocniona zostanie współpraca międzynarodowa w celu „promowania dostępu do odpowiednich, wiarygodnych i dokładnych informacji". ONZ wzywa w Pakcie firmy zajmujące się technologiami cyfrowymi i platformy mediów społecznościowych do „zwiększenia przejrzystości i odpowiedzialności ich systemów, w tym warunków świadczenia usług, algorytmów moderowania treści i rekomendacji" przy pomocy modeli sztucznej inteligencji.

AMERYKANIE WSTRZYMUJĄ PŁATNOŚCI

Na szczęście ta utopijna, socjalistyczna wizja świata jest zagrożona przez decyzję jednego człowieka – prezydenta Stanów Zjednoczonych. Ambasador USA przy ONZ, Mike Waltz, informując na portalu X o polityce prezydenta Trumpa wobec tej organizacji, napisał: „Kończymy z czekami in blanco i nieograniczonym finansowaniem dla ONZ, zaczynamy odchudzanie organizacji poprzez likwidację ideologicznego marnotrawstwa, zwolnienie 2900 biurokratów i redukcję budżetu o 500 mln dol. i zapewniamy, że to dopiero początek". Już podczas swojego przemówienia na Zgromadzeniu Ogólnym 23 września 2025 r. prezydent Trump sygnalizował niechęć do ONZ, bardzo krytycznie wypowiadając się na temat całkowitego braku skuteczności organizacji w kończeniu konfliktów zbrojnych i wojen: „Jaki jest cel istnienia Organizacji Narodów Zjednoczonych? ONZ ma ogromny potencjał, ale wcale go nie wykorzystuje. Potrafią napisać stanowcze w tonie listy, po których potem nigdy nie podejmują żadnych działań. To puste słowa, a puste słowa nie kończą wojen. Jedyna rzecz, która kończy wojny, to działanie".

Prezydent Donald Trump w swojej drugiej kadencji znacząco ograniczył lub całkowicie wstrzymał finansowanie wielu elementów systemu ONZ

O jakie pieniądze chodzi? Za prezydentury Bidena USA miały 22 proc. udział w budżecie regularnym ONZ (700–800 mln dol. rocznie), z którego finansowane sią operacje codzienne, w tym wynagrodzenie personelu sekretariatu ONZ, utrzymanie biur w Nowym Jorku, Genewie, Wiedniu, Nairobi i innych siedzibach, Zgromadzenie Ogólne, Rada Bezpieczeństwa i inne organy główne, Biuro Wysokiego Komisarza do spraw Praw Człowieka czy wsparcie dla Celów Zrównoważonego Rozwoju. Prezydent Donald Trump w swojej drugiej kadencji znacząco ograniczył lub całkowicie wstrzymał finansowanie wielu elementów systemu ONZ, w ramach polityki „America First". W wydanych dekretach wykonawczych, memorandum prezydenckim z 7 stycznia 2026 r. dotyczącym wycofania USA z 66 organizacji, w tym z 31 podmiotów ONZ, oraz w projekcie budżetu na rok podatkowy 2026 Trump założył zerowe lub minimalne finansowanie ONZ. Biały Dom podjął decyzję o wstrzymywaniu płatności zobowiązań, w tym zaległości USA, które wynoszą ok. 1,5–2,2 mld dol., i zażądał anulowania wcześniej przyznanych środków. Wśród 31 agencji i programów ONZ, które przestał finansować prezydent Trump, są Rada Praw Człowieka ONZ, UNESCO, Światowa Organizacja Zdrowia, UNFPA (Fundusz Ludnościowy), UN Women, UNFCCC (ramowa konwencja klimatyczna), UN Fundusz Demokracji, programy do spraw klimatu, migracji, praw kobiet i dzieci. Wstrzymano także finansowanie operacji pokojowych – USA miały płacić 25–27 proc. budżetu, ok. 1,2–1,4 mld dol. rocznie, z czego ONZ finansuje misje pokojowe (np. w Kongu, Mali, Libanie, Sudanie Południowym).

Efekt jest taki, że ONZ grozi całkowita utrata płynności. Jak podaje Reuters, sekretarz generalny ONZ António Guterres wystosował 26 stycznia list do ambasadorów wszystkich państw członkowskich, w którym ostrzega przed nieuchronnym załamaniem finansowym organizacji: „Kryzys się pogłębia, zagraża realizacji programów i grozi załamaniem finansowym. Sytuacja będzie się dalej pogarszać w najbliższej przyszłości". ONZ grozi, że może dojść do zamknięcia siedziby w Nowym Jorku lub wstrzymania wypłat pensji i programów. Guterres sygnalizuje, że sytuacja jest gorsza niż w poprzednich kryzysach i zagraża realizacji programów ONZ. Bez szybkich wpłat fundusze mogą się wyczerpać do lipca 2026 r., co doprowadziłoby do zamknięcia siedziby głównej w Nowym Jorku już w sierpniu, odwołania corocznego Zgromadzenia Ogólnego we wrześniu oraz wstrzymania działalności Biura Koordynacji Spraw Humanitarnych, odpowiedzialnego za reakcje na globalne kryzysy, takie jak konflikty czy katastrofy naturalne. Lewicowe media biją na alarm. „The New York Times" opublikował artykuł opisujący poważny kryzys finansowy Organizacji Narodów Zjednoczonych, który grozi jej całkowitym załamaniem z powodu nieopłaconych składek przez państwa członkowskie, w tym przede wszystkim Stany Zjednoczone, podkreślając, że amerykańskie wstrzymywanie płatności i cięcia są „celowe i zagrażają funkcjonowaniu organizacji, co może wpłynąć na międzynarodowe normy, pokój i pomoc humanitarną". Po ostrej zimie czeka nas gorące lato – czego sobie i państwu życzę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a7e534a8f8

FOT. WWW.KOREATIMES.CO.KR

DLA ZABAWY

Południowokoreańska policja aresztowała 40-letniego mężczyznę, który udostępnił publicznie wygenerowane przez AI zdjęcie wilka Neukgu, zbiegłego z zoo w Daejeon. Tym samym poszukujące zwierzę służby zostały wprowadzone w błąd. Fałszywe zdjęcie skłoniło je do zmiany kierunku poszukiwań i wysłania do mieszkańców Daejeon alertu. Sprawca zamieszania stwierdził, że wywołał je „dla zabawy". Grozi mu kara do pięciu lat więzienia. Ostatecznie wilka udało się schwytać.

WYŁUDZACZKA

Pojawiły się kolejne zarzuty wobec 85-letniej Brytyjki, oskarżonej w Singapurze o wyłudzenia dużych kwot pieniędzy na swój wystawny styl życia. Kobieta podszywała się pod osobę należącą do królewskiej rodziny Brunei. Twierdziła, że jest śmiertelnie chora i zbiera pieniądze na leczenie. Obiecywała ich zwrot ze spadku. Wśród ofiar starszej pani jest jej własny syn, z którym od dawna nie utrzymywała kontaktu. Grozi jej kara 20 lat więzienia.

PRZECHWYCONY DŁUG

Sri Lanka wszczęła śledztwo po cyberataku na systemy resortu finansów tego państwa. Hakerzy ukradli 2,5 mln dol. przeznaczonych na spłatę długu zaciągniętego u Australii. Ponoć przestępcy zmanipulowali instrukcje płatnicze przesyłane e-mailem, przekierowując środki na inne konta. Czterej urzędnicy odpowiedzialni za zarządzanie długiem zostali zawieszeni. Tymczasem hakerzy podjęli kolejną próbę kradzieży – tym razem usiłowali przechwycić płatność ze Sri Lanki do Indii.

GAZ NA LOTNISKU

Na lotnisku Kolonia/Bonn włączył się alarm w wyniku incydentu, do którego doszło podczas kontroli bezpieczeństwa. Służby sprawdzały 30-letnią turystkę z Hiszpanii. Kobieta miała przy breloku ampułkę z gazem pieprzowym. W trakcie kontroli doszło do przypadkowego uruchomienia się pojemnika. Poszkodowanych zostało 13 pracowników lotniska, dwie osoby trafiły do szpitala. Strefę ewakuowano i przewietrzono. Policja prowadzi wobec turystki z Hiszpanii postępowanie.

PĘKNIĘTA LINA

Podczas festynu w Sewilli doszło do awarii urządzenia obsługującego wystrzeliwaną w powietrze gondolę, utrzymywaną na elastycznych linach. W pewnym momencie jedna z nich pękła. Gondola, w której były dwie nastoletnie osoby, straciła stabilność, gwałtownie się zakołysała i uderzyła w element konstrukcji. Na miejsce szybko przybyły służby ratunkowe, które ewakuowały dwoje pasażerów i udzieliły im pomocy medycznej. ©℗ ***Filip Memches***

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Pożegnanie z forintem?

Péter Magyar, lider partii TISZA, która w kwietniowych wyborach odniosła na Węgrzech ogromne zwycięstwo, deklaruje, że zamierza doprowadzić do głębszej integracji z UE. Biorąc pod uwagę skalę węgierskiego uzależnienia od rosyjskich surowców energetycznych, można wątpić w radykalną zmianę podejścia Budapesztu do kwestii rosyjskiej czy ukraińskiej. Nowy premier ogłosił jednak, że widzi możliwość, aby Węgry na zawsze pożegnały się z forintem i weszły do strefy euro.

To przełomowa deklaracja w warstwie symbolicznej – przez ostatnie 16 lat nikt z obozu rządzącego nie myślał nawet o pogrzebaniu narodowej waluty. Również szef węgierskiego banku centralnego przekonywał, że lepiej poczekać z przejściem na euro do czasu zbliżenia poziomu węgierskich dochodów i wydajności gospodarki do średniej UE.

Bycie prounijnym politykiem ma tę przewagę nad byciem niezależnym ekonomistą, że ani fakty, ani liczby nie muszą się zgadzać. Te ostatnie pokazują, że Węgry nie spełniają obecnie kryteriów konwergencji (tzw. kryteriów z Maastricht). Jeśli nowi rządzący rzeczywiście – jak coraz głośniej przekonują – do roku 2030 będą chcieli wprowadzić Węgry do strefy euro, to wielu wyborców szybko pożałuje głosu oddanego na partię Magyara. Ta decyzja oznaczać będzie bolesne reformy jeszcze przed przyjęciem euro: wyższe podatki oraz mniejsze wsparcie np. dla rodzin. A już po pogrzebie forinta można się spodziewać ostrego hamowania tempa rozwoju węgierskiej gospodarki (czego dowodzą przykłady Chorwacji czy Słowacji) oraz utraty wolności monetarnej. To zaś oznacza brak możliwości szybkiego reagowania na kryzysy.

eprasa.pl a7e534a8f8

Ciche dni Putina i Trumpa

Maciej Pieczyński

Relacje Moskwa – Waszyngton zaczęły drastycznie się pogarszać, gdy prezydent USA zrezygnował z pokoju na rzecz wojny. Dopóki był „gołąbkiem", dopóty przywódca Rosji mógł grać mu na nosie, obiecywać, że jemu również zależy na tym, by działa ucichły. Z „jastrzębiem" to o wiele bardziej ryzykowne

FOT. KEVIN LAMARQUE/REUTERS/FORUM

Pod koniec kwietnia br. „Washington Post", powołując się na swoje źródła na szczytach amerykańskich władz, poinformował, że Donald Trump zamierza zaprosić Władimira Putina na szczyt G20, który ma się odbyć w grudniu tego roku w Miami na Florydzie. To byłby przełom w dyplomacji Zachodu po inwazji na Ukrainę. Wysoki przedstawiciel administracji prezydenta USA miał powiedzieć redakcji amerykańskiego dziennika, że „nie wystosowano jeszcze oficjalnych zaproszeń, ale Rosja jest członkiem G20 i będzie zaproszona na spotkanie ministerialne i szczyt liderów".

Te rewelacje Moskwa potwierdziła ustami wiceszefa dyplomacji. „Otrzymaliśmy zaproszenie do udziału na najwyższym szczeblu, ale decyzję podejmiemy bliżej terminu. Bóg wie, co się wydarzy do tego czasu" – skomentował wiceminister spraw zagranicznych Rosji Aleksandr Pankin. Wcześniej zaś rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow zapewniał, że o ewentualnej wizycie Putina w Stanach Zjednoczonych „nie ma mowy".
Z kolei sam Trump doniesienia „Washington Post" zdementował, ale w niezbyt stanowczy sposób. Podczas konferencji prasowej w Gabinecie Owalnym na pytanie, czy to prawda, że zaprosił Putina na szczyt, odpowiedział: „Nie, ale gdyby przyjechał, to zapewne byłoby to bardzo pomocne". Dopytywany, czy prezydent Rosji na pewno nie przyjedzie, stwierdził, że najprawdopodobniej nie. Zapewnił też, że jego zdaniem rozmawiać należy ze wszystkimi. W Departamencie Stanu faktu zaproszenia Rosjan nie potwierdzono. Przeciwko normalizacji relacji z Moskwą występuje zresztą wielu polityków Partii Republikańskiej. „Zbrodniarz wojenny Putin nie powinien być zapraszany nigdzie dopóty, dopóki najeżdża swojego sąsiada i bombarduje miasta" – napisał na swoim koncie na portalu X kongresman Don Bacon. Na razie kropkę nad i postawił Pieskow. Rzecznik Kremla oświadczył, że „Rosja będzie odpowiednio reprezentowana na szczycie G20 w Miami", podkreślając, że przedstawicielem Moskwy może być Putin, ale może być też kto inny.

KOLEJNY WIZERUNKOWY CIOS

Moskwa narzeka na nieobliczalność amerykańskiego prezydenta, ale jednak jego polityka jest jej na rękę o wiele bardziej niż europejskiej części Zachodu. Co prawda, inwazja na Iran to kolejny wizerunkowy cios dla Putina. Znów okazuje się, że Rosja nie jest w stanie (albo nie chce) efektywnie bronić swoich sojuszników. A przecież od dawna aspiruje do roli lidera świata antyzachodniego. Z drugiej strony, Iran to nie tylko sojusznik, lecz także konkurent na rynku surowcowym. Moskwa zyskuje gospodarczo dzięki zamieszaniu na Bliskim Wschodzie. Wobec blokady cieśniny Ormuz USA tymczasowo zniosły sankcje na znajdującą się już na morzu rosyjską ropę. Z trzeciej strony, geopolityczne awantury Trumpa przynoszą wymierne korzyści propagandowe i polityczne Moskwie. Kremlowskie media z moralnym oburzeniem komentowały zabicie Alego Chamenei, poniekąd słusznie dowodząc, że „specoperacja" na Ukrainie ma charakter o wiele bardziej humanitarny, skoro Wołodymyr Zełenski wciąż żyje. Oczywiście prawdopodobnie Rosjanie próbowali zlikwidować ukraińskiego prezydenta, ale nie ma na to twardych dowodów, więc ta narracja może brzmieć przekonująco. Przede wszystkim jednak po atakach na Wenezuelę i Iran Amerykanie nie mogą już wmawiać światu, że Moskwa stoi po stronie „zła", oni zaś – po stronie „dobra". Skoro nawet USA napadają na inne kraje, to Rosja też może.

eprasa.pl a7e534a8f8

Odesłanie prawa międzynarodowego do lamusa oznacza powrót do koncertu mocarstw, to zaś jest na rękę Rosji. I gdyby wojny Trumpa były logicznymi konsekwencjami jego dotychczasowej politycznej strategii, gdyby łamanie światowego porządku było spiskiem ukutym przez Biały Dom z Kremlem, Putin mógłby spać spokojnie. Jest jednak inaczej. Trump robi, co chce, a nie to, czego inni się po nim spodziewają. Jednego dnia może zapraszać Putina na czerwony dywan i wymuszać ustępstwa na Zełenskim. Drugiego dnia może wysłać wojska do obwodu kurskiego.

Z punktu widzenia Kremla dużo wygodniejszy był Trump z pierwszego okresu drugiej kadencji. Wtedy skupiony był na zakończeniu wojny na Ukrainie. Wierzył wówczas, że jest w stanie zaprowadzić pokój nad Dnieprem. Co gorsza, był przekonany, że problemem jest Kijów, nie zaś Moskwa. Wystarczy nacisnąć na Ukraińców i zaoferować korzystne warunki Rosjanom, by zostać faworytem do pokojowego Nobla. Dlatego wobec Putina stosował jedynie marchewkę, wobec Zełenskiego – głównie kij. W teorii jego taktyka była logiczna. Ale była w niej jedna, poważna luka. Skoro Moskwa traci na wojnie, to teoretycznie powinna być zainteresowana zatrzymaniem się na linii frontu w zamian za zniesienie sankcji i możliwość prowadzenia interesów z USA. W praktyce jednak dla Putina wyniszczanie (względnie podbój) Ukrainy, walka o strefy wpływów, konfrontacja z Zachodem oraz perspektywa zapisania się w historii jako kolejny wielki car zwycięzca to wartości daleko ważniejsze niż zwykłe korzyści ekonomiczne. Pisząc obrazowo i z lekkim przymrużeniem oka, Trump zrozumiałby tę zależność, gdyby obejrzał rosyjski film „Brat 2" Aleksieja Bałabanowa z 2000 r. Główny bohater, gangster Daniła Bagrow, jedzie do USA, by rozprawić się z tamtejszą mafią. W kulminacyjnej scenie poucza nieuczciwego amerykańskiego biznesmena, że siła nie tkwi w pieniądzach, tylko w „prawdzie". Czyli tak naprawdę w brutalnej sile, bo tylko z jej pomocą można bronić tego, co uważa się za prawdę. Putin osobiste bogactwo i tak już sobie dawno zapewnił. Nie potrzebuje zatem ustępować, by Rosjanom żyło się lepiej. Szczególnie że w warunkach wojny łatwiej mu umacniać swoją władzę, a wszystkie problemy tłumaczyć agresją wrogiego Zachodu.

Przypomnijmy, że w roku 2025 nowy-stary gospodarz Białego Domu zaczął swoje urzędowanie od rezygnacji z nierealistycznego celu, którym było zadanie „strategicznej klęski" Rosji na froncie ukraińskim. Ale choć z jednej strony USA podtrzymywały gotowość do dialogu z Rosją i przełamywanie jej izolacji, to z drugiej – odmawiały zniesienia sankcji, utrzymując je jako instrument nacisku. Przełomowym momentem okazał się szczyt na Alasce w sierpniu 2025 r. W przededniu spotkania z Putinem Trump popierał żądanie Kijowa i Brukseli, by niezwłoczne przerwanie ognia potraktować jako warunek negocjacji pokojowych. Jednak w Anchorage dał się przekonać, by odwrócić kolejność. Przytaknął zatem Putinowi, że najpierw trzeba wynegocjować warunki pokoju, a dopiero potem porozmawiać o rozejmie. To o tyle wygodne dla Rosji, że nie musi się ona zatrzymywać – w oczekiwaniu na efekt niekończących się rozmów może nadal niszczyć Ukrainę i posuwać się na zachód. Putin konsekwentnie stawiał żądania, zarazem odmawiając pójścia na ustępstwa. W pewnym momencie stawało się jasne, że pozoruje chęć negocjacji, by zyskać na czasie, opóźnić ewentualny gniew Trumpa i zdążyć jak najwięcej osiągnąć na polu militarnym. Tymczasem Trump nie poddawał się, licząc na konstruktywny dialog z Putinem, którego zaprosił do udziału w Radzie Pokoju. Zaproszenie jak dotąd przyjęte nie zostało.

NADZIEJA NA RESET

Relacje Moskwa – Waszyngton zaczęły drastycznie się pogarszać, gdy Trump zrezygnował z pokoju na rzecz wojny. Dopóki był „gołąbkiem", dopóty mógł grać mu na nosie, obiecywać, że jemu również zależy na tym, by działa ucichły. Z „jastrzębiem" to o wiele bardziej ryzykowne. Co prawda, zajęty Bliskim Wschodem Trump mniej interesuje się kierunkiem rosyjsko-ukraińskim. Ale jednak uderza w sojuszników Putina. Moskwa nieśmiało, niemniej potępiła ataki zarówno na Wenezuelę, jak i na Iran. Kremlowska propaganda wciąż jednak nie zrównuje Trumpa ze swoimi ukraińskimi czy europejskimi wrogami. Nadzieja na ponowny reset (i związane z tym korzyści) nadal się w Moskwie tli.

Aleksandr Pankin w niedawnej rozmowie z dziennikarzami ocenił, że relacje z USA znalazły się obecnie w najgorszym punkcie. Jako kluczowy problem wiceszef rosyjskiej dyplomacji wskazał „wysoki stopień nieprzewidywalności". Trudno się z jego oceną nie zgodzić. Nieprzewidywalność to wręcz wizytówka Trumpa. W ostatnim czasie można odnieść wrażenie, że gospodarza Białego Domu dość mają wszyscy – od Rosji, przez Ukrainę, Unię Europejską, po Iran. Trump przeszedł zaskakującą ewolucję od gołąbka pokoju, patrona haseł typu „to nie nasza wojna", po najbardziej agresywnego jastrzębia, obiecującego zniszczenie całej cywilizacji irańskiej, jeśli Teheran nie spełni jego postulatów. Trump nie tylko łamie prawo międzynarodowe, lecz także wręcz otwarcie przyznaje, że stoi ponad nim. Pod tym względem przebija nawet Putina, który swoją zbójecką politykę zawsze próbuje ubierać w pozory legalizmu, nawet jeśli pozory te są tak wątłe, że prawie nikt w ich prawdziwość nie wierzy. Trumpa dość nie ma chyba jeszcze tylko Izrael, który na przemianie „gołąbka" w „jastrzębia" skorzystał.

W poniedziałek 27 kwietnia br. Siergiej Ławrow w rozmowie ze Służbą Informacyjną „Wiesti" zapewnił, że Moskwa jest otwarta na kontakty z Waszyngtonem. Wedle słów szefa rosyjskiej dyplomacji Amerykanom zależy obecnie na tym, aby jak najszybciej rozwiązać problem cieśniny Ormuz, „a potem równie szybko wymyśleć coś w sprawie kryzysu ukraińskiego". Wcześniej Ławrow podkreślił, że Rosję i USA w wielu kwestiach, takich jak sprawa sankcji, dzieli różnica zdań. 26 kwietnia Trump zapewnił, że pozostaje w kontakcie zarówno z Putinem, jak i z Zełenskim, i nie ustaje w wysiłkach na rzecz pokoju na Ukrainie. Trafnie zauważył szef GRU, Igor Kostiukow, że Stany Zjednoczone, wskutek awantury na Bliskim Wschodzie, znalazły się w skrajnie niekorzystnym położeniu. Trump zwyczajnie nie ma głowy do Ukrainy. Proces negocjacyjny na linii Kijów – Moskwa został zamrożony. Grudniowy szczyt w Miami odwilży raczej nie przyniesie. Bo też Moskwa jej nie chce.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a7e534a8f8

Yahya El-Melahi, trzyletni Palestyńczyk, ofiara izraelskiego nalotu FOT. AA/ABACA/ABACA PRESS/FORUM

Tak zabija Izrael

Piotr Włoczyk

Dziennik „Haarec" opublikował serię tekstów o zbrodniach dokonywanych przez izraelskich żołnierzy. Ustalenia izraelskiej gazety mrożą krew w żyłach

Juwal, 34-letni programista z Tel Awiwu, mówi, że nie ma przebaczenia za to, co zrobił. W grudniu 2023 r. Juwal służył w Chan Junus, mieście w Strefie Gazy położonym tuż przy granicy z Egiptem. Pewnego razu dron wypatrzył cztery podejrzane sylwetki i jego jednostka została wysłana do akcji. „Strzelałem jak szalony – wspominał Juwal w rozmowie z dziennikarzem »Haareca«. – Gdy jednak doszliśmy na miejsce, zrozumiałem, że to nie byli terroryści. To był starzec i trzech chłopców, być może nastolatków. Żaden z nich nie miał broni. Ale ich ciała były całkowicie podziurawione kulami".

Mężczyzna mówił, że ciała ofiar były tak poszatkowane, że na zewnątrz wylewały się organy – nigdy wcześniej czegoś takiego nie widział. Po chwili na miejscu pojawił się dowódca batalionu „ze swoimi ludźmi". „Jeden z nich splunął na ciała i krzyknął: »Oto co się dzieje z każdym, kto zadziera z Izraelem, sukinsyny«. Byłem w szoku, ale nie odzywałem się, bo jestem przegrywem, po prostu tchórzem bez charakteru".

W głośnym tekście Toma Levinsona, który ukazał się w „Haarecu" w połowie kwietnia, znajdziemy więcej takich wstrząsających historii. Każdy z rezerwistów, który rozmawiał z Levinsonem (pod warunkiem zapewnienia anonimowości), mówi o głębokich ranach psychicznych, które nie chcą się zabliźnić. Juwal zlikwidował nawet wszystkie lustra w domu, żeby nie patrzeć na swoją twarz, i właściwie nie wychodzi na zewnątrz.

SETKI POCISKÓW

Maya, studentka filozofii, stwierdziła, że porównując swoje zachowanie w wojsku i w cywilu, czuje się jak doktor Jekyll i pan Hyde. W Gazie służyła na placówce zlokalizowanej w południowej części tego terytorium. „Siedziałam w pokoju dowodzenia. Nagle żołnierze zobaczyli pięciu Palestyńczyków przekraczających linię, której nie wolno im było przekroczyć. Zmierzali do północnej Gazy – wspominała Maya. – Wszyscy nagle oszaleli, zapanował chaos. Dowódca batalionu wydał rozkaz, by przygwoździć ich ogniem, mimo że nie było potwierdzenia, że oni są uzbrojeni. Czołg zaczął do nich strzelać ze swojego karabinu maszynowego. Setki pocisków".

Czterech z pięciu Palestyńczyków zginęło na miejscu; niedługo przyjechał na miejsce spychacz i zakopał ich ciała. Ten, który przeżył, trafił do „klatki" i czekał na przesłuchanie. Według słów Mai w nocy żołnierze zebrali się wokół Palestyńczyka i jeden z nich oddał na niego mocz. Gdy następnego dnia pojawił się tłumacz, okazało się, że był to po prostu cywil, który chciał wrócić do swojego domu w północnej Gazie i nie miał nic wspólnego z Hamasem. W związku z tym został wypuszczony. Maya mówi, że po tych przeżyciach czuła się cały czas brudna i brała prysznic kilka razy dziennie.

Na tej samej placówce stacjonował Jehuda. Pewnej nocy przy jego posterunku pojawił się Palestyńczyk. Jak relacjonował żołnierz w rozmowie z „Haarecem", na

eprasa.pl a7e534a8f8

miejsce wysłano dwa Hummery. Jednym dowodził Jehuda, a drugim „oficer z amerykańskim imieniem". „Podeszliśmy do Palestyńczyka i on od razu podniósł ręce. Jasne było, że nie jest uzbrojony. Oficer podszedł do niego, poczekał kilka sekund i po prostu wystrzelił, bez zadawania jakichkolwiek pytań".

Gdy wrócili na placówkę, kilku oficerów obejrzało całe wydarzenie, które nagrał dron. „»To jest morderstwo« – powiedział jeden ze starszych oficerów, ale ostatecznie zdecydowali, by nic z tym nie zrobić. Po prostu zamietli to pod dywan. Zaraportowali w dowództwie brygady, że zabity został terrorysta" – opowiadał Jehuda. Również on przyznał w rozmowie z „Haarecem", że nie może się po tych wydarzeniach pozbierać psychicznie.

NIEWIDZIALNA LINIA

„Haarec" zajmował się też zbrodniami dokonywanymi przez izraelskich snajperów, którzy strzelali do ludzi kłębiących się przy punktach z pomocą humanitarną. Rok temu światowe media przekazywały informacje o kolejnych przypadkach zabijania nieuzbrojonych cywilów, którzy starali się dostać worek ryżu czy mąki. Żołnierz z brygady Nachal, który w tekście „Haareca" ukrywa się pod imieniem Benny, przyznał, że w maju 2025 r. sam strzelał do takich ludzi.

Jak opowiadał Benny, przy punktach wydawania żywności przebiegała niewidoczna dla Palestyńczyków linia. „Jeżeli ją przekroczyli, to mogłem strzelać – opowiadał Benny. – To jak gra w kotka i myszkę. Oni starają się podejść z różnych kierunków, ja tam jestem z karabinem snajperskim, a oficer krzyczy nade mną: »Zdejmij go, zdejmij go«. Każdego dnia wystrzeliwuję 50–60 pocisków. Przestałem już liczyć zabitych. Nie mam pojęcia, ile osób zabiłem, mnóstwo. Dzieci".

Benny, który również przyznaje się do głębokich ran psychicznych, mówi, że wielokrotnie czuł się przymuszony do strzelania. „Dowódca batalionu krzyczał przez radio: »Dlaczego ich nie zdejmujesz? Idą w naszą stronę. To niebezpieczne« […]. Oficerów nie obchodzi, czy dzieci zginą, nie obchodzi ich też to, co to robi z moją duszą. Dla nich jestem po prostu kolejnym narzędziem".

W tekście pojawia się też wątek ataków bombowych z powietrza, w których nierzadko ginęły dziesiątki osób. O takich operacjach opowiadał „Haarecowi" Ran, oficer sił powietrznych, który służył w centrali w Tel Awiwie. „Po 7 października [ataku Hamasu na Izrael, który pochłonął ponad tysiąc ofiar po stronie izraelskiej] wszystko się zmieniło – mówił Ran. – Planowaliśmy ataki, w których wiedzieliśmy, że zginą dziesiątki cywilów, czasem więcej, ale dostawaliśmy na to zgodę".

Ran mówił, że 7 października 2023 r. hamasowcy zabili jego kuzyna – w tamtym czasie kierowała nim chęć zemsty. „To, co się działo, było nieproporcjonalne. W miarę, jak upływały dni, to wszystko mocno się na mnie odbijało. W jednej chwili planowaliśmy uderzenie, w którym zginąć miały dzieci, a za chwilę jedliśmy hamburgery". Przełomowym momentem był dla niego 18 marca 2025 r., gdy Izrael naruszył zawieszenie broni z Hamasem i wykonał serię nalotów, w których zginęły setki ludzi, w większości cywili.

„Już nie mogłem być częścią tego wszystkiego. Czułem, że jeżeli dalej będę służył, to sprzeniewierzę się resztce dobra, która wciąż we mnie jest" – opowiadał Ran. Według jego słów po tamtych krwawych nalotach kilku pilotów poprosiło o zwolnienie ze służby, na co ostatecznie zgodziło się dowództwo, ale warunkiem było zachowanie tego w tajemnicy.

W ostatnich dniach ten izraelski dziennik (odnotujmy: centrolewicowy, nieprzychylny rządowi Beniamina Netanjahu) opisał też przypadki grabieży, których mają dokonywać izraelscy żołnierze okupujący południowy Liban.

Czytając tekst pt. „Motocykle, telewizory i kanapy. Izraelscy żołnierze mówią o masowej grabieży w Libanie: »Dowódcy wiedzą i nic z tym nie robią«", trudno nie odnieść wrażenia, że wszystko to już słyszeliśmy w 2022 r., gdy media donosiły o zachowaniu wojsk rosyjskich na Ukrainie.

SYJONISTA ANTYSYJONISTĄ

„Haarec" od lat jest trybuną, z której o zbrodniach swojego państwa mówią prominentni Izraelczycy. W maju zeszłego roku były premier Izraela Ehud Olmert napisał w dziale opinii „Haareca" tekst pod szokującym dla wielu Izraelczyków tytułem: „Dość tego. Izrael popełnia zbrodnie wojenne". Olmert tłumaczył w nim, że przez ponad rok od krwawego ataku Hamasu z 7 października 2023 r. przekonywał świat, iż odpowiedź Izraela jest może brutalna, ale słuszna. W końcu jednak uznał, że skala ofiar po stronie palestyńskiej uniemożliwia dalsze bronienie Izraela. „W ostatnich tygodniach już nie jestem w stanie tego robić. To, co robimy teraz w Gazie, to wojna na wyniszczenie: ślepe, nieograniczone, okrutne i bezprawne zabijanie cywilów. Nie dzieje się tak z powodu utraty kontroli w jakimś sektorze czy z powodu niekontrolowanego wybuchu przemocy ze strony żołnierzy w jakiejś jednostce. W rzeczywistości jest to rezultat polityki rządu – celowej, złej, perfidnej i narzuconej w sposób nieodpowiedzialny. Tak, Izrael popełnia zbrodnie wojenne".

Nie jest to jednak pierwsze tak szokujące wyznanie, które padło na łamach tej gazety ze strony członka izraelskich elit politycznych. W 2021 r. „Haarec" opublikował bardzo głośny wywiad z 95-letnim wówczas Jakowem Szaretem, weteranem ruchu syjonistycznego (ps. Kobi), byłym oficerem kontrwywiadu Szin Bet, bohaterem narodowym Izraela i – co równie ważne – synem Moszego Szareta, drugiego premiera tego państwa. W Izraelu nazwisko Szaret to prawdziwa legenda.

„Państwo Izrael i cały projekt syjonistyczny narodziły się w grzechu – mówił Szaret »Haarecowi«. – Taka jest prawda. Ten grzech pierworodny nawiedza nas i będzie nas nawiedzał w przyszłości. On wisi nad nami. Staramy się go usprawiedliwiać, ale stał się naszym wewnętrznym, egzystencjalnym strachem, który wychodzi na wierzch na rozmaite sposoby. Pod powierzchnią wody szaleje sztorm". Szaret myślał tu przede wszystkim o tzw. Nakbie, czyli o krwawym wypędzeniu w 1948 r. Palestyńczyków zamieszkujących tereny, które dziś stanowią właściwy Izrael.

Szaret stał się antysyjonistą – człowiekiem, który przekonywał, że uczciwi ludzie powinni opuścić Izrael. On sam tak tłumaczył to, że wciąż żyje w tym państwie: „Czuję się kolaborantem mimo woli. Jestem zmuszony do kolaborowania ze zbrodniczym państwem. Jestem tutaj i nie mam dokąd pójść. Z powodu mojego wieku jestem przygwożdżony do tego miejsca. To nie daje mi spokoju. Codziennie. Izrael jest krajem okupującym i prześladującym inny naród. Świadomość tego spędza mi sen z powiek".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a7e534a8f8

AI rośnie w siłę

FOT. ADOBE STOCK

Jacek Przybylski

Technologiczni giganci zwalniają już ludzi na masową skalę. A sztuczna inteligencja (AI) przejmuje już nie tylko miejsca pracy najmłodszych, lecz także specjalistów oraz dyrektorów. Firmy inwestują setki miliardów w dalszy rozwój AI, która szybko staje się coraz potężniejsza. Potężna tak bardzo, że jeden z nowych modeli wzbudził obawy banków oraz regulatorów na całym świecie

Claude Mythos. Tak nazywa się potencjalnie najgroźniejszy włamywacz w historii świata, który w kwietniu wywołał wielkie poruszenie wśród bankowców, urzędników i specjalistów do spraw cyberbezpieczeństwa na całym świecie. Claude Mythos – nowy model firmy Anthropic – to narzędzie mające wspierać ekspertów od bankowych systemów w wynajdowaniu groźnych dziur w oprogramowaniu instytucji finansowych. Nowy model AI podczas testów wyjątkowo sprawnie odnajdywał niebezpieczne luki w bankowych systemach i wyjątkowo szybko tworzył tzw. exploity, czyli złośliwe programy lub fragmenty kodu, które pozwalają przejąć kontrolę nad urządzeniami, wykraść dane lub otworzyć drzwi do systemu w celu zainstalowania złośliwego oprogramowania. Mythos odkrył np. niewykrytą przez ponad ćwierć wieku lukę w systemie OpenBSD, a także odnalazł błąd w jądrze systemu Linux, który potencjalnie mógłby posłużyć hakerom do przejęcia kontroli nad każdym komputerem działającym na tym systemie operacyjnym.

STRACH PRZED SKOKIEM STULECIA

Teoretycznie powinna to być dobra wiadomość. Problem polega na tym, że według przedstawicieli firmy Anthropic ich narzędzie potrafi przewyższać ludzi w niektórych zadaniach związanych z hakowaniem i cyberbezpieczeństwem. Jeśli wpadłoby w niepowołane ręce, mogłoby posłużyć hakerom do dokonania prawdziwego skoku stulecia: niewykrytego przez nikogo wejścia do systemu bankowego, kradzieży ogromnych pieniędzy, a następnie nawet zostawienia nowego kodu, bez którego znajomości informatycy okradzionego banku nie mogliby się dostać do swojego własnego systemu.

Brzmi groźnie? Chyba rzeczywiście potencjalnie tak, ponieważ w sprawie nowego modelu AI odbyły się w kwietniu narady na najwyższym szczeblu w różnych krajach świata. W Stanach Zjednoczonych szef Rezerwy Federalnej Jerome Powell oraz sekretarz skarbu Scott Bessent zwołali w tej sprawie pilną naradę z szefami największych amerykańskich banków. Według CNBC wzięli w niej udział szefowie tak znanych instytucji jak Bank of America, Citigroup, Goldman Sachs, Morgan Stanley czy Wells Fargo. Spotkanie na tak wysokim szczeblu pokazuje jasno, że zaawansowane możliwo-

eprasa.pl a7e534a8f8

ści nowego modelu sztucznej inteligencji zdaniem administracji Donalda Trumpa mogą zagrozić fundamentom amerykańskiego systemu finansowego.

O nowym modelu AI dyskutowali również ministrowie finansów podczas kwietniowego spotkania Międzynarodowego Funduszu Walutowego, a także przedstawiciele banków centralnych i instytucji finansowych w różnych krajach świata – od Wielkiej Brytanii do Australii.

Współtwórca i szef firmy Anthropic Dario Amodei napisał na X, że choć w tej sprawie istnieją oczywiste zagrożenia, to „istnieje również realna szansa na stworzenie istotnie bezpieczniejszego Internetu i świata niż ten, który mieliśmy przed pojawieniem się możliwości cybernetycznych modeli opartych na sztucznej inteligencji". Szefowie Anthropic podjęli decyzję o udostępnieniu kontrowersyjnego narzędzia jedynie wybranym przez siebie partnerom technologicznym i wybranym bankom. Uczestnicy projektu Glasswing mieli pomóc w stworzeniu zabezpieczeń modelu. Powodem paniki w różnych instytucjach finansowych i bankach centralnych stały się jednak informacje o możliwym wycieku dostępu do Claude Mythos. Anonimowa grupa hakerów deklaruje co prawda, że nie zamierza użyć tego modelu w złych zamiarach, ale problem jest poważny. Gdyby tak zaawansowany model wpadł w ręce złowrogich hakerów, to znacząco zwiększyłoby ryzyko ataków cybernetycznych na ogromną skalę.

SZTUCZNA INTELIGENCJA NA WOJNIE

Mythos należy do grupy nazywanej frontier AI. Skupia ona najbardziej zaawansowane i najpotężniejsze obecnie modele sztucznej inteligencji. Ich cechami charakterystycznymi są wysoka zdolność do rozumowania i pisania kodu oraz multimodalność. W tym gronie wymieniane są także Claude-Opus-4-6-thinking, Gemini 3.1 Pro, OpenAI Frontier czy DeepSeek V4.

Ich wykorzystanie w skomplikowanych operacjach nie jest już science fiction. To fakt. Amerykańskie dowództwo oficjalnie potwierdziło, że wykorzystuje sztuczną inteligencję podczas wojny z Iranem. Według amerykańskich mediów Pentagon – mimo protestów producenta oprogramowania – wykorzystywać ma system zintegrowany z modelem językowym Claude. To właśnie AI miała wyznaczyć „setki celów" do zbombardowania. Sztuczna inteligencja miała być też wykorzystywana przez wojskowych do oceny dokonanych już uderzeń, a także wyciągania wniosków z zebranych informacji wywiadowczych. Według „Washington Post" Claude sprawdził się już także podczas planowania bezprecedensowej operacji porwania przywódcy Wenezueli Nicolása Maduro.

Takich oporów jak Anthropic nie mają konkurenci tej firmy: szefowie OpenAI zgodzili się na przyjęcie warunków stawianych przez Pentagon dotyczących zakresu użycia dostarczanych narzędzi, bazujących na sztucznej inteligencji. W reakcji na decyzję o współpracy z Pentagonem firmę OpenAI porzuciła m.in. szefowa działu robotyki i sprzętu. „To nie była łatwa decyzja. Sztuczna inteligencja odgrywa ważną rolę w bezpieczeństwie narodowym. Jednak inwigilacja Amerykanów bez nadzoru sądowego i śmiercionośna autonomia bez ludzkiej autoryzacji to kwestie, które zasługiwały na więcej uwagi, niż im poświęcono" – napisała na X Caitlin Kalinowski. OpenAI z powodu współpracy z Departamentem Wojny opuściła też część klientów. Sam Altman, współzałożyciel i CEO OpenAI, podczas jednego kwietniowego weekendu stał się zaś celem dwóch ataków: najpierw 20-letni mężczyzna obrzucił koktajlami Mołotowa dom Altmana w San Francisco i groził podpaleniem siedziby firmy, a dwa dni później dwie osoby otworzyły w kierunku rezydencji Altmana ogień z broni palnej.

MASOWE ZWOLNIENIA I NOWE WYMAGANIA

Nie wiadomo, czy sprawcy ataków na szefów firm specjalizujących się w AI chcieli w ten sposób wyrazić wrogość wobec użycia AI przez wojsko i służby specjalne czy może za atakiem stała niechęć spowodowana coraz większą automatyzacją pracy. Pewne jest, że choć Altman deklaruje, iż jego celem jest stworzenie silnej sztucznej inteligencji (AGI) dla „dobra całej ludzkości", to nie wszyscy dają tym słowom wiarę.

Sam Altman wywołał zaś duże kontrowersje w październiku ubiegłego roku, gdy przekonywał, że skoro AI jest w stanie zastąpić ludzi, którzy wykonywali dane zadania, to być może nie była to nigdy „prawdziwa praca" w przeciwieństwie do np. pracy rolnika, który „karmi ludzi i trzyma ich przy życiu". Oczywiście ktoś mógłby powiedzieć, że praca nad AI jest jeszcze mniej „prawdziwa", ale problem zwolnień już teraz jest realny.

Pod koniec kwietnia nową turę zwolnień zapowiedzieli m.in. tacy technologiczni giganci jak Meta Platforms. Koncern, będący właścicielem Facebooka i Instagrama, zamierza zwolnić ok. 8 tys. osób, czyli ok. 10 proc. wszystkich zatrudnionych. Zwolnienia mają ruszyć już pod koniec maja. Spółka ogłosiła również decyzję o wstrzymaniu rekrutacji na ponad 6 tys. wakatów. Łącznie z rynku zniknie więc ok. 14 tys. miejsc pracy. Już w styczniu Mark Zuckerberg zapowiadał, że w 2026 r. „sztuczna inteligencja zacznie radykalnie zmieniać sposób, w jaki pracujemy". – Zaczynamy dostrzegać, że projekty, które wcześniej wymagały dużych zespołów, są obecnie realizowane przez jedną, bardzo utalentowaną osobę – zauważył szef Meta podczas telekonferencji z inwestorami.

„Relokacja zasobów" – jak redukcję etatów określiła niedawno szefowa działu do spraw personalnych Meta Janelle Gale – ma ułatwić spółce osiągnięcie strategicznych celów. Należą zaś do nich m.in. dalsze inwestycje w AI, w tym w nowe centra danych i w niezwykle kosztowną infrastrukturę energetyczną do ich obsługi. W ten sposób Meta chce się przygotować do ostrej rywalizacji z największymi konkurentami w branży AI, jak Alphabet (Google), Microsoft czy OpenAI. Na walkę na tym rynku potrzeba wielu „relokacji zasobów" – tylko w obecnym roku Alphabet, Microsoft, Meta i Amazon zamierzają bowiem wydać na rozwój infrastruktury AI ok. 700 mld dol. (sama Meta zwiększyła wydatki na ten cel z 72,2 mld dol. w roku 2025 do co najmniej 115 mld dol. w 2026 r.). Firmy potrzebują też pieniędzy na pozyskiwanie najlepszych talentów do zespołów pracujących nad superinteligencją i rozwijających nowe modele językowe.

Kolejny raz do wielkich zwolnień szykuje się również Microsoft. W zeszłym roku koncern zwolnił już ponad 15 tys. osób. W tym roku zaś – według

eprasa.pl a7e534a8f8

informacji CNBC – może chcieć odchudzić kadry o kolejne kilka tysięcy pracowników. Pierwszy raz w ponad 50-letniej historii firmy, Microsoft proponuje „program dobrowolnych odejść", którym – według medialnych doniesień – objęte mają być osoby, których suma wieku i stażu pracy przekracza 70.

Wielotysięczną redukcję etatów planuje również Oracle. W kwietniu ponad 20 tys. osób zwolnił już Intel, w marcu Dell odchudził zaś kadry o 11 tys. pracowników, a pod koniec stycznia zwolnienia obejmujące kolejne 16 tys. osób ogłosił Amazon (jesienią ubiegłego roku spółka również przeprowadziła masowe zwolnienia). Szacuje się, że tylko w 2026 r. największe korporacje zredukowały ponad 90 tys. etatów w branży IT.

Kolejne modele językowe różnych firm wypierają nie tylko młodszych pracowników, lecz także doświadczonych specjalistów, a nawet kadrę menedżerską. Odpowiednio wytrenowany agent AI dobrze sprawdza się na samych szczytach drabiny korporacyjnej w różnego typu firmach. W Microsoft zwolnienia możliwe do przeprowadzenia dzięki AI prowadzą już do zwolnień wśród dyrektorów zarówno niższego, jak i wyższego szczebla. Na przykład w Meta sztuczna inteligencja pełni już funkcję AI CEO, pomagając Markowi Zuckerbergowi np. w błyskawicznym pozyskiwaniu informacji na temat stanu różnych projektów. Teoretycznie szef Meta uważa, że w przyszłości każdy pracownik powinien mieć własnego agenta AI, który będzie wykonywał za niego zadania, prowadząc do znacznego zwiększenia wydajności.

Z szerszej perspektywy nie wygląda to tylko na chwilową korektę w branży, lecz na początek stałej transformacji tego sektora rynku pracy. Nie tylko w koncernach typu Meta, lecz także w małych start-upach AI pozwala niewielkim zespołom wykonywać zadania, do których niegdyś potrzebna była wielka korporacyjna machina.

Sposób trenowania AI w firmie Zuckerberga budzi jednak spore kontrowersje. Według informacji podanych przez agencję Reuters Meta instaluje na komputerach pracowników w USA oprogramowanie śledzące ich całą aktywność – rejestruje ono nie tylko wpisywane znaki, lecz także ruchy myszy i poszczególne kliknięcia. Model Capability Initiative co jakiś czas wykonuje również zrzuty ekranu. Według koncernu zebrane w ten sposób dane służą wyłącznie do trenowania nowych modeli sztucznej inteligencji, w tym do poprawy zdolności systemów w odwzorowywaniu rzeczywistych interakcji użytkownika z komputerem. Kontrowersje budzi nie tylko sposób kontroli zatrudnionych (w USA jest to jednak zupełnie legalne), lecz także to, że udoskonalone w ten sposób modele sztucznej inteligencji będą mogły łatwiej przejąć część wykonywanych przez pracowników zadań.

W tym kontekście pesymistycznie brzmią zapowiedzi z lutego obecnego roku, gdy szef OpenAI prognozował, że prawdziwa fala wymiany kadr na sztuczną inteligencję, która nigdy nie chce podwyżek, nie choruje ani nie strajkuje, ruszy dopiero za kilka lat. Odpowiedzią na masowe zwolnienia mają być zupełnie nowe zawody. Jest jednak mało prawdopodobne, aby miliony osób błyskawicznie kompletnie się przebranżowiły. Altman jest więc zwolennikiem bezwarunkowego dochodu podstawowego (w Polsce realizowany od kilku lat w mocno pokracznej formie znanej jako „800+").

NOWE KOMPETENCJE

Ludzie będą bowiem coraz łatwiej zastępowalni. Badacze z Uniwersytetu w Toronto na łamach „Communications Psychology" twierdzą, że sztuczna inteligencja eliminując żmudne obowiązki, ułatwiając życie i sprawiając, że skomplikowane zadania stają się łatwe, może doprowadzić do tego, iż pracownicy staną się istotnie mniej kompetentni, niż są dzisiaj. Zmaganie się z trudnościami jest bowiem kluczowe dla rozwoju i zdobywania nowych umiejętności.

Z opublikowanego w ubiegłym tygodniu raportu Google oraz Pracuj.pl zatytułowanego „AI w MŚP w Polsce 2026" wynika, że również w Polsce nie tylko w wielkich przedsiębiorstwach, lecz także w małych i średnich firmach w erze AI zmieniają się oczekiwania wobec kompetencji pracowników. To ważne, ponieważ według Pracuj.pl sektor MŚP odpowiadał za 57 proc. wszystkich ogłoszeń w 2024 r. i 56 proc. w 2025 r. Z przytoczonych w raporcie statystyk wynika, że w ubiegłym roku liczba ofert pracy, które zawierały odniesienie do AI, wzrosła o 86 proc. do 5,7 tys. ofert (to wzrost 2,5 tys. ofert w porównaniu z rokiem 2024). Procentowy udział ogłoszeń z odniesieniami do sztucznej inteligencji pozostawał jednak bardzo niewielki (wzrost z 0,72 proc. w 2024 r. do 1,34 proc. w roku 2025). Autorzy raportu podkreślają jednak, że liczba ogłoszeń z odniesieniami do sztucznej inteligencji rośnie szybciej niż sam rynek, a „AI nie jest już komunikowana wyłącznie jako ciekawostka technologiczna". Takie słowa kluczowe jak „AI", „automatyzacja" czy „analiza danych" występowały już w 59,35 proc. ogłoszeń (wzrost o 2 p.p. w porównaniu z 2024 r.). To oznacza, że nawet jeśli dana firma nie szuka „specjalisty do spraw AI", to i tak szuka pracownika, który pomoże jej podążać w stronę procesów zautomatyzowanych i opartych na danych.

700 mld dol.

CO NAJMNIEJ TYLE NAJWIĘKSZE KORPORACJE ZAMIERZAJĄ WYDAĆ TYLKO W 2026 R. NA INWESTYCJE W INFRASTRUKTURĘ AI

Jedno jest pewne: niezależnie od oporu postępu technologicznego nie da się zatrzymać. W XIX w. przeciwnikom rewolucji przemysłowej nie udało się ciężkimi młotami porozbijać nowych maszyn. W XX w. Internet też niósł za sobą mnóstwo zagrożeń i doprowadził do utraty pracy tysięcy pocztowców, dziennikarzy etc. W XXI w. trzeba się więc przygotować do życia wśród fal 5G (albo wkrótce nawet 6G) i obok agentów AI, którzy coraz częściej będą przejmowali ludzkie miejsca pracy. Trzeba więc już teraz zacząć zdobywać nowe kompetencje lub… czekać na czasy powszechnego dochodu gwarantowanego, wypłacanego z podatków od przychodów wytworzonych przez algorytmy i roboty.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a7e534a8f8

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Oszust pospolity a polityczny

Polacy coraz lepiej rozumieją, że deficyt finansów państwa to coś złego, z czym należy się mierzyć. I starać się go zmniejszać, a najlepiej w ogóle zlikwidować.

Wszelako nie jest z nami jeszcze aż tak dobrze, jak być powinno. To znaczy, owszem, większość z nas, bo aż 62 proc. – tak wynika z badań United Surveys by IBRiS, omówionych przez „Dziennik Gazetę Prawną" – jest za redukcją tego deficytu, ale aż 11 proc. – bo to w tym przypadku jest AŻ 11 proc. – uważa, że nie tylko nie trzeba deficytu finansów państwa zmniejszać, lecz wręcz należy go powiększyć. A niemal jedna trzecia z nas, bo aż 27 proc., w ogóle nie wie, cóż to jest za deficyt.

Jeszcze gorzej rzecz się ma, gdy pojawia się pytanie o to, w jaki sposób ten deficyt zmniejszyć. Większość z nas jest bowiem przeciwna zarówno obcięciu w tym celu wydatków, jak też podniesieniu podatków. W szczegółach wygląda to tak: 0 (słownie: zero) proc. Polaków byłoby skłonnych zgodzić się na podniesienie PIT wszystkim, 5 proc. przystałoby na zmniejszenie wydatków na wojsko, 6 proc. byłoby za podniesieniem VAT i akcyzy, 14 proc. podniosłoby PIT osobom zarabiającym powyżej średniej, 15 proc. poparłoby podniesienie CIT firmom, 24 proc. dałoby zgodę na zmniejszenie wydatków na programy socjalne, takie jak „800+" oraz 13. i 14. emerytury, a 26 proc. byłoby za zmniejszeniem wydatków na przywileje emerytalne m.in. górników i służb mundurowych.

I dopiero propozycja podniesienia podatków INNYM – „wybranym sektorom gospodarki (np. bankom i supermarketom)", spotkała się ze zgodą większości, czyli 59 proc. Polaków. Niestety – jak się domyślam – głównie z tego powodu, że aprobujący ten pomysł ni w ząb nie pojmują, iż firmy te i tak podatki te przerzuciłyby na swych klientów, czyli właśnie na nich, podnosząc ceny swych produktów.

No i zastanawiam się – mając w pamięci wyniki tych badań i obserwując wciskanie polskim wyborcom przez oszustów politycznych, mieniących się politykami, kitu – czy stosowana przez nich metoda oszustwa politycznego „na niedouczonego wyborcę" czymkolwiek różni się od stosowanej przez pospolitych oszustów metody „na wielki zysk"? Bo, w końcu, czyż nie jest tak, że żerując na niewiedzy swych ofiar, oszuści pospolici wyłudzają od nich ich pieniądze, obiecując im niebotyczne zyski, a oszuści polityczni wyłudzają od nich ich głosy w wyborach, obiecując im nigdy niekończące się rozdawnictwo pieniędzy podatników (te wszystkie „800+", 13. i 14. emerytury itd.), bez konieczności płacenia przez nich wyższych podatków, jakby pieniądze na ich wypłatę można było po prostu wydrukować? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

„Łatwogang" i Owsiak

Nie będę udawał, że słyszałem kiedykolwiek wcześniej o Piotrze Garkowskim, czyli „Łatwogangu". Jego influencerskie uniwersum i moje nie stykają się chyba nigdzie. Nie zmienia to faktu, że internetową zbiórką Garkowski sprowokował i mnie do zastanowienia.

Lecz nie tylko mnie. Poważnie nad ratowaniem twarzy musi się zastanowić świecki święty Jerzy Owsiak. Jego wystąpienie w sprawie zebrania przez „Łatwoganga" ponad ćwierć miliarda złotych było niby pełne kurtuazji (o ile pan Owsiak w ogóle wie, co to jest), ale też między wierszami uszczypliwe. Znalazła się w nim sugestia, że obdarzona olbrzymimi pieniędzmi fundacja może sobie z tym nie poradzić.

Gdy idzie o zbierane pieniądze w zestawieniu z zaangażowanymi środkami, bezsens WOŚP staje się oczywisty

Tymczasem problem ma jednak nie fundacja, ale pan Owsiak. W czasie ostatniego finału jego całkowicie już politycznie kojarzona Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy zebrała kilkanaście milionów złotych mniej niż pan Garkowski i o 26 mln mniej niż rok wcześniej. A wszystko to przy ogromnym politycznym wsparciu obozu władzy, gigantycznym zaangażowaniu polityków tegoż, transmisji w telewizji głównego nurtu, potężnych pieniądzach wydanych na organizację finału i kilkudziesięciu koncertach w całej Polsce. Zatem lepszy wynik finansowy osiągnął influencer, niebędący niczyim politycznym pieszczochem, robiąc transmisję na własnym kanale youtube'owym, bez grosza publicznej kasy, bez renomy świętego, utrwalanej od kilku dekad, bez zaangażowania ministerstw i bez durnych aukcji, na których można wylicytować stare majtki posła albo sprzątanie mieszkania gwiazdeczki idiotycznych seriali.

To każe postawić bardzo poważne pytanie o celowość podtrzymywania olbrzymiej konstrukcji, stworzonej nie tyle przez pana Owsiaka, ile dla niego. Od początku w jednym celu: aby móc powoływać się w sytuacjach podbramkowych na jego pompowany sztucznie autorytet. Cel polityczny jest jasny. Gdy jednak idzie o zbierane pieniądze w zestawieniu z zaangażowanymi środkami, bezsens WOŚP staje się oczywisty. ©℗

eprasa.pl a7e534a8f8

Autodestrukcja

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl a7e534a8f8

Tomasz Formanek

W grudniu ub.r. Komisja Europejska przedstawiła wyczekiwany i wymuszony sytuacją na rynku projekt zmian w tzw. zakazie samochodów spalinowych. Jednak ci, którzy się cieszą, że po 2035 r. będą dalej mogli swobodnie kupić auta spalinowe, powinni stonować nastroje. Za to Chińczycy już mogą zacierać ręce

Ustanowiony przez Unię Europejską w 2023 r. i mający obowiązywać od 2035 r. tzw. zakaz samochodów spalinowych formalnie nim nie jest. UE nie zabroniła ich sprzedaży po tej dacie, lecz wprowadziła dla nich normę średniej emisji CO_2 wynoszącą 0 g/km, odpowiednio do celu redukcji CO_2 o 100 proc. dla nowych aut za dziewięć lat. Ponieważ żaden samochód zasilany benzyną lub olejem napędowym nie jest w stanie spełnić tej normy, w tym jakikolwiek hybrydowy, w praktyce oznacza to zakaz ich sprzedaży. Za jego złamanie, tzn. przekroczenie normy emisji 0, firmy płaciłyby drakońskie kary, których stawka obecnie wynosi (czysto uznaniowe) 95 euro za 1 g CO_2 powyżej limitu średniej emisji. Natomiast bezkarna produkcja takich aut na eksport poza UE będzie po 2035 r. nadal możliwa.

Grudniowym projektem KE wcale nie zmienia celów swej polityki, którymi są zerowa emisja i powszechna elektromobilność w UE. Znosi tylko sztywny termin ich realizacji.

W myśl deklarowanej przez komisarzy elastyczności nowe samochody od 2035 r. mają w sumie emitować już nie 100 proc., lecz 90 proc. mniej CO_2 niż obecnie. Jeśli więc limit średniej emisji dla nowych aut wynosi teraz prawie 94 g/km, to za dziewięć lat będzie wynosił 10 proc. tej wartości, czyli niespełna 9,4 g/km. Żadna hybryda nie jest w stanie nawet zbliżyć się do takiego wyniku. Dziś udział elektryków w rynku UE stanowi ok. 17 proc., tj. jeden elektryczny na sześć nowych. Jeżeli w 2035 r. pozostałych pięć ma emitować 90 proc. mniej, to w teorii oznacza to, że na 12 nowych 11 ma być wtedy elektrycznych, co daje udział aut spalinowych w tym rynku na poziomie 8 proc., tj. dwa razy mniej niż aktualnie elektryków.

Mówiąc obrazowo, UE wyjęła z rury wydechowej auta banan, który wcześniej tam włożyła (jak w pamiętnej scenie „Gliniarza z Beverly Hills"), ale rurę wymieniła na słomkę.

Pozostałe 10 proc. emisji nie jest bynajmniej w prezencie. Ma podlegać kompensacji przez zastosowanie w 7 proc. „zielonej" stali z europejskich hut o minimalnym śladzie węglowym i w 3 proc. e-paliw do samochodów spalinowych (wartości znów czysto uznaniowe). Nie wiadomo, jak miałoby się egzekwować używanie e-paliw w tej kwocie, skoro auta do nich przystosowane dalej będą mogły jeździć na paliwie z ropy, które pozostanie dostępne.

SAMOCHODOWY APARTHEID

Przy normie –90 proc. CO_2 samochód benzynowy lub diesel po 2035 r. będzie stanowił niszę. Jak wieszczą branżowi eksperci, stanie się ekskluzywnym dobrem tylko dla bogatych. Jeśli producenci będą musieli wybierać, które modele zmieścić w tych 8 proc. spalinowych w swej ofercie, to wybiorą te z wyższych klas, gdzie są większe marże i klienci domagają się opcji takiego napędu. W tanie modele spalinowe nie będzie się opłacało inwestować, bo limit sprzedaży i niskie marże nie pozwolą na zwrot inwestycji. A jeżeli nawet pozostaną, to ich podaż będzie reglamentowana według popytu na modele elektryczne. Powstaną pule, kontyngenty i listy rezerwacyjne. To oczywiście podniesie też ich ceny, tak nowych, jak używanych, oraz nakręci spekulację nimi na rynku wtórnym.

Nastąpi motoryzacyjna segregacja klasowa. Elektryczne dla mas, spalinowe dla elit. Samochód bardziej niż kiedykolwiek dotąd stanie się symbolem statusu. Dojdzie do absurdu, że europejski robotnik nie będzie mógł kupić auta, które sam zmontuje na linii w fabryce. Niczym kiedyś robotnik zuluski w RPA.

eprasa.pl a7e534a8f8

Dziesięć procent dopuszczalnej emisji CO_2 jednak otwiera furtkę dla paliw alternatywnych (syntetycznych), o niskiej jego emisji, czyli. e-paliw (e od elektrolizy) i biopaliw (bio od biomasy). To realizacja wybłaganego przez branżę samochodową postulatu neutralności technologicznej, polegającej na tym, że producenci mogliby osiągnąć cel emisji 0 za pomocą dowolnej technologii zasilania samochodów.

Paliwa takie mogą redukować emisję CO_2 właśnie o 90 proc. w stosunku do paliw konwencjonalnych dzięki temu, że jej bilans dla nich jest liczony w całym cyklu ich produkcji i spalania. Teoretycznie CO_2 pozostaje tam w obiegu zamkniętym między atmosferą i roślinami a silnikiem. Mogłyby napędzać również już jeżdżący park samochodowy, co było ważnym argumentem za ich dopuszczeniem. Trzecim paliwem alternatywnym, które spełnia nawet normę –100 proc. CO_2, jest wodór, zdatny do zasilania tradycyjnych silników spalinowych po odpowiednich przeróbkach.

Problem ze wszystkimi tymi paliwami jest taki, że ich produkcja jest skomplikowana i energochłonna, a przez to kosztowna i sama w sobie emisyjna, a moce produkcyjne w stosunku do zapotrzebowania rynku na razie bardzo ograniczone. Ich masowa sprzedaż po przystępnych cenach może się okazać niemożliwa.

Projekt musi jeszcze być przyjęty przez Parlament Europejski i Radę UE. Co wcale nie jest przesądzone. Szczególnie wobec doktrynalnej postawy w tej sprawie państw Europy Północno-Zachodniej (Benelux i Skandynawia) oraz, co mniej oczywiste, Francji i Hiszpanii.

Zatem KE nie zastosowała dla samochodu spalinowego aktu łaski, tylko złagodziła mu wyrok. Zamiast kary śmierci na krześle elektrycznym czeka go banicja lub rezerwat, z możliwością powrotu do społeczeństwa pod warunkiem karbonowej neutralizacji.

Komisarze kupują tak sobie czas, w nadziei, że nastąpi cud nawrócenia się Europejczyków na elektromobilność i w związku z tym nie trzeba będzie się wycofywać z ambitnych celów, co stanowiłoby przyznanie się do błędu, a tego politycy nie lubią.

Dlatego w projekcie nie ma obniżki norm emisji ani sankcji za ich niespełnianie, czego oczekiwali producenci. Wraz z celem –55 proc. CO_2 w 2030 r. limit średniej jego emisji spadnie do nieco ponad 43 g/km. To wynik osiągalny tylko dla hybryd z wtyczką (PHEV). Już za cztery lata co drugi sprzedany w Europie nowy samochód będzie musiał zatem być elektrykiem, a jeśli będzie ich mniej, to reszta w ogromnej większości będzie musiała być hybrydami ładowanymi z gniazdka. Żadne inne hybrydy (pełne FHEV i miękkie MHEV) nie będą w stanie zmieścić się w tym limicie. Pięć lat przed terminem definitywnej normy.

Powstała kuriozalna sytuacja, że z woli Brukseli europejscy producenci muszą płacić za nic, bo za wirtualne uprawnienia, konkurencyjnej amerykańskiej Tesli, czyli Elonowi Muskowi, który pragnie rozpadu UE i czynnie wspiera antyunijne partie w jej państwach członkowskich

PODATEK MUSKA

A już teraz, by nie płacić kar, producenci są zmuszeni do zrzeszania się w tzw. pulach emisyjnych, gdzie średnią emisji liczy się dla wszystkich modeli zrzeszonych producentów i ci, którzy sprzedają mniej elektryków, muszą kupować przydzielane producentom przez UE tzw. kredyty na emisję od tych, którzy elektryków sprzedają więcej.

Kredyty te kosztują europejskich producentów setki milionów euro rocznie. Oczywiście nie płacą za nie sami, lecz przerzucają ich koszty na swoich klientów. To ukryty sztuczny podatek, jak w cenie prądu. Tak właśnie wygląda w praktyce unijny handel emisjami.

Jedna z największych pul emisyjnych skupiona jest wokół Tesli, która produkuje tylko elektryki, w związku z czym ma do dyspozycji najwięcej kredytów. I powstała kuriozalna sytuacja, że z woli Brukseli europejscy producenci muszą płacić za nic, bo za wirtualne uprawnienia, konkurencyjnej amerykańskiej Tesli, czyli Elonowi Muskowi, który pragnie rozpadu UE i czynnie wspiera antyunijne partie w jej państwach członkowskich, a te z wdzięczności same wyświadczają mu jeszcze dodatkową przysługę rządowymi dopłatami dla nabywców elektryków. W ten sposób europejscy podatnicy nieświadomie dofinansowują firmę najbogatszego człowieka świata z Ameryki.

100 czy 90 proc. CO_2 mniej – nie ma to i tak znaczenia dla klimatu. Udział UE w globalnej emisji wynosi obecnie ok. 7 proc. (przed brexitem było to ok. 8 proc.). Unijny transport (nie tylko drogowy, lecz także kolejowy, lotniczy i morski) odpowiada za ok. 20 proc. całej emisji w UE (+/– 5 proc. w zależności od źródła danych). To ok. 1,4 proc. globalnej emisji. Same auta osobowe w UE generują ok. 50 proc. emisji całego transportu UE. To ok. 0,7 proc. globalnej emisji. I ten udział ciągle spada, bo w UE przybywa hybryd i elektryków.

Jednak w 2035 r. nie nastąpi nawet tak minimalna redukcja emisji CO_2, ponieważ wcześniej wyprodukowane samochody spalinowe będą dalej jeździły, i to jeszcze przez długie lata. Europejczycy nie wymienią ich z dnia na dzień na elektryczne. Przeciwnie, będą je trzymać jak najdłużej. Nastąpi od dawna przepowiadany w kontekście zakazu efekt Kuby. Samochody na paliwa kopalne zaczną znikać z Europy dopiero po roku 2050. Do tego czasu swoją emisją będą niwelowały jej redukcję uzyskaną przez elektryki. Dalej też będzie trwała produkcja nowych aut spalinowych na eksport poza UE, który będzie odrabiał europejską emisję na innych kontynentach. W tym czasie wzrost gospodarczy państw rozwijających się dodatkowo wielokrotnie ją przebije.

Na elektryfikację samochodów Europa wyda górę pieniędzy. To będzie istny Mont Blanc euro. A efekt dla klimatu będzie widoczny jak jego szczyt we mgle z Genewy.

Całość kosztów tej epokowej transformacji, obejmujących samochody, baterie, infrastrukturę sieci przesyłu i ładowarek, dopłaty i ulgi dla nabywców oraz straty w rynku i miejscach pracy,

eprasa.pl a7e534a8f8

docelowo przekroczy bilion euro. Sam spadek rocznego PKB UE szacowany jest na 100+ mld euro. Po to tylko, żeby za 30–40 lat uzyskać na papierze redukcję emisji CO_2 o wartości 0,x proc. w skali świata.

Producenci znaleźli się w potrzasku. Włożyli w elektryfikację samochodów już tyle pieniędzy, że teraz nie mogą tak po prostu się z niej wycofać bez strat. Dlatego klepią za KE jak mantrę hasło, że przyszłość jest elektryczna. Jednak to zaklinanie rzeczywistości. I dobrze to wiedzą. Na razie muszą przetrwać tu i teraz. A to może im dać tylko dalsza produkcja aut spalinowych, bo takich chce rynek. Stąd ich apele do KE o zmianę polityki.

Gdyby wszystkie pieniądze, które już wydano w Europie na elektryfikację samochodów, przeznaczyć na dofinansowanie Europejczykom wymiany starych aut spalinowych na nowe, spełniające aktualne normy, emisja CO_2 zmniejszyłaby się bardziej niż dzięki sprzedanym dotychczas autom elektrycznym.

UE cierpi na klimatyczną apotemnofilię. Wycina zdrowe tkanki własnego organizmu gospodarczego, żeby zaspokoić swą fiksację na punkcie dwutlenku węgla i dzięki temu poczuć się lepiej. Używa do tego różnych narzędzi, dla niepoznaki zwanych Zielony Ład, „Fit for 55", ETS, CAFE, Euro (n). Amputacji dokonuje zespół zielonych chirurgów z Brukseli pod kierownictwem lekarza medycyny, dr Ursuli von der Leyen. O skutek uboczny w postaci ekonomicznego inwalidztwa Wspólnoty przy tym się nie martwi.

MOTORYZACJA CENTRALNIE PLANOWANA

Nowy szef Stellantisa, Antonio Filosa, powiedział w niedawnym wywiadzie prosto, że Amerykanie kupują takie samochody, jakie chcą, a Europejczycy nie, i że w Europie trzeba zrobić jak w USA. Czyli zasadniczo uwolnić europejskich producentów od obecnych norm.

Ale tak się nie stanie, bo UE wyznaje wiarę w zero, tzn. zero emisji i zero ofiar wypadków.

Europejski przemysł samochodowy jako potężne lobby mógłby jej to wyperswadować. Gdyby chciał. Jednak producenci przez ostatnie lata akceptowali przykręcanie śrub emisji i bezpieczeństwa z postawą godną ludzi sowieckich. Choć mieli potężny arsenał środków nacisku wobec UE, w tym legalny szantaż ekonomiczny. W elektryfikacji aut swoją drogą wyczuli złoty interes. Chcieli robić ich mniej i zarabiać na nich więcej. Mieć niższe koszty i wyższe marże. Przy czym nie przejmowali się interesem swoich klientów ani nawet losem własnych pracowników. I teraz za to płacą.

Zamiast uwolnić rynek, KE wymyśla na nowo samochód dla ludu. Tak zwany E-car – gdzie E jest od (oczywiście) elektryczny, ekonomiczny i europejski – ma być właśnie ratunkiem dla producentów. Przy długości do 4,2 m i cenie ok. 20 tys. euro, z realnym zasięgiem rzędu 200 km, nie może być jednak „autem do wszystkiego", lecz tylko drugim lub trzecim w domu, na miasto, więc plan z nim związany spali na panewce, a właściwie kablu.

W ogóle wielki unijny plan dla motoryzacji w rozpisce żywcem przypomina pięciolatki z realnego socjalizmu. Różnica między nimi polega na tym, że w demoludach planowano produkcję, a we Wspólnocie planuje się redukcję. Emisji CO_2, PKB i miejsc pracy.

XI JINPING „LUBI TO"

Faktycznie to nieświadomy sabotaż unijnej gospodarki przez samą KE. Silnik spalinowy stanowi główną przewagę konkurencyjną europejskich producentów samochodów nad chińskimi. W bateriach to Chiny wyprzedzają o kilka lat Europę. I nie dadzą się dogonić. Przymusowa elektryfikacja aut w UE oddaje im europejski rynek za darmo. Tam, gdzie nie ma w motoryzacji polityki antyspalinowej jak w USA czy Japonii, problem chiński na rynku samochodowym nie istnieje.

Chiny kontrolują cały łańcuch dostaw w produkcji elektryków. Uniezależniając się od źródeł ropy, której wystarczy jeszcze na wiele dekad, UE w zamian uzależnia się od źródeł tzw. surowców krytycznych, których już teraz zaczyna brakować. Przechodzi jako klient od Arabów i Rosjan do Chińczyków, posiadających odpowiednie złoża u siebie i w swych koloniach gospodarczych. O ile jednak kraje Zatoki Perskiej ciągle żyją z eksportu ropy i jej kurka nigdy nie zakręcą oraz nie tworzą wspólnego sojuszu politycznego, a Rosję zastąpi teraz kontrolowana przez USA Wenezuela, o tyle Chiny do eksportu surowców krytycznych zmuszone nie są, bo mają swój na nie rynek, i koparki w ich kopalniach mogą w każdej chwili wstrzymać, za to są nieprzyjaznym mocarstwem światowym. Pierwsze restrykcje na eksport metali ziem rzadkich już wprowadziły.

Wielki unijny plan dla motoryzacji w rozpisce żywcem przypomina pięciolatki z realnego socjalizmu. Różnica między nimi polega na tym, że w demoludach planowano produkcję, a we Wspólnocie planuje się redukcję. Emisji CO_2, PKB i miejsc pracy

Dlatego projekt elektromobilności w Europie to dla Chin zaproszenie do samochodowej inwazji, ale takiej prawdziwej, na parędziesiąt procent udziału w rynku, nie wojenki podjazdowej na margines statystyk jak teraz.

Angela Merkel zapraszała migrantów. Ursula von der Leyen zaprasza Chińczyków. Z podobnymi, czyli zabójczymi dla Europy skutkami.

Jeszcze nigdy w historii świata nowożytnego żadna potęga gospodarcza, którą jest UE, nie poświęciła przemysłu, w którym była światowym liderem, dla ideologicznej iluzji. To tak, jakby wspomniane USA zrezygnowały z produkcji broni czy Japonia – motocykli. Nigdy też w historii kapitalizmu nie było takiego zamachu na wolny rynek. I wreszcie nigdy w historii demokracji państwa nie odbierały tak swoim obywatelom dóbr, które oni sami wytwarzali.

Post scriptum

Jeśli w tym momencie ktoś myśli, że ten artykuł to kolejny atak na Unię, żeby ją Polakom obrzydzić, to myli się równie mocno, jak sama Unia w sprawie aut.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a7e534a8f8

Niesmak pozostał

Chiara Ferragni mogłaby być przykładem cudownego medialnego sukcesu, gdyby nie ujawniono wydarzeń, które ten cud podały w wątpliwość

FOT. ABACA/ABACA PRESS/FORUM

Joanna Bojańczyk

Przez 15 lat blog pięknej Chiary Ferragni dokumentujący jej wspaniałe życie zdobył 100 mln wyznawców. Aż pewna brzydka sprawa zmieniła wszystko. Włoska it girl uniknęła więzienia, ale zaufanie trudno będzie odzyskać

Jej kariera była tak spektakularna, że zainteresował się nią Uniwersytet Harvarda i włączył do swego curriculum jako case study, studium przypadku. Istotnie Chiara Ferragni mogłaby być przykładem cudownego medialnego sukcesu, gdyby nie ujawniono wydarzeń, które ten cud podały w wątpliwość.

Wiadomo, że wszystko działo się szybko i spektakularnie. W roku 2009 studentka z Cremony, miasta niedaleko Mediolanu, założyła blog The Blonde Salad. Nazwa idiotyczna, treść przyciągająca wzrok, bohaterka – śliczna błękitnooka Włoszka, jak sama nazwa wskazuje, blondynka. Na blogu zdjęcia z życia, optymistyczne, czasem żartobliwe i sympatyczne. Bohaterka w rewii modnych ubrań i dodatków, fotografuje siebie, swoją rodzinę, dzieci. Jest zawsze nieskazitelnie umalowana i uczesana, a każdy szczegół ubrania reklamuje jakąś markę. Widać ją w domu, na ulicy, na wakacjach, na imprezach, w kuchni, w sklepie, w podróży. W gigantycznej domowej garderobie ma setki torebek Chanel, niektóre rozrzucone po podłodze... Na Fashion Weekach siedzi w pierwszym rzędzie obok gwiazd kina i mody. Bywa na przyjęciach, Oscarach, Grammy…

„Blond sałatka" obrasta w followersów w błyskawicznym tempie. Dziewczyny na całym świecie zazdroszczą wspaniałego życia pięknej Włoszce.

W roku 2011 Ferragni jest nominowana przez „Vogue" dla nastolatków jako „Blogerka chwili".

W 2013 r. uruchamia własną linię mody Chiara Ferragni Collection (buty i dodatki).

2014 – jej firma generuje milionowe przychody, a ona pojawia się jako gościnna jurorka w telewizyjnym show „Project Runway".

2015 – jako pierwsza blogerka modowa pojawia się na okładce hiszpańskiego „Vogue". Jej historia trafia do Harvard Business School jako studium przypadku sukcesu biznesowego.

2017 – Blond Salad ma 10 mln obserwujących na Instagramie i autorka otwiera pierwszy sklep swojej marki w Mediolanie.

2019 – na Festiwalu Filmowym w Wenecji prezentuje się film dokumentalny „Chiara Ferragni – Unposted".

eprasa.pl a7e534a8f8

2020 – Ferragni współtworzy utwór „Non mi basta più" z włoską raperką Baby K i prowadzi zbiórkę, która zbiera 3 mln euro dla szpitala w Mediolanie podczas pandemii COVID.

2021 – Dołącza do rady nadzorczej luksusowej firmy Tod's (stanowisko to opuszcza w 2024 r.).

2021–2023 – życie szczęśliwej, bogatej i pięknej rodziny – m.in. sióstr Valentiny i Franceski – jest tematem filmu w Amazon Prime Video.

Majątek blogerki ocenia się na 40 mln dol. Ma dom nad jeziorem Como i penthouse w Mediolanie.

CO TO BYŁ ZA ŚLUB!

Związek z raperem Fedezem rozpoczyna się w roku 2016. W 2018 para bierze ślub. Zatrzymajmy się chwilę przy tym wydarzeniu, gdyż ma ono zasięg iście planetarny. Uroczystość transmitowana jest na Instagramie, reportaż z niej zamieszcza amerykański magazyn „Vogue". „Ślub jak z bajki" – pisze internauta. „Jak z Disneya" – odpowiada inny.

Suknia z trenem długości 30 metrów uszyta z jedwabiu i brugijskiej koronki wbrew temu, co można przypuszczać, nie jest produkcji własnej. Powstała w pracowni Dior Haute Couture, w jednym egzemplarzu. Autorką projektu jest ówczesna szefowa Diora, także Włoszka, Maria Grazia Chiuri. Wykonanie kreacji kosztowało 1,6 tys. godzin pracy, zużyto 400 metrów tiulu. Ceny nie ujawniono, zapewne jest częścią dealu za „usługi reklamowe".

Wesele odbyło się w ogrodach barokowego Palazzo Ducezio w sycylijskim miasteczku Noto i trwało kilka dni łącznie z imprezami towarzyszącymi – obiadami, kolacjami, powitaniami.

Ze związku z raperem urodzi się dwoje dzieci, ale para rozejdzie się po paru latach.

SKANDAL

Przed Bożym Narodzeniem 2022 r. Chiara Ferragni nawiązała współpracę z firmą Balocco, producentem świątecznej babki pandoro, popularnego we Włoszech ciasta drożdżowego. To miało być coś specjalnego: sygnowane nazwiskiem gwiazdy ciasto tym razem miało kosztować trzy razy drożej niż zwykłe pandoro, ale cenę usprawiedliwiał cel: dochód ze sprzedaży miał wspierać Szpital Dziecięcy Regina Margherita.

Jednak sprawy potoczyły się inaczej. Okazało się, że producent ciast, firma Balocco, przekazał szpitalowi tylko jednorazową darowiznę w wysokości 50 tys. euro jeszcze przed premierą wypieku. Influencerka otrzymała zaś milion.

„Nie miałam złudzeń. Ta współpraca miała charakter czysto komercyjny" – napisała włoska dziennikarka Selvaggia Lucarelli.

Rozpętała się burza. Ferragni oskarżono o wprowadzanie konsumentów w błąd. Internet się wściekł. „Promowała pandoro jako produkt charytatywny. Sugerowała, że dochód ze sprzedaży zostanie przeznaczony na zakup sprzętu do leczenia raka w szpitalu dziecięcym, tymczasem pieniądze szpital otrzymał przed rozpoczęciem sprzedaży. Sama zarobiła »miliony«, podczas gdy darowizna pochodziła od firmy, nie od niej samej".

Do oskarżeń dołączył się były partner influencerki: „Myślała tylko o pieniądzach".

Niektóre media twierdziły, że Ferragni mogła celowo zmylić konsumentów. Podkreślano, jak bardzo zatarła się granica między marketingiem i manipulacją. Ale włoska prasa była bezlitosna. „Draństwo, bandytyzm" – pisał „Corriere della Sera".

PANDORO GATE

Prokuratura w Mediolanie oskarżyła Ferragni o truffa aggravata – oszustwo obciążone cięższą kwalifikacją – domagając się kary roku i ośmiu miesięcy pozbawienia wolności.

Jednak w styczniu 2026 r. sąd w Mediolanie oczyścił blogerkę z zarzutów w przyspieszonym, zamkniętym procesie. Sędzia nie dopatrzył się oszustwa, ale sprawa doprowadziła do nałożenia na Ferragni grzywny w wysokości 1,1 mln euro przez włoski urząd antymonopolowy.

Włoskie serwisy relacjonowały przebieg procesu, podkreślając, że chodzi o precedensową sprawę, w której markę osobistą jednej z najpopularniejszych influencerek Włoch, posiadaczki milionów obserwujących, postawiono pod znakiem zapytania.

Mimo uniewinnienia „Pandoro gate" wywołała zamieszanie i niesmak wokół Ferragni, przedstawicielki pierwszego pokolenia influencerów. Po zakończeniu procesu ton mediów stał się spokojniejszy, podkreślano okoliczności prawne uniewinnienia, ale zwracano także uwagę na klęskę wizerunkową influencerki. Niektóre firmy zerwały kontrakty sponsorskie (Safilo, Pantene), odpłynęło 200 tys. obserwujących. Wycofała się Coca-Cola.

„To był przypadek; reklama wprowadziła ludzi w błąd" – tłumaczyła Ferragni dziennikarzowi tygodnika »Paris Match«. – Komunikat prasowy był źle zredagowany. Dla szpitala zrobiłam dodatkową donację miliona euro".

„Mam wrażenie, że odbył się jakiś zbiorowy seans satysfakcji z mojego upadku. Bez wątpienia dlatego, że jestem kobietą i odniosłam sukces. Jestem przekonana, że to nie mogłoby zdarzyć się mężczyźnie. Na pewno nie z taką gwałtownością" – mówiła Ferragni tygodnikowi „Paris Match".

Jednak niesmak pozostał, nawet wtedy gdy po uniewinnieniu gwiazda zaczęła wracać do branży, m.in. wywalczyła kampanię dla Guess.

Tłumaczenia blogerki wywołały jeszcze większą irytację. Ona, nie tracąc dobrego samopoczucia, udzielała mediom wywiadów, w których bagatelizowała całą sprawę, tłumacząc to „błędem komunikacyjnym".

Sprawa wywołała trwalsze skutki – prawne. Poskutkowała „ustawą Ferragni", która ma regulować działania charytatywne influencerów. Włoski organ do spraw komunikacji (AGCOM – Autorità per le garanzie nelle comunicazioni) wprowadził regulacje, które zobowiązują influencerów do czytelnego oznaczania treści reklamowych. Ma to poprawić przejrzystość postów reklamowych w mediach społecznościowych.

W analizach tych mediów pojawiły się liczby mówiące o spadku interakcji nawet o dziesiątki milionów. Łączono to właśnie z aferą Pandoro.

„Czy włoska Kim Kardashian odzyska swój wizerunek?" – zastanawiał się „New York Post". I donosił, że firmy blogerki straciły 90 proc. wartości. „Guardian" twierdzi, że influencerka zmobilizowała zespół ekspertów do ratowania wizerunku. Źródło opisuje, że zdaniem niektórych obserwujących afera będzie oznaczać koniec jej kariery, inni stają po jej stronie. Ona jest jak Feniks, powstanie nawet z popiołów – mówi branża, która nie takie upadki już przeżyła.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a7e534a8f8

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Na górze Bony w Krzemieńcu

JACEK KOMUDA

Krzemieniec na dzisiejszej Ukrainie to miasto z ruinami zamku, które zapisało się w historii dawnej Polski, Litwy i Rusi. Według autorów „Starożytnej Polski" otrzymał on nazwę od skalistej, obfitującej w krzemienie góry, na której już w XIII w. wznosił się umocniony gród. Na przełomie lat 1240 i 1241 obronił się przed najazdem Tatarów Batu-chana. Sześć lat później książę Mścisław II Udały rozbił tutaj wojska króla Węgier Andrzeja II, co zapisał „Latopis Halicko-Wołyński". W latach późniejszych Tatarzy, po zhołdowaniu księstwa, nakazali jego zburzenie; dopiero pod koniec wieku zamek odnowiony został przez księcia Mścisława Daniłowicza, aby na początku kolejnego wieku wpaść w ręce litewskiego władcy Giedymina. W 1366 r. został odstąpiony Królestwu Polskiemu, a Kazimierz Wielki zatwierdził jako swego wasala władającego nim Jerzego Narymuntowicza. Po śmierci króla Ludwik Węgierski wcielił Krzemieniec wprost do Korony Węgierskiej, ostatecznie dostał się on księciu Dymitrowi Lubartowi, jednemu z synów Giedymina.

RYS. OBA

Pod koniec wieku zamkiem władał Skirgiełło, syn wielkiego księcia litewskiego Olgierda, który otrzymał miasteczko jako odszkodowanie za odebrane przez Władysława Jagiełłę Troki. W 1409 r. przez kolejne 10 lat w Krzemieńcu więziony był Świdrygiełło, młodszy brat Władysława Jagiełły, który spiskował z Krzyżakami przeciwko Witoldowi. Traktowany zbyt lekko przez zarządzającego zamkiem Konrada z Falkenbergu uciekł w 1418 r.

Prawdziwy rozwój Krzemieńca miał miejsce w XVI w., kiedy w 1533 r. Zygmunt I oddał go swemu nieślubnemu synowi, Janowi de Thelnicz, który został najpierw biskupem litewskim, a później poznańskim. Jan wykuł ponoć ogromną studnię w skalne zamkowej, przepisał na miasto dochody z wagi, kramów, sukiennic, jatek mięsnych, piekarskich i solnych, ustanowił cechy i obdarzył je przywilejami na wzór Krakowa i Warszawy, wyjednał przywilej na jarmarki. Uwolnił także mieszczan od opłat: grobelnego i mostowego.

Kolejnym dobrodziejem stała się królowa Bona. Zamek został wówczas przebudowany, zaopatrzony w działa i prochy, w mieście ustanowiono skład soli i jarmarki. Z 1542 r. pochodzi zresztą pierwsza zachowana lustracja, a na pamiątkę królowej wzgórze zamkowe nazywane jest dziś „górą Bony". Jak pisał wówczas Lew Tyszkiewicz, zamek „położony jest na wysokiej i przepaścistej górze, od miasta niedostępnej, a wypuszczona z dołu strzała nie dosięga zamku; ma tylko przystęp od wschodniej strony groblą, czyli szyją. Znajduje się na niej dwa mosty [...], przy wjeździe do zamku jest most zwodzony na łańcuchach, strzeże go baszta o 6 działach. Po lewej stronie bramy jest dom drewniany, zbudowany przez bpa Janusza (Jana) na mieszkanie dla załogi; podle niego stoi wieża o 4 działach i trzecia wieża, czyli baszta o tyluż działach. Największe z dział zowie się Piszczyk, sokołów jest 4, moździerzy 9, falkonetów 22, hakownic 10, rusznic 30; zapas kul, ołowiu, siarki i saletry tak znaczny, że na obronę 10 zamków mógłby wystarczyć". Z dalszych opisów wynika, że był tutaj młyn do produkcji prochu o sześciu stępach. W załodze było trzech puszkarzy – Polak Jan, Niemcy: Matusz i Hanusz. Na uwagę zasługiwał system obrony. Otóż mieszczanie zobowiązani byli stawać zbrojno do walki podzieleni na 31 dziesiątek. Natomiast wszystkie wsie w powiecie krzemienieckim miały na zamku swoje horodnie – czyli dobudowane do murów drewniane izbice, w których mieszkańcy owych wiosek, przybyli w celu obrony, mogli składać zapasy i kosztowności.

Krzemieniec ucierpiał w czasie wojen kozackich. W 1648 r. przywódca czerni Maksym Krzywonos wraz z sotnikami Wasylowem i Piotrem Kosteńkiem, dowodzącymi ok. 7 tys. zbuntowanych chłopów, oblegał zamek przez sześć tygodni i zdobył go. Kozacy obrócili wnętrza w ruinę, wrzucając do studni księgi grodzkie, łupiąc horodnie i rabując miasto oraz okoliczne wioski. Po bitwie pod Beresteczkiem przybył tutaj Jan Kazimierz i 14 lipca odjechał do Lwowa, kiedy opuściło go pospolite ruszenie, które nie chciało iść dalej na Ukrainę za pobitymi kozakami Chmielnickiego.

W październiku 1781 r. Stanisław August Poniatowski zwiedzał Krzemieniec, a przede wszystkim zamek, gdzie znajdowało się archiwum grodzkie, podczas gdy kancelaria sądu mieściła się już w miasteczku. Mur zburzony był wówczas w dwóch miejscach, do dziś zachowały się zaś tylko ruiny wieży bramnej i pozostałości zabudowań, z których roztacza się piękny widok na okoliczne skały i góry w dolinie rzeczki. Prawdziwą sławę zyskał zaś Krzemieniec po 1805 r., kiedy Tadeusz Czacki założył tutaj sławne Liceum Krzemienieckie, zlikwidowane przez cara po powstaniu listopadowym i odnowione w II Rzeczypospolitej. ©℗

eprasa.pl a7e534a8f8

JAECOO E5

FOT. JAP

Ten kompaktowy SUV z napędem na przód to elektryczna odmiana popularnego spalinowego modelu Jaecoo 5. Maksymalna moc elektrycznego napędu to 211 KM, a maksymalny moment obrotowy wynosi 288 Nm. Energia magazynowana jest w baterii typu LFP o pojemności 61 kWh.

Mierzące 438 cm długości oraz 186 cm szerokości auto o charakterystycznej bryle (przypominającej nieco Range Rovera) od zera do 100 km/h przyspiesza w 7,7 s. Prędkość maksymalna wynosi 175 km/h. Teoretyczny zasięg maksymalny wynosi 402 km (to wynik WLTP podawany przez producenta przy średnim zużyciu energii na poziomie 15 kWh/100 km). W praktyce „spalanie" w cyklu mieszanym (wliczając jazdę po drogach szybkiego ruchu z maksymalną dozwoloną prędkością) jest zbliżone raczej do 18,8 kWh/100 km. Tym samym zasięg maksymalny na jednym ładowaniu to ok. 300 km. I to wiosną – zimą z pewnością ten wynik będzie gorszy.

Producent twierdzi, że czas ładowania prądem stałym od 30 do 80 proc. wynosi 28 min. Oczywiście te deklaracje też sprawdziliśmy. I rzeczywiście przy wiosennych temperaturach podany przez marketingowców czas przy szybkiej ładowarce wystarczył, aby naładować akumulator od 30 do 80 proc. Z kolei szybkie ładowanie od 10 do 30 proc. zajęło dokładnie 10 min.

Autem bez problemu można zjechać z asfaltu. Ten model szczególnie dobrze radzi sobie jednak w miejskiej dżungli. Dzięki wynoszącemu 17,4 cm prześwitowi bez trudu podjeżdża pod wysokie krawężniki. Poza tym legalnie można nim jeździć po buspasach i parkować za darmo w strefach płatnego parkowania. Jaecoo E5 sprawdzić się też może jako samochód na weekendowe wypady. Zarówno w mieście, jak i na trasie jest wystarczająco dynamiczne. Przydałby się jednak o wiele bardziej precyzyjny układ kierowniczy.

W kabinie główne skrzypce gra bardzo duży panoramiczny dach (o powierzchni 1,45 mkw.) oraz ogromny ekran systemu multimedialnego (o przekątnej 13,2"). Cyfrowy kokpit o przekątnej 8,9" wyświetla nieco zbyt małe literki i cyferki. Dla mnie jest za mało fizycznych przycisków (na szczęście nadal w tradycyjny sposób steruje się światłami czy ustawia lusterka), choć wywołanie np. sterowania klimatyzacją to tylko jeden ruch ręką. Bez problemów działa tu bezprzewodowe połączenie z Android Auto czy Apple CarPlay.

Auto dostępne jest wyłącznie w jednej wersji wyposażenia: Premium. W standardzie są m.in. system kamer 540 stopni, dwustrefowa klimatyzacja, podgrzewana kierownica, podgrzewane i wentylowane przednie fotele, elektrycznie otwierana klapa bagażnika, bezprzewodowa ładowarka do smartfonów o mocy 50 W, system audio Sony z ośmioma głośnikami oraz wiele różnych asystentów bezpieczeństwa. Deska rozdzielcza jest wykończona miękkimi materiałami. Na pokładzie są też ambientowe oświetlenie oraz ozdobne wstawki. Ustawny bagażnik ma 480 l pojemności, a po złożeniu oparć rośnie do 1284 l. W tym modelu jest też bagażnik przedni (tzw. frunk) o pojemności 35 l.

Jaecoo E5 kosztuje 139,9 tys. zł (przy zakupie dystrybutor dorzuca ubezpieczenie za 1 zł oraz siedem lat gwarancji). © ®

SEGWAY NAVIMOW X450

Napęd na cztery koła, podwójne tarcze tnące, obsługa różnych stref koszenia, nawigacja bez przewodów, skuteczne AI, cicha praca oraz futurystyczne wzornictwo – to największe zalety flagowego robota koszącego marki Segway.

Z roku na rok różne roboty przejmują od nas żmudne obowiązki: odkurzanie, mycie okien czy koszenie. Do tej pory automatyczne kosiarki generowały sporo własnych „problemów": nie radziły sobie w dużych ogrodach, gubiły się pod dębami, stawały na wybojach, ewentualnie potrafiły zaorać trawnik niczym poirytowany dzik. Na szczęście i to się zmienia.

Segway Navimow w wersji X450 to kosiarka klasy premium zapewniająca dokładne koszenie do 5 tys. mkw. Co prawda, robot nie skosi wszystkiego na jednym ładowaniu, ale po szybkim doładowaniu energii w stacji bazowej sprawnie wraca do miejsca, w którym skończył, utrzymując ładne, równe pasy nawet daleko od domu. Szerokość koszenia wynosi 43 cm (co skraca koszenie i wydłuża czas życia baterii), a zakres regulacji wysokości cięcia waha się zaś od 2 cm do 9,5 cm.

Podwójne tarcze tnące z 12 wzmocnionymi ostrzami w połączeniu z silnikiem o mocy 280 W łącznie sprawiają, że robot skutecznie kosi nawet dość wysoką trawę. Navimow X450 dobrze radzi sobie w trudnym terenie. Napęd na cztery koła z systemem kontroli trakcji sprawia, że bez trudu wspina się pod dużym kątem (do 40 stopni), niczego przy okazji nie uszkadzając. Bez problemu omija też przeszkody i w przeciwieństwie do niektórych konkurentów nie zatrzymuje się na wybojach, uskokach lub gdy na trasę nagle spadnie szyszka. Ciekawa jest także technologia Xero-Turn, czyli skrętu o zerowym promieniu. Robot potrafi skręcać przednie koła w miejscu, nie uszkadzając darni w miejscach wykonywania regularnych manewrów.

Świetnie działa również mapowanie (w trybie manualnym steruje się robotem niczym zdalnie sterowanym futurystycznym samochodzikiem). W aplikacji można stworzyć wiele różnych stref (max 120) dla różnych części ogrodu i dla każdej z nich wprowadzić różne ustawienia koszenia. Robot może też tworzyć różne wzory na trawniku. Technologie VisionFence 360°+ VIO sprawiają z kolei, że Navimow sprawnie omija doniczki, leżaki, drzewa, wąż ogrodowy, a także psy, koty czy jeże (AI rozróżnia ponad 200 różnego typu obiektów).

Minusy? Robot mógłby śmielej kosić obrzeża trawnika. Nocą nawigacja działa wyraźnie gorzej niż w dzień.

Segway Navimow X420 (z wydajnością do 2000 mkw.) kosztuje 10 899 zł, wersja X430 (do 3000 mkw.) 12 199 zł, a X450 (do 5000 mkw.) to wydatek rzędu 13 899 zł. © ®

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl a7e534a8f8

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Starożytna przekąska

Tej wiosny na naszych talerzach nie może zabraknąć szparagów. Są bardzo smaczne i zdrowe, o czym wiedzieli już starożytni. W basenie Morza Śródziemnego jedli je już 5000 lat temu Grecy i Egipcjanie. Rzymianom smakowały tak bardzo, że rozpoczęli uprawy już w 200 r. p.n.e., a w kuchni rzymskiej popularna była przekąska ze szparagów na gorąco z roztopionym masłem, pieprzem, solą i kroplami cytronu (roślina wieloletnia rutowata).

FOT. ADOBE STOCK

Mają mało kalorii, dużo białka, a dzięki dużej zawartości asparaginy wykazują właściwości moczopędne i wspierają pracę nerek. Oprócz tego zawierają witaminy C i E i wpływają korzystnie na kondycję skóry, włosów i paznokci. Są też bogate w potas, błonnik oraz beta-karoten. W wielu krajach, np. w Portugalii czy Meksyku, uważane są za rośliny lecznicze – nalewkę z nich stosuje się np. na potencję. Atutem szparagów jest obecność wszystkich aminokwasów egzogennych (są to aminokwasy, które muszą zostać dostarczone do organizmu z pożywienia, aby mógł prawidłowo funkcjonować) w fizjologicznych proporcjach, cecha ta jest niespotykana u roślin. A zatem w maju zajadamy się szparagami zarówno na śniadanie, jak i na obiad. Możemy je wykorzystywać jako składnik lekkiej sałatki. Sezon trwa tylko do końca czerwca, więc nie zwlekajmy!

Szparagi możemy ugotować na parze lub w specjalnym wysokim garnku – gotujemy je wówczas 3–6 min z dodatkiem masła, soli i cukru. Aby po ugotowaniu zachowały chrupkość, należy je przelać zimną wodą. Szparagi możemy także upiec lub po prostu usmażyć na suchej patelni. Z białych szparagów zazwyczaj przygotowujemy zupę lub podajemy do dań bardziej delikatnych. Zacząć należy zawsze od usunięcia twardych, zdrewniałych końcówek, a jeśli nie wiemy, gdzie dokładnie należy je odciąć, to możemy je odłamać.

Dziś podajemy przepis na szparagi zapiekane z sosem serowym z dodatkiem sera pleśniowego.

Szparagi zapiekane z sosem serowym z dodatkiem sera pleśniowego

• 1 pęczek zielonych szparagów • sól, pieprz, czerwona papryka słodka • 1 ząbek czosnku lub 1 łyżeczka czosnku granulowanego • 1 łyżka oliwy z oliwek, 1 duża łyżka masła • śmietanka słodka 30-procentowa • 1 opakowanie sera pleśniowego • 2 łyżki tartej mozzarelli • 2 łyżki sera tartego grana padano

Nagrzać piekarnik do 200 st. C, szparagi opłukać, oderwać zdrewniałe końce, ułożyć w naczyniu żaroodpornym, oprószyć solą, pieprzem, papryką i czosnkiem. Śmietankę wymieszać z pokrojonym serem pleśniowym i mozzarellą. Całość przełożyć na szparagi, na wierzch posypać parmezanem i wstawić do pieca na 15 min. To danie jest doskonałym dodatkiem do obiadu lub śniadania, możemy je podać z jajkiem w koszulce lub sadzonym. ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Tu zaszła zmiana

Ile razy już tędy jechaliście? – zapytały nas wnuki, gdy po raz kolejny pokonywaliśmy 200-kilometrową trasę do naszego, kupionego 35 lat temu wiejskiego domku. Domek przez te lata zdążył się postarzeć i zbrzydnąć razem z nami. Ale jeszcze bardziej zbrzydło otoczenie, przez które musimy przejechać, zanim usiądziemy na tarasie i spojrzymy w dół, na łąki i na migoczący srebrem kawałek Brynicy. Zaczęliśmy liczyć: załóżmy, że co rok jedziemy średnio 20–30 razy. Pomnożyć przez dwa, bo przecież trzeba wrócić, i potem przez 35… W kilometrażu objechaliśmy kulę ziemską.

Najpierw 60 km siódemką na Gdańsk, potem skręt na Bydgoszcz i po jakichś 40 km kolejny na Bieżuń, Żuromin, Lidzbark. Trasa ta sama, nie ruszając się z miejsca, także odbyła swoistą podróż w czasie.

Niezmienny jest tylko korek w Łomiankach. Ale poza tym na polach rzepaku i kartofli wyrastały w miarowym tempie magazyny, hurtownie, a ostatnio gigantyczne hale przeładunkowe, ostateczny dowód na to, że nasz kraj nie produkuje, tylko importuje.

Przed skrętem na Bydgoszcz znajdował się obiekt o nazwie Bizarro – ileż w latach 90. odbyliśmy w aucie dyskusji, zastanawiając się, co też ów Bizarro mieści. Znikła hurtownia z napisem: „Cement, jajka, rajstopy" – widać, że przedsiębiorcy początkującego turbokapitalizmu dbali o dywersyfikację oferty. Bizarro zniknął również, a siódemka stała się elegancką czteropasmową autostradą, na której można jechać 120 km/h bez obawy, że wpadnie się na panów z suszarką. Teraz mamy radary, nie suszarki. Wszyscy to wiedzą i nikt się nie dziwi, że ktoś, kto jechał 140 km/h, nagle hamuje i przez pół kilometra jedzie 30 km/h. Z chwilą minięcia żółtego urządzenia noga wraca na pedał gazu ze zdwojoną energią.

Droga z Płońska do Lidzbarka, o ile nie trzeba było wlec się za kolejką tirów, dawała mi dużo przyjemności estetycznej. Był to krajobraz spokojny, nawet trochę byle jaki, ale w lecie można było popatrzeć na pola, kawałek lasu, krowy pasące się na podmokłej łące. Dla kogoś, kto lubi dramatyzm górskich szczytów, to za mało; z mojego niewymagającego punktu widzenia wystarcza, ten widok napawał spokojem, że rolnictwo jeszcze w Polsce nie upadło.

Po roku 2000 rzepak, żyto i kartofle powoli ustępowały miejsca kukurydzy. A ostatnio na miejscu kukurydzy wyrosły nowe obiekty rodzimej przedsiębiorczości. „Wapno luzem sprzedam", „Hurtownia nawozów", „Myjnia 24 h", „Loszki i knurki" i inne…

Tęsknię za kimś, kto w jednym miejscu sprzedawał cement, jajka i rajstopy. I wciąż nierozwikłana pozostaje zagadka Bizarro. Może ktoś, coś? ©℗

eprasa.pl a7e534a8f8

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Dzień Wyzwolenia...

25 kwietnia Włosi świętują Dzień Wyzwolenia. Tego dnia w 1945 r. Włoski Komitet Wyzwolenia Narodowego wezwał do powstania przeciwko Niemcom i reżimowi Mussoliniego. 25 kwietnia na terenie całego kraju odbywają się pochody i wiece z udziałem najwyższych władz. Organizuje je Narodowe Stowarzyszenie Partyzantów (ANPI).

W kampanii włoskiej u boku wojsk brytyjskich walczyła Brygada Żydowska [jej hymn śpiewany jest na melodię „My, Pierwsza Brygada" – przyp. P.K.]. Od 2004 r. jej żołnierze, a potem ich dzieci i wnukowie, a także włoscy Żydzi biorą, a raczej starają się brać udział w tych obchodach. Co roku są brutalnie i wulgarnie kontestowani, a nierzadko bici, przez zideologizowanych anarchistów, komunistów jaskiniowych i współczesnych, kolektywy uczniowskie i studenckie, zawodowych zadymiarzy i pospolitych idiotów. To panoptikum od lat obwinia manifestujących w Dniu Wyzwolenia Żydów za politykę Izraela.

Jednak to, co się stało w tym roku w Mediolanie, Rzymie czy Bolonii, jeży włos na głowie i zmusza do głębokiej refleksji nad ułomnością natury ludzkiej i stanem umysłów zradykalizowanej tłuszczy. Brygadę Żydowską przywitały skandowane przez kontestatorów hasła: „Spalimy was!" i „Jesteście tylko niewyprodukowanym mydłem". To makabryczna aluzja do tego, że Niemcy w procesie utylizacji zwłok produkowali mydło z tłuszczu swoich żydowskich ofiar. Być może sprawy przybrały taki obrót, ponieważ ANPI zaprosiło do udziału w marszu organizacje propalestyńskie. Manifestacji towarzyszyły hasła „Wolna Palestyna" i „Mordercy!". W efekcie decyzją organizatorów Żydzi musieli opuścić pochód.

Ale to nie wszystko. W Rzymie z manifestacji przegoniono maszerujących z ukraińską flagą. Zostali przy tym pobici. Do szpitala przewieziono przewodniczącego ugrupowania +Europa. Omal nie stracił oka. Sprawcy nieśli hasło „Kijów? Reżim faszystowskiego puczysty!". Natomiast nie wadziły organizatorom flagi Palestyny, Hamasu i Hezbollahu, a nawet Iranu islamskich brodaczy. Co ciekawe, w Mediolanie przepędzono z pochodu również irańską diasporę, głównie kobiety, które chciały maszerować z flagą Iranu z czasów szacha Rezy Pahlawiego. Roiło się za to od sierpomłotów. Oczywiście palono flagi NATO. Nie zabrakło niesionych na wielkich planszach haseł politycznych typu: „Jednoczymy się, by obalić neofaszystowski rząd Meloni – Mussoliniego w spódnicy".

To wszystko działo się naprawdę. Osiemdziesiąt jeden lat po drugiej wojnie. Banda agresywnych, ziejących nienawiścią ignorantów i półgłówków skradła Włochom narodowe święto. ©℗

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Sekta wysyła sygnał

Człowiek nawet by nie wiedział, że znany aktor, Andrzej Seweryn, odbierał jakąś nagrodę, gdyby nie zamieszanie, które powstało przy okazji. Otóż znakomity autor porad dla wnuka o przypier..laniu w przeciwników politycznych, a okazało się, że i międzynarodowy autorytet, kiedy przemawiał w mowie dziękczynnej, to transmitująca to wydarzenie telewizja TVN nieoczekiwanie, w pół słowa przemówienia nagrodzonego aktora, przerwała transmisję na żywo i przeniosła się do studia, by odbyć umówioną rozmowę polityków, z których jeden należał do PiS. I nagle rozpętało się piekło.

Pojawiła się cala fala protestów sfrustrowanych widzów, że jak to? Tu przemawia nasz autorytet, serwuje filipiki o własnej (w tym naszej) fajności, a tu nasza ulubiona stacja przełącza się z tego wydarzenia na zwyczajową nawalankę. I to z kim? Z jakimś PiS-owcem. Nie może tak być! Ta telewizja to nasza wspólna sprawa, jedna z nielicznych przystani na morzu zalewającym nas faszystowskim populizmem. A tu wychodzi, że nie, że jakiś osobnik ze znienawidzonej bandy jest zapraszany do naszego domu, zagłusza naszego koryfeusza i zasmradza naszą bańkę.

Zarzuty tu się nie zatrzymały – zagorzali odbiorcy TVN idą dalej: to nie był przypadek, wy tam, na Wiertniczej, przygotowujecie się koniunkturalnie pod nowego amerykańskiego właściciela, który ma mieć pochodzenie obrzydliwie prawicowe. A myśmy się umówili nie na waszą tam kasę, ale na to, że wierzymy sobie nawzajem, że to na serio, że będziemy ze sobą do końca świata i o jeden dzień dłużej. A tu taka wpadka i to – wiemy to – nie przypadkiem. Stanęło też na groźbach, że całe towarzystwo przeniesie się do TVP, bo gdzieś musi sobie swobodnie pogadać w porządnym towarzystwie, co ma polegać na ciągłym i wzajemnym zapewnianiu się o posiadaniu elitarnej racji, bez oglądania się na rzeczywistość.

Wychodzi na to, że jeśli TVN się zamieni w jakiś twór bardziej prawicowy, to ucieszy się dołująca TVP, gdyż przepływ zagorzałych rozbitków do siebie (łącznie z mediaworkerami) mają raczej pewny. A to z kolei troska dla takiej telewizji Republika, bo bardziej prawicowi mogą przepłynąć do zmienionego TVN. Nie zazdroszczę też nowym szefom ewentualnie nowego TVN, gdyż mają przed sobą trudną drogę: zmiany profilu TVN wobec widzów o postawie sekciarskiej, którzy nie zgodzą się na taki zwrot i odejdą. Aferę z aktorem i histerią uważam więc za sygnał (obecnego kierownictwa i rozgrzanych widzów) wysłany do nowych właścicieli, że tu koleżeństwo nie pozwoli na jakiekolwiek zboczenie z utartego kursu. Czyżby koniec grzesznej telewizji? ©℗

eprasa.pl a7e534a8f8

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Gibelin i Park Jurajski

Gromkim echem odbił się wśród polskich publicystów spór pomiędzy prezydentem Donaldem Trumpem oraz papieżem Leonem XIV. Ostatni poddał Trumpa zawoalowanej, lecz czytelnej dla słuchaczy krytyce. „Dość bałwochwalstwa samego siebie i pieniądza! Dość epatowania siłą! Dość wojny!" – wezwał papież. Krytykując przywódców, dla których wojna i przemoc stały się użytecznym narzędziem,

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Leon XIV powiedział: „Śmierci natomiast służy ten, kto odwrócił się plecami do Boga żywego, aby z siebie samego i ze swej władzy uczynić bożka niemego, ślepego i głuchego, któremu składa się w ofierze wszelką wartość i domaga się, by cały świat ugiął przed nim kolano". Reakcja prezydenta USA na te nauki potwierdziła niestety zasadność papieskich ostrzeżeń.

Dla wielu polskich polityków i publicystów, dla których amerykańska prawica, reprezentowana przez Donalda Trumpa była jedyną nadzieją na bezpieczeństwo Polski i twardą obronę „konserwatywnych wartości", spór ten jest doświadczeniem bolesnym. Jeśli przed demonizowanym Putinem ochronić ma nas polityk, „który odwrócił się plecami do Boga żywego", to manichejska maniera odnajdywania w doraźnych konfliktach „jasnej" lub „ciemnej strony mocy" spektakularnie traci sens. Z pomocą ruszyli „konserwatywni" publicyści.

Pierwszy zareagował Jan Rokita, w tekście zatytułowanym „Spór cesarsko-papieski", na portalu Teologii Politycznej. W naszpikowanym historycznymi przykładami wywodzie autor wprowadził nas w dzieje „niegdysiejszych klątw rzucanych przez Aleksandra III na cesarza Barbarossę, albo przez Klemensa V na ukochanego przez Dantego Luksemburga – cesarza Henryka VII". Deklarującemu się jako „gibelin z przekonania i polityczny stronnik Dantego" krakowskiemu erudycie nieobce są i bardziej zamierzchłe czasy. „Trudno przecież zamknąć oczy na fakty dowodzące, iż papieże nie tylko często prowadzili »okropną politykę zagraniczną«, ale – jak uznał Kościół – mylili się nawet w materii doktryny wiary. Przywoływane są często w tym kontekście przypadki papieża Wigiliusza, zmuszonego w końcu siłą przez cesarza Justyniana do odstąpienia od herezji nestoriańskiej, albo papieża Honoriusza I". W oczach Jana Rokity historycznym echem dla Trumpa staje się więc cesarz Justynian. Prezydentowa Melania dzieli może epizody burzliwej młodości z cesarzową Teodorą, lecz tu rzeczywista analogia się kończy. Donaldowi Trumpowi udało się zbudować w Las Vegas pozłacane kasyno, daleko mu jednak do Justyniana, który zostawił po sobie Bazylikę Mądrości Bożej. W finale felietonu Rokita zarzuca obecnemu papieżowi „nieostrożne" obchodzenie się z polityką.

Ciekawszych porównań używa w swojej analizie „relacji Waszyngtonu z Watykanem" niegdysiejszy ambasador w Armenii, Piotr Skwieciński. W tekście zatytułowanym „Biedni katolicy patrzą na tyranozaura" tak przedstawia dramatyzm konfliktu: „Jeśli właśnie łyka cię Tyranozaurus, ale na chwilę przestaje, bo nagle dostał czkawki, gdyż z niejasnych powodów wbił mu się rogiem w brzuch oszalały Triceratops, to dostrzeżesz oczywiście wariactwo tego drugiego potwora, ohydę jego zrogowaciałego kołnierza i smród, bijący z paszczy. Ale czy twoją pierwszą reakcją będzie wznoszenie jak najgłośniejszych okrzyków, manifestujących oburzenie i dyzgust tymi cechami Triceratopsa?" – pyta retorycznie Skwieciński.

Wizja 10-tonowego dinozaura (w piusce albo turbanie?), z wbitym w brzuch metrowym rogiem pancernego roślinożercy (odzianego w czapkę MAGA?), pozostaje w pamięci. Ten ostatni, zdaniem Skwiecińskiego, cierpieć ma (z powodu diety?) na zaburzenia gastryczne. Czy jest to tylko świadectwo fascynacji publicysty filmem „Jurassic Park", traktowanym jako klucz do zrozumienia procesów geopolitycznych? Wśród niegdysiejszych heroldów polityki wschodniej PiS zainteresowanie paleontologią jest zrozumiałe, choć do wniosków wiedzie ponurych. Dinozaury wyginęły doszczętnie, gdyż uczyły się wolno i za nic nie chciały się zmieniać. ©℗

eprasa.pl a7e534a8f8

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Chrystus zabity wczoraj i dziś

KRYSTIAN KRATIUK

Widok niemal ten sam co wtedy, dwa tysiąclecia wcześniej. Z jednej strony żołnierz, za którym stoi imperium, z drugiej niewinność przybita do krzyża. Wtedy żołnierz przebijał Mu gwoździem kolejną kończynę, dziś wali młotem w głowę. Wtedy jego zadaniem było zgładzić skazańca, a dziś zgładzić pamięć o Nim i Jego wyznawcach. Wtedy opowieść o tym wydarzeniu powoli rozprzestrzeniała się po świecie, dziś, w zupełnie innych przecież realiach, rozeszła się po globalnej sieci zaledwie w ciągu kilku godzin. Wtedy wywołała płacz, ból i niepokój Jego uczniów, dziś też wywołała płacz u niejednego, ale i sprzeciw u bardzo wielu.

W miażdżonej przez żydowskiego żołnierza twarzy Chrystusa odbijają się tysiące innych twarzy, twarze ponad 70 tys. cywilów, którzy zginęli w trakcie działań „najbardziej humanitarnej armii świata”

To nie był zwykły akt wandalizmu. To scena o głębszym znaczeniu, miażdżące uderzenie wymierzone w pamięć, w sacrum, w poczucie, że istnieją jeszcze jakieś granice, których nawet wojna nie powinna przekraczać. Bo kiedy ktoś podnosi młot na wizerunek Ukrzyżowanego, nie niszczy wyłącznie przedmiotu kultu. Wysyła komunikat: nic nie jest święte, nic nie zasługuje na szacunek, wszystko może zostać podeptane. I właśnie dlatego ten obraz poruszył tak wielu.

Mówimy, rzecz jasna, o szokującej fotografii z Libanu, na której izraelski żołnierz w akcie nienawistnego uniesienia niszczy figurę ukrzyżowanego Chrystusa. Fotografii, która obiegła media, a świat – przynajmniej jego chrześcijańska część – solidnie się wzburzył. Nie po raz pierwszy w ostatnich dniach, wszak na początku Wielkiego Tygodnia wielu wyznawców Chrystusa wyrażało oburzenie niedopuszczeniem kard. Pizzaballi do Bazyliki Grobu Pańskiego. Wtedy Izrael się cofnął, mówiono o nieporozumieniu. Teraz państwo, które nigdy nie przeprasza, o dziwo – przeprosiło i poinformowało, że przykładnie ukarze żołnierza wbijającego młot w twarz Chrystusa i jego kumpla, który postanowił sfotografować ten akt barbarzyństwa.

Oczywiście ukrzyżowany Chrystus z Libanu to „tylko” religijna rzeźba – ale przecież każdy akt nienawiści wobec Niego i Jego wyznawców jest potężnym grzechem. Prawdziwy Chrystus przyjął na siebie cierpienie za grzechy całego świata, tak jak w Libanie, w sposób rzecz jasna symboliczny, masowe grzechy Izraelczyków zostały uwidocznione na tym jednym zdjęciu, które jakimś bożym zrządzeniem trafiło do mediów społecznościowych.

Ta miażdżona z nienawiścią twarz Chrystusa przybitego do krzyża symbolizuje przecież cierpienie zadawane chrześcijanom w Libanie, a także innym niewinnym ludziom w Palestynie. W tej miażdżonej przez żydowskiego żołnierza twarzy Chrystusa odbijają się tysiące innych twarzy, twarze ponad 70 tys. cywilów, którzy zginęli w trakcie działań „najbardziej humanitarnej armii świata”. Twarze tych, których cierpienie dzień po publikacji tego przerażającego zdjęcia opisał dziennik „Haaretz”, posiłkując się wyznaniami innych żołnierzy tej armii, powiadali, jak opluwano ciała zabitych, zakopywano ich buldożerem w piasku, oddawano na nich mocz, strzelano do cywilów szukających pomocy humanitarnej.

Doprawdy, niewiele się zmieniło od wspomnianych wcześniej dwóch tysięcy lat. Żołnierz imperium – wówczas rzymskiego – którego namiestnika podburzyli Żydzi. Dziś żołnierz lokalnego żydowskiego mocarstwa podburzającego do prowadzenia wojny w regionie dzisiejsze światowe imperium – USA.

Coś jednak uległo zmianie. Co? Otóż wtedy Żydzi triumfowali, może tylko rzymski namiestnik miał trochę kaca. A teraz natychmiast przeprosili i wyciągnęli wnioski. Dlaczego?

Pamiętajmy, że dzisiaj wojnę na Bliskim Wschodzie prowadzą przecież nie tylko syjoniści z Izraela, lecz także chrześcijańscy syjoniści rodem ze Stanów Zjednoczonych. Mimo że de facto służą Izraelowi, przymiotnik „chrześcijańscy” jest przez wielu z nich nadal traktowany poważnie. Dlatego miażdżenie twarzy ukrzyżowanego Chrystusa młotem po prostu nie przejdzie. Co więcej, zbagatelizowane mogłoby skończyć się wycofaniem poparcia niejednego „chrześcijańskiego syjonisty” dla działań USA na rzecz Izraela.

To chyba jedyny pozytywny aspekt istnienia tej ideologii. ©℗

eprasa.pl a7e534a8f8

NIE MOJE

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Pytanie: Kiedy będzie lepiej? Odpowiedź: Już było.

W moich czasach studenckich bawiły nas porównania PRZED i PO. To taka gra intelektualna i pasuje do wielu dziedzin – do ekonomii, do historii, do sztuki. Przykład: Przed wojną Wrocław miał trzy wyższe uczelnie i 11 Nagród Nobla. Po wojnie 11 uczelni i ani jednej Nagrody Nobla.

Albo taka gra: weź album malarstwa i znajdź coś ładnego w rozdziale ostatnim „Sztuka nowoczesna". Szukamy, szukamy i pękamy ze śmiechu, bo nikt nie może znaleźć nic ładnego.

Analizowaliśmy takie rzeczy nie tylko dla śmiechu. One otwierają oczy – coś było lepsze PRZED, a teraz jest gorsze. Dlaczego? Czy da się poprawić? A może trzeba się po prostu cofnąć z tej ślepej uliczki, wracając do miejsca, gdzie było lepiej, niż jest teraz, i tam poszukać nowego kierunku? Tak się postępuje w eksperymentach naukowych – gdy nie wychodzą, cofamy się do punktu, gdy było lepiej, i zmieniamy kierunek.

***

Mój samochód ma ponad 10 lat. Kolega od dawna radzi: kup nowy. A ja uparcie odpowiadam, że to auto z wiekiem staje się coraz lepsze. Traktor też kupiłem stary – ostatni model bez komputera i DLATEGO on jest lepszy od tych nowych skomputeryzowanych. Gdy coś w nim padnie, nie muszę wołać specjalisty z laptopem i czekać ze żniwami. Sam sprawdzam – bez oprogramowania. Wiele rzeczy daje się naprawić od ręki na polu.

Moje stare auto naprawdę staje się coraz lepsze. Jak to możliwe?

Nowe samochody mogą być wyłączane zdalnie, a skoro ktoś może wyłączyć twój samochód zdalnie, to znaczy, że to już nie jest twój samochód! Nastąpiła dyskretna konfiskata mienia prywatnego. Hasła i preteksty te co zwykle: wszystko dla naszego bezpieczeństwa.

Wyobraźmy sobie zaplanowaną w UE przyszłość, gdy każdy samochód da się zdalnie wyłączyć: Urząd w Krakowie mierzy poziomy smogu. Gdy poziom przekracza normę, urzędnik lub algorytm gasi część samochodów w mieście (dla naszego bezpieczeństwa smogowego) i gdyby trafiło na ciebie, nie ruszysz dopóty, dopóki oni ci nie włączą auta ponownie. Obywatelom niegrzecznym mogą gasić częściej. Lub do odwołania.

Woda w prywatnej studni już dawno nie jest twoja – skonfiskowano ją za pomocą ustawy Wody Polskie. Wcześniej skonfiskowano wszystkie prywatne drzewa w całym kraju, bo żadnego drzewa nie wolno wyciąć bez zezwolenia, niezależnie od tego, gdzie drzewo rośnie, kto je posadził, kto pielęgnuje. Skonfiskowano też obywatelom kominki i piece. Skonfiskowano bez wchodzenia do domu. Wprowadzili przepis konfiskacyjny: Masz kominek, ale nie wolno ci w nim palić. Czy kominek, w którym nie wolno palić, jest nadal kominkiem? Wygląda po staremu, ale to przestał być kominek, gdyż utracił podstawową funkcję, dla której został zrobiony i zamontowany. Bezużyteczna atrapa. Stoi, zajmuje miejsce i zawadza.

***

Te konfiskaty mają też konsekwencje nieoczywiste. Zastanawiałeś się kiedyś nad tym, że twoje mieszkanie straciło na wartości, gdy władza skonfiskowała kominki (i zabytkowe, ale nadal sprawne piece kaflowe)? Kiedyś sprzedawałbyś „mieszkanie z kominkiem", a dziś sprzedajesz to samo mieszkanie, ale w obecnej sytuacji kominek jedynie zajmuje miejsce, czyli zmniejsza metraż pokoju, a nie daje nic w zamian.

Tego jest dużo więcej. Dla sportu mogą sobie państwo przeanalizować zasoby swoich ruchomości i nieruchomości. Po analizie okaże się, że to nie jest już moje, tamto też nie moje. No niby mam to coś, bo to stoi u mnie, ale naprawdę nie mam, bo nie mogę tym dysponować.

Mam lodówkę. Kupiłem dawno i wtedy spełniała normy. Teraz nie spełnia. Nie mogę jej sprzedać. Zmieniając normy, skonfiskowali moją własność.

***

Jeżeli nie mogę czymś swobodnie dysponować, to znaczy, że to nie jest moje.

A co takiego? Cokolwiek. Na przykład składki emerytalne zgromadzone na rachunku ZUS. Oni mówią, że to są moje pieniądze na moim rachunku, ale jednocześnie nie mogę nimi dysponować, czyli… nie są moje. Oni tym dysponują, a „moje" jest jedynie z nazwy.

Przykład:

– Mam twoje 100 zł – mówi kolega, któremu kiedyś pożyczyliśmy stówę.

– Wiem, że masz i miałeś mi dawno oddać.

– Oddam, oddam. To przecież twoja stówa.

– Nie jest moja, skoro ty ją masz, a nie ja. Będzie moja, gdy mi oddasz. Na razie jest nie moja.

Dom. Bez zezwolenia nie mogę wybudować ani wyburzyć, ani mieszkać. Powiedzmy, że wybudowałem, jakoś się udało, zezwolili. A teraz nie podoba im się wielkość okien lub ocieplenie budynku, na które wcześniej wydali zgody. Mogą mi zakazać mieszkania w tym moim domu. W takim razie to nie jest mój dom. Nie mój, tylko ich. Mieszkam w domu nie moim. Zapłaciłem za wszystko, ale to nie jest moje, skoro oni tym dysponują.

***

Wywłaszczenie z majątku i mienia – to wzór/model/metoda z komunizmu. Komuna wywłaszczała z majątku, z ziemi, zabierała fabryki, odbierała domy i organizowała własność państwową w miejsce własności prywatnej.

Samochody kupowało się na talon, a nie za pieniądze. Mieszkanie „dostawało się" na książeczkę mieszkaniową. Kwoty, które człowiek wpłacał za auto czy mieszkanie, istniały jako fasada – po to, abyś myślał, że kupiłeś i teraz masz, i już jest twoje. To była gra pozorów. I teraz też oni grają w tę samą grę pozorów. Tobie się wydaje, że kupiłeś auto i ono jest twoje. Ale… oni ci je mogą wyłączyć zdalnie. A skoro ktoś może wyłączyć twój samochód zdalnie, to znaczy, że to wcale nie jest twój samochód.

***

Komunizm był ślepą uliczką, dlatego się wycofaliśmy.

Unia Europejska jest kolejną ślepą uliczką. Trzeba się cofnąć do punktu, gdy to było EWG, czyli do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej (wyłącznie gospodarczej!) i tam pomyśleć, dokąd iść dalej. ©℗

eprasa.pl a7e534a8f8

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

KS. PIOTR PAWLUKIEWICZ: „MIEJ SZCZĘŚLIWE DNI"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~591~~ ZŁ

291,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 300 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl a7e534a8f8

KSIĘGARNIA DO RZECZY

ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY

KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl a7e534a8f8